

E. DEBSKI



UPRÓR
Z PRAVĚBACHU

Eugeniusz Dębski

Upior z Playbacku

CIECIE

Jedna z gałęzi krzewu, z tych co rosły na obrzeżu polany, zwisała tuż nad czubkami najwyższych traw. Biedronka doszła do wolno kołyszącego się końca gałęzi i po czterocentymetrowym skoku wylądowała tuż obok szczytu źdźbła. Namyslała się chwilę, po czym szybko zbiegła w dół, mniej więcej do połowy blaszkowatego listka, na krótką chwilę zawahała się i odważnie zmieniła trasę wchodząc na ocierającą się o źdźbło lufę bezodrzutowego dracona. Kilka sekund tkwiła nieruchomo, jakby zaskoczona ciepłem rozgrzanego metalu, a potem ruszyła w stronę wylotu lufy. Mężczyzna, w którego dłoniach znajdował się dracon, miał wzrok utkwiony w celowniku i nie zauważył odważnego penetratora. Interesował go tylko cel. Cel właśnie pochylił się otrzepując nogawkę spodni, czym na kilka sekund odwrócił ostateczne naciśnięcie spustu. Biedronka doszła do końca lufy, zgrabnie ominęła szereg otworów tłumika i zajrzała do wylotu. Mężczyzna w celowniku wyprostował się i szybko rozejrzał po polance, biedronka zniknęła w ciemnej rurze.

Bardzo duże zbliżenie, właściwie powiększenie wylotu lufy. Zieleń w tle rozmywa się, tworząc pastelową plamę. Z wylotu lufy wypada pocisk. Sterowana laserem kamera prowadzi go na tle rozmazanej w pasma zieleni. Na czubku pocisku rozsiadła się biedronka. Owad spłaszcza się coraz bardziej w miarę upływu czasu; najpierw jakby przysiada, potem rozplłaszcza się, zaczyna parować pod wpływem rozgrzewającego się twardego płaszcza pocisku. Po dwóch sekundach tworzy już tylko skorupkę ze szerniałych pokryw skrzydeł po upływie jeszcze jednej sekundy pokrywy eksplodują nikłym płomykiem i od tej pory pocisk – już w swojej właściwej postaci – gna w kierunku celu. Biedronka nie miała żadnego wpływu na jego lot. Pocisk nieomylnie – nie sposób spudłować z tej odległości, przy takich przyrządach celowniczych, do tak dużego nieruchomego celu – trafia mężczyznę.

CIĘCIE

W skroń. Wyraz twarzy ofiary przez dwie długie sekundy nie zmienia się. Dopiero potem w oczach pojawia się coś jak błysk zaskoczenia czy zrozumienia...

Kip trzasnął w klawisz stopu. Wykrzywił usta i pokiwał z uznaniem głową w miarę kiwania przenosząc spojrzenie z ekranu na Treefa Schivasa.

–To jest rzeczywiście kapitalne. Tresował tę biedronkę? Treef cmoknął i parsknął cicho.

–Nie da się ukryć, że męczył się z tym trochę. Najpierw; po prostu obrzucili Ricka workiem tych stworzeń i czekali, ale żadna nie chciała wejść do lufy. Potem ktoś wpadł na pomysł, żeby wepchnąć do lufy trochę mszyc, no i tak zrobili. A poza tym cierpliwość, cierpliwość,

cierpliwość... Ale warto było, co?

–Bez wątpienia! Najlepsze zdjęcie w całym tym filmie. Aż żal, że to w tym kiczu... Ale niech będzie, zaproponuję go Wilcotsowi. – Szybkim ruchem wykręcił dłoń wskazując wyprostowanym kciukiem ekran, na którym zamarł trafiony w skroń mężczyzna. Wciąż miał ten okrucz zrozumienia w oku.

–Niczym nie ryzykujesz, Kip. *Krótki lot motyla bojowego* jest ani gorszy, ani lepszy, a nawet powiedziałbym, że nieco lepszy od tego co stale serwujemy patrzalem.

Zeskoczył z biurka i wyciągnął rękę do Kipa. Trzepnęli się dłońmi nie zaciskając palców i Treef wyszedł. Kip cofnął dysk i jeszcze raz obejrzał scenę, w której tak pomysłowo zginęła anonimowa biedronka. Mężczyzna z pociskiem w skroni zupełnie go nie interesował, przerwał projekcję tuż po wyparowaniu jednorazowej statystki. Z podajnika na biurku wystrzelił w swoim kierunku kostką nikotynizowanej gumy i wrzucił ją do ust. Zaczął żuć szybko, potem zwalniał aż przeszedł na leniwe poruszanie żuchwą z częstotliwością jednego ruchu na cztery sekundy. Odchylił się w fotelu i pustym spojrzeniem obrzucił szachownicę z czterdziestu ośmiu ekranów, umieszczoną w połowie na suficie, w połowie na ścianie. Tę właśnie ścianę najczęściej zaszczycił spojrzeniem – najwygodniej było na nią patrzeć po odchyleniu fotela do poziomu.

Nic ciekawego nie działo się na zewnątrz, pierwszy szereg, najwyższy – zaliczony. W czterech studiach ekipy memlały jakieś programy – następne szeregi monitorów – z głowy. Dwa z trzech pozostałych pokazywały co się dzieje w szesnastu najważniejszych programach, monitory ostatniego szeregu co dziesięć sekund przełączały się na następny program, jeden z pięćdziesięciu ośmiu. Spojrzenie Stuthmana przeleciało przez nie szybciej niż pocisk z odesłanego do banku dysku. Kip zaciągnął się ostatni raz i wypluł gumę. Ułożył głowę na dokładnie splecionych dłoniach i troskliwie poprawił pozycję całego ciała. Chwilę zastanawiał się.

–Polecenie – powiedział. – Czwarty kanał z fonią. Na ścianę.

Szachownica monitorów mrugnęła i rozplynęła się na ścianie, zlewając się w jeden duży ekran. Jednocześnie komp włączył fonię nasilając stopniowo dźwięk.

–Fonia – stop! – rzucił Kip.

–...poznać najpierw cele działania Stowarzyszenia Wolności Wyboru – poważnie zaproponował A. Jinz Grauman swojemu rozmówcy.

–Nie chcemy dyktatury World Net. Naszym celem jest przywrócenie starego porządku, kiedy istniały niezależne od siebie i granic sieci, korporacje telewizyjne i niezliczona liczba regionalnych programów telewizyjnych. Pomijam tu telewizję kablową, satelitarną, stacje pirackie, eksperymentalne, studyjne i tak dalej...

–To tylko pozorna mnogość – pobłażliwie powiedział A.

–Przy maksymalnych chęciach można było oglądać czterdzieści programów. Teraz

siedemdziesiąt cztery i wcale nie zamierzamy na tym poprzestać...

–Ale to jest siedemdziesiąt cztery razy World Net! – wrzasnął zwolennik wolności. – To jest potężna władza. Kto

nam zagwarantuje, że pewnego dnia nie postawicie jakichś warunków? Że nie ustanowicie podatków od czegoś tam w zamian za możliwość oglądania TV? Ludzkość już nie może bez niej żyć i zrobi wszystko, żeby mieć swój srebrny świat.

–Nie dążymy i nie możemy dążyć do zapanowania nad światem. Powinien pan i pańscy zwolennicy wiedzieć, że to akurat jest obwarowane tak...

–Jak wy tego chcieliście! – wydarł się tłustawy pięćdziesięciolatek. – Ale niech będzie... -dodał spokojniej widząc, że A. nie przerywa mu. - Powiedziałem to tylko, żeby uprzytomnić ludziom, co może ich czekać. To jest ewentualna przyszłość. Natomiast bardziej interesuje nas teraźniejszość.

–Tak! – plasnął miękko dłonią w stół. – Możecie nas kołować, modelować czy indoktry... indy... – zająknął się.

–Indoktrynować – łagodnie podpowiedzią! A.

–Właśnie. A co w zamian? – wybełkotał zrujnowany psychicznie prezes SWW.

–W zamian mamy loty kosmiczne, które stały się już dawno temu zbyt drogie; jakiegokolwiek państwo czy nawet koalicja nie może sobie na nie pozwolić. Mam na myśli regularną eksplorację uniwersum – spokojnie uroczyście powiedział A. miękkim gestem dłoni uciskając rozmówcę.

To World Net jest bezpośrednim sponsorem wypraw kosmicznych, to World Net finansowała – nie mając wcale gwarancji na to, że olbrzymie nakłady zwrócą się – budowę trzech pilotowych wiązek synkław, dzięki którym podróże kosmiczne mają sens, a pozaukładowe w ogóle są możliwe. Przypomnę, że wiązka synkław pozwala rozpędzać statek niemal do prędkości światła i do takiej samej prędkości rozpędzić fale, co pozwala na transmisje wypraw kosmicznych. Dzięki synkławom podróże są bezpieczne, są możliwe, są sensowne. Są!

–To żadna łaska. Każdy tyran starał się podbudować swoją władzę, umocnić ją...

–Polecenie. Fonia – stop! – rzucił Kip znudzony słownymi torturami w wykonaniu A. „Nudne – pomyślał. – Że też ciągle znajdują się tacy naiwni, którzy chcą pokonać A. Czy to

tak trudno odgadnąć, że ma trzech do pięciu pomocników, którzy wprost do ucha sączą mu argumenty – zawsze dwaj specjaliści od erystyki i co najmniej dwóch fachowców od aktualnie obrabianej dyscypliny. Nikt nie ma szans z zespołem o takim składzie. Naiwni... Sancta... Co tam dalej? Nieważne. Aha!”

Poderwał się przypomniawszy sobie film i daną Treefowi obietnicę.

–Polecenie! Łączy z Wilcotsem... – sięgnął do podajnika z gumą i zrezygnował widząc twarz naczelnego dyrektora na swoim ekranie. – Podesłałem ci nowy film. Nic szczególnego, ale na wczesne godziny ranne może być... – W porządku – przerwał Allan Wilcots. – Prześlij go do zasobów. Świetnie że się zgłosiłeś, bo mam pewien kłopot...

Widzisz... Mam tu, cholera, wycieczkę... Niby nikt ważny, ale nie mogę ich spławić. Przynajmniej przed „Gwiezdnym Wilkiem”. Czeka!

Wykonał jakiś ruch lewą dłonią i nieco uniósł głowę, najwidoczniej, by popatrzeć w ekran nad monitorem z twarzą Kipa.

–Czy zsynchronizowano już transmisję z „Gwiezdnego Wilka”? – rzucił.

–Będzie o piątej, jak było w planie... – odpowiedział jakiś raźny młodzieńczy głos.

Kip poprawił się w fotelu – nareszcie się coś dzieje. Allan uaktywni zaraz cały dział, przez najbliższe pół roku nie będzie się o co do nich przyczepić. Biedacy...

–A jak ty się chłopcze nazywasz? – bardzo spokojnie zapytał Wilcots, a barwa jego oczu, zdaniem Kipa, pogłębiła się i nabrały one charakterystycznej soczystości.

–Svi...

–Dziękuję bardzo – spokojnie przerwał Allan i wykonał jeszcze raz ruch lewą dłonią. Gre-ey... – powiedział miękko, jakby miał to być początek, pierwsze słowo piosenki, po

którym włączy się cała nastrojowa orkiestra -...jeśli pytam twojego człowieka, czy poszedł już synchron na transmisję, to zrób tak, żeby on mi nie odpowiadał, że będzie o czasie, co? O czasie to ona pójdzie, tylko bądź łaskaw wytłumaczyć technikom ile kosztuje dziesięć sekund transmisji i czy w tym kontekście jest ważne wejście do akcji precyzyjniej niż sam Pan Bóg by to zrobił. Dobrze? Bo następnym razem wyciągnę wam flaki przez odbyty za pomocą szydełka mojej pra-pra-prababci... – płynnym ruchem odwrócił się od ekranu i popatrzył w twarz Kipowi. – Przepraszam cię, ale krew mi się spieniła. To co, pomożesz?

–Allan... – jęknął Kip. – Błagam – tylko nie jakieś staruszki z Tokio...

–Nie, nie! Poczekaj... – zatrzepotał dłonią Wilcots.

–Z dziewięciu osób tylko dwie to staruszkowie, państwo La Salle. Reszta jest w porządku, a dwie lal unie...! – pokiwał głową wznosząc oczy gdzieś ponad górny brzeg ekranu.

–Sam bym...

„Jakbym mógł – pomyślał mściwie Kip. – Ojciec nieco przesadza każąc mi naprawdę przechodzić wszystkie szczeble kariery dziennikarza. Szczególnie, że dopóki Wilcots żyje nie mam szans naprawdę zrobić coś w WN. Rzucić to trzeba w cholerę, ot co. Ale...”

–Co mi po lal uniach... – westchnął.

–Dobra, dobra! Nie drażnij się ze mną. Proszę cię o przysługę, podsuwając przy tym człowiekowi zwanemu Playbeyem dwie naprawdę rozkoszne cipeńki, a ty jeszcze...

–Biorę! – przerwał Kip. – Potrafisz wzbudzić litość do siebie nawet w ekranowym przewodzie. Gdzie oni są?

–Aktualnie przyglądają się jak A, rozpieprza proroka.

–Dobrze by było jakbyś ich przejął od razu jak usuniemy zwłoki.

–Co?

–Dobrze. Obejrzę ich sobie i już zjeżdżam. Pokazać im studia?

–Nie-e... Wszystko już widzieli. Tu jest problem mały.

–Może coś na zewnątrz? W każdym razie uwolnij mnie od nich, za sześć godzin mamy transmisję z „Gwiezdnego Wilka”, a przekonasz się, że nie będziesz w stanie unieść mojej wdzięczności.

–Już nie mogę. Cześć – Kip sięgnął dłonią i przerwał połączenie.

„Syn szefa WN – pomyślał – musi ubiegać się o wdzięczność mianowanego dyrektora. Z drugiej strony... Sobie mogę powiedzieć – bez niezbędnej w takim wypadku obludy – w dupie mam całą tę sieć i harowę...”

Zwalił się znowu na fotel i natychmiast poderwał się. Wycieczka! Wystukał kod sali podglądu i przy użyciu manualnego sterownika i kamery powtarzającej jego ruchy obejrzał grupkę dziewięciu osób. „Staruszkowie... Trudno. Wyglądają na rozsądnych. Japończyk czy Chińczyk? Nieważne. O-ch-ch...! Rzeczywiście... Suwnica śliczna jak niebo nad... Doczekasz ty się myszko. A ten co? Tyle bagażu, że musi wózek... Aaa...” Oglądany mężczyzna sięgnął do samojezdnego-wózka obudowanego matową kopułką i spokojnie, na oczach zgorszonych tym widokiem starszej pani, wypił pół szklanki jadłowicie żółtego drinka. „Barek... O, ta też bardzo, bardzo niezgorsza”

— kamera wbiła spojrzenie w twarz jeszcze jednej młodej dziewczyny. „Gdyby nie tamta zajęłabyś pierwsze miejsce powiedział do niej w myślach Kip. – Kto tam jeszcze? Ten nieważny... Ten też. I ten... No to mamy przegląd sytuacji. Te dwie frytki trzeba jakoś podzielić, naraz się nie da. Czas start!”

. Zerwał się z fotela i wygarnął z podajnika jeszcze jedną gumę.

–Polecenie... Winda z ósmego na drugi...

Włożył kostkę do ust i szybkim krokiem przemierzył pokój, minął otwarte już drzwi i nie zwalniając wskoczył do czekającej kabiny windy. Kilkanaście sekund jazdy spędził stepując i poprawiając jednocześnie fryzurę. Pod drzwiami do sali podglądu zwolnił i zerknął na zegarek. Uruchomił drzwi minutę przed końcem kolejnego triumfu A. Od tyłu, nie kryjąc zainteresowania obejrzał tę najładniejszą, szybko sprawdził czy nie pomylił się w ocenie tej drugiej i gdy ekran wypełnił końcowy klip odchrząknął i powiedział:

–Mam zaszczyt towarzyszyć państwu podczas wycieczki po naszym ośrodku. Kipling Rawot Stuthman. – Skłonił lekko głowę. Obdarzał swym spojrzeniem całą grupę unikając zbyt długiego patrzenia na tę najładniejszą. Doświadczenie mówiło mu, że nic efektywniej nie działa na najładniejszą w dowolnym towarzystwie dziewczynę niż świadome odbieranie jej palmy pierwszeństwa. – Do usług. Czy macie państwo jakieś specjalne życzenia...? – Rozejrzał się po grupce dłużej patrząc pytająco w oczy starszycy. Kilka osób pokręciło głową, większość nie zareagowała na jego pytanie, ci byli najbardziej znudzeni zwiedzaniem. Poruszył się tylko

pijacek z barkiem – źle napięte mięśnie i wypity alkohol spowodował, że zachwiał się jakby ktoś podciął mu kolano. Mruknął coś, a widząc skierowane na siebie spojrzenie Kipa powiedział:

–Czy... może nam pan... powiedziec co tu jest... naprawdę-m ciekawego?

Każde słowo kończył dźwiękiem przypominającym krótkie muczenie albo czkanie stłumione w zarodku. O wiele częściej niż inni ludzie zamykał usta, niemal po każdej sylabie. Wypiął przy tym pierś i zbliżył podbródek do piersi. „Nie dotrzymasz ty – pomyślał Kip – do końca zwiedzania. Dobrze jeśli wózek pomoże dotaszczyć cię do cairetki”.

–Proponuję państwu żebyśmy wyszli na zewnątrz, a po drodze powiecie mi co już widzieliście... – uśmiechnął się.

Cofnął się nieco i wskazał dłonią drzwi. Zauważył, że jego omijanie spojrzeniem tej ślicznotki przynosi nadszpiewanie szybki skutek – w jej oczach błysnęło ostrze złości. Ta druga, która przez cały czas musiała znosić zachwycone, nie na nią skierowane spojrzenia personelu World Net, uśmiechnęła się sympatycznie.

— Jak na razie mam przed oczami tylko kilometry urzędów, tysiące ekranów i miliony słów fachowych objaśnień powiedziała. – Jestem Birdy. – Podeszła bliżej i wyciągnęła do Kipa szczupłą kształną dłoń. – Sądzę, że dobrze by było, żebym przedstawiła panu całą naszą ekipę. – Przesunęła się tak by stanąć twarzą do „ekipy” i bokiem do Kipa.

–Państwo Ernma i Geoffrey La Salle. – Wskazała dłonią starszycy. – Ich sekretarz, Warren Lattuada – dłoń przesunęła się nieco i wycelowała w barczystego poważnego mężczyznę ustawiającego się zawsze obok pracodawców. – Panna Jana Peacock, druga wicemiss naszego stanu.

Kip nie był pewien swojego słuchu, ale osądził, że ma podstawy sądzić, iż Birdy przedstawiając Janę odrobinę zaakcentowała słowo „druga”. Tamta, zresztą, też tak chyba sądziła. „Już się zacięła” – pomyślał odwzajemniając uśmiech bez szczególnej troski o wynik.

–Pan Yoos O’Ryan – miłośnik przewoźnych barków zachwiał się i otworzył usta, ale natychmiast je zamknął.

–Artur Li Wan... Ertin Shakesby... I Hagood Baum...

–Wskazała ostatniego mężczyznę i odwróciła się do Kipa.

–Wychodzimy?

–Bardzo proszę -. Kip popatrzył na państwa La Salle.

Wiedział już dzięki Birdy, kto tu jest najważniejszy, zrozumiał, że ona sama należy do obsługi wycieczki, że sekretarz jest w rzeczywistości ochraniaczem i że reszta, w tym druga wicemiss nie liczy się zupełnie w „ekipie”. – Polecenie...! Winda na poziom zerowy, u szesnastki... Proszę... – ponaglił starszycy.

Skądś spod ich stóp wysunął się na pierwszy plan pekińczyk i dysząc z otwartym pyskiem, mając oślinionym językiem popatrzył na Kipa.

–Och, zapomniałam o Hecy! – wykrzyknęła Birdy. – To jest Heca – podbiegła i podniosła psa. Jana potrząsnęła głową i odwróciła się. „Nie mogę patrzeć na tę służbową obłudę” – mówił wyraz jej twarzy. – Jej pewnie najbardziej spodobał się pański pomysł wyjścia na zewnątrz -zatrąkotała Birdy wesoło.

Geofrey dotknął łokcia żony i ruszyli oboje do drzwi, O’Ryan znowu zachwiał się i jakby nie chcąc tracić energii na tłumienie niezamierzonego ruchu, rzucił się za nimi. Berek, przyciągany małym pilotem przyczepionym do ramienia Yoosa, pospiesznie runął za nim, omal nie podcinając nóg Janie Peacock. Dziewczyna spurpurowiała i strzeliła spojrzeniem w sufit jednocześnie odslaniając na chwilę zęby. Ochroniarz zręcznie wyminął ją i jeszcze przed drzwiami wyprzedził Yoosa. Heca szczeknęła przenikliwie.

, Ale cyrk – roześmiał się w duchu Kip. – Ślicznotka musi towarzyszyć sponsorom swojego wyścigu, reszta zabrana chyba przypadkowo, wszyscy świetnie się bawią pod czujnym spojrzeniem fundatorów. Chyba tylko ten Yoos używa naprawdę tego, co lubi. Cholera! A co ja z nimi będę robił?”

Uśmiechem i gestem ręki pogonił dwóch ostatnich: Chińczyka i jednego z dwu zupełnie „nierozgryzionych” mężczyzn. Ruszył zaraz za nimi. W windzie wspiął się na palce chcąc widzieć Emmę La Salle i zapytał ją:

–Może przeszlibyśmy do naszego centrum rekreacyjnego na szklaneczkę czegoś chłodnego?

–No-m... Bez przesady-m... – odezwał się Yoos O’Ryan.

–Nie jest... dzisiaj znowuż-m... tak zimno-m...

Pani La Salle zacisnęła na sekundę wargi, potem rozchyliła je i powiedziała patrząc na Kipa:

–Nie dziwię się Yoos, że nie odczuwasz jaka temperatura panuje na zewnątrz. Poza tym pan Stuthman proponuje nam coś chłodzącego, a nie rozgrzewającego.

–Właśnie mówię-m... – z przyganą w głosie powiedział O’Ryan. Zachwiał się i potracił Janę. – Sor-ry... – powiedział poważnie. – Chociaż pani jest taka-m... wystająca-m... – śmiecznie, bardzo wolno poruszał powiekami, jakby kleiły mu się albo czepiały gałek ocznych.

–Yoos! – syknęła pani La Salle. – Może pozwolisz mi odpowiedzieć na pytanie pana Stuthmana?! – odwróciła się do Kipa i łaskawie skinęła głową: – Rzeczywiście, to niezły pomysł. I będziemy tam mogli spokojnie zastanowić się, co robić dalej.

–Mamy jeszcze tylko dwie godziny – wtrącił się mąż.

–Chciałbym, kochanie, w domu obejrzeć transmisję z „Gwiezdnego Wilka”. Zresztą pan będzie chyba też zajęty w tym czasie?

Kip błyskawicznie rozważył argumenty za i przeciw szczerzej odpowiedzi i zdecydował, że lepiej będzie zostawić cień szansy ślicznej Janie.

–Och, nie. Najbardziej zajętymi ludźmi będą technicy, niemal cała reszta będzie widzami. Winda wyhamowała łagodnie i Kip pospieszył do wyjścia. Uznał, że jeśli jeszcze raz będzie

świadkiem jakiegokolwiek porażki Jany, to ta znienawidzi go serdecznie. „Trzeba powoli -zdecydował w myślach – przechodzić na jej pozycje. Nie spiesząc się, bo może z tego nic nie wyjść i w dodatku wpadnę pod krechę u tej małej ptaszyny”.

Wyszli na zewnątrz. Upał uczciwie zapracowywał na swoją opinię, ale pod szerokim dachem, gęstą siecią pokrywającym obszar między budynkami, w szczelnym cieniu można było w miarę spokojnie pokonywać przestrzeń nawet bez pomocy wózków.

–Pójdziemy na – piechotę – oświadczyła pani La Salle wyprzedzając pytanie Kipa. – Dobrze nam to zrobi...

Jak na komendę wszyscy odwrócili się i popatrzyli na Yoosa. Pot trysnął z każdej pory jego ciała, ale O’Ryan nie zraził się tym. Najpierw, spokojnie obserwując przyglądających mu się towarzyszy, dokładnie wytarł twarz chusteczką wyszarpiętą z pojemnika na obudowie barku, a potem sięgnął pod kopułę i wyjął stamtąd kwadratową puszkę z napisem „Best Beast” i kilka razy strzelił umocowanym do dna spieniaczem. Stojący najbliżej niego

Hagood Baum szybko odsunął się. Piana prysnęła w jego kierunku, ale udało mu się uniknąć ochłapania. Heca szczerzyła zza stóp Geofreya.

–No to proszę... Pozwoli pani... – wyszczerzył zęby do Emmy i wysunął w jej kierunku zgięty łokieć.

Pani La Salle godnie uchwyciła go pod ramię i narzuciła tempo marszu. Mały pochód, bez pośpiechu maszerował po rozciągniętym na ziemi cieniu. Kip po drodze wyjaśniał starszej pani przeznaczenie mijanych budynków.

–A to niskie? Tam... – wskazała palcem. – Między tym wysokim i tym z czerwonym dachem?

–To? – Kip zmarszczył brwi. – Al! To wejście do schronu. Chyba najstarszy obiekt w Anjou. Nie chyba, na pewno... Wszystkie inne były burzone i stawiane na nowo, a na to i szkoda pieniędzy... – machnął lekceważąco wolną lewą ręką...

–I może się mimo wszystko przydać... – wtrącił z tyłu Geofrey La Salle. Kip obejrzał się. Birdy szła obok starszego pana z Hecą na ręce.

–Wie pan, że chyba taki – powiedział Kip przez ramię.

–Poza tym zburzenie tego co jest na wierzchu nie ma sensu, bo najważniejsza część to oczywiście podziemia. A z kolei wygrzebywanie wszystkiego co tam jest byłoby zbyt kosztowne, a miejsca, jak państwo widzicie, nam tu nie brakuje. Możemy się rozbudowywać w każdym kierunku. Tu skręcamy... – wskazał drogę i po kilku krokach dodał: – Jesteśmy na miejscu.

Weszli pod inny, zbudowany z rozpraszających światło słoneczne tafli dach, pod nogami zamiast – syntetycznego żwiru rozpostarł się soczysty dywan z trawy. Po kilku krokach, ścieżką wijącą się między aromatyzującymi powietrze krzewami i kilku niskimi ozdobnymi miniaturowymi dębami, dotarli na brzeg sporego basenu, którego jeden brzeg tonął w szczególnie

gęstym cieniu. Kip niczym troskliwa kwoka zaprowadził tam „ekipę”, po czym sprawdził czy wszyscy mają miejsca na kanapach i fotelach i szybko ulotnił się pod pozorem przywołania wózków z napojami. Wszedł do barku i skierował cztery wózki w cień obok basenu, a sam przeskoczył wysoki kontuar i z przyjemnością, potęgowaną przez konieczność pośpiechu, wychylił ćwierć szklaneczki whisky.

–Dla mnie też! – usłyszał za plecami głośny szept.

Jana Peacock bezszelestnie podeszła do kontuaru i stała z wyciągniętą dłonią. Kip zobaczył, że jest na krawędzi wybuchu. Nalał jej niemal dwa razy więcej niż sobie i podał, a „potem, korzystając z tego, że butelka nie była jeszcze zakręcona powtórzył swoją porcję. Jana wypita połowę i popatrzyła na Kipa.

–Co za banda! – powiedziała. Z kieszeni zamaskowanej w obfitych fałdach spódnicy wyjęła papierośnicę i poczęstowała Kipa, a widząc jego przeczący gest zapaliła sama. – Ten kretyn pijak... I oboje La Salle...

–Nie przejmuj się – wzruszył ramionami Kip. – Jeszcze dwie godziny i będziesz miała ich wszystkich z głowy...

–Żeby! Mam kontrakt na tydzień, a to jest drugi dzień!

Kip odłożył szklankę i butelkę na kontuar. Z kieszeni wyjął swoją gumę i pracowicie roztarł zębami kostkę do konsumpcyjnej gęstości.

–Chodźmy... Bo jeszcze zerwą kontrakt...

Minął Janę i wypchnął jeszcze jeden wózek z barku. Nie zwracając uwagi na dziewczynę dopijającą swoją whisky wrócił do towarzystwa zajętego wyrównywaniem bilansu wodnego w organizmie. Emma i Geofrey La Salle poprzestali na soku cytrynowym, pozostali sączyli bardziej lub mniej wymyślne koktajle. Kip dołączył do grupki, wyjął z wózka ostro pachnący muscatel i, pamiętając o wypitej przed chwilą whisky, wypił duszkiem prawie połowę szklanki.

— Panie Stuthman... – ważąc każdy dźwięk powiedział La Salle -...wydaje mi się, że ma pan z nami problem...?

Proponuję zatem... żebyśmy zwiedzili ten schron... – wskazał kciukiem przestrzeń za swoimi plecami.

Cała grupka zafalowała – nikt z obecnych nie pozostał obojętny na propozycję starszego pana, reakcja sprowadzała się jednakże tylko do ruchów głowy czy krótkiego trzepotu dłoni. Kip zareagował poruszeniem brwi.

–W zasadzie... – powiedział z wahaniem w głosie.

–W zasadzie... – pomysł zaczął mu się podobać. – Tak!

–Jasne... Proponuję spędzić tu jeszcze chwilę, a potem zjedziemy na dół. Możemy nawet obejrzeć tam na dole transmisję klasną w dłonie. – Świetny pomysł!

–Mnie się nie podoba – zacisnęła wargi pani La Salle.

–Przecież to zwykła piwnica, może nieco większa...

–Tak, tak... – pospiesznie zgodził się Geoffrey. – Transmisję obejrzymy już w domu.

Yoos O’Ryan odchrząknął starannie. Kip zerknął na niego zachęcająco. „Zaraz wyskoczy z czymś” – pomyślał.

–Jeśli to jest piwnica-m... To z przyjemnością-m... tam-m... – zajrzę... Jakiś dobry-m stary rocznik-m...

–Yoos! – pisnęła Emma La Salle. – Jeśli natychmiast nie przestaniesz... – zabrakło jej słów, zamilkła – nie mogąc wyartykułować wystarczająco mocnej groźby.

Kip zarechotał w duchu, wydało mu się, że to samo zrobiła Birdy i – o dziwo – sam Yoos. „Ciekawe – pomyślał Kip – dlaczego on ją tak maltretuje, a ona go cierpi?” Dopił swój muscatel i podniósł się z ławki.

–No to chodźmy, skoro nie ma innych propozycji...

Grupka zawirowała, jej członkowie zaczęli się przemieszczać, mieszać ze sobą starając zająć pozycje wyjściowe zgodne ze statusem i chęciami. Kip wysunął się na czoło grupy i poprowadził ją w kierunku schronu. Po drodze połączył się z administratorem i upewnił, że do schronu można wejść bez jakichś specjalnych zezwoleń i wysłuchał kilku zwięzłych instrukcji. Gdy znaleźli się przed wejściem do przysadzistej kopuły nakrywającej szyb odwrócił się do grupy.

–Schron został wyposażony w nowoczesną jak na owe czasy windę pneumatyczną, tak zwany spadochron. Teraz, rzecz jasna, to rozwiązanie śmieszne, ale jest jednocześnie najzupełniej bezpieczne. Proszę...

Uruchomił zamek liczbowy i wszedł pierwszy do okrągłego pokoju – kabiny spadochronu. Za nim weszli, w niezmiennej kolejności: małżeństwo La Salle z sekretarzem, druga wicemiss stanu, Yoos, Chińczyk i dwaj mężczyźni, którzy nie odzywali się, trzymali się wciąż gdzieś z tyłu albo z boku i wyglądali na dość zmęczonych. Gdy ostatni, chyba nazywał się Hagood Baum, wszedł, Kip musnął palcem archaiczny sensor płonący mocnym purpurowym światłem i podłoga runęła w dół, a ciała uczestników wycieczki po ułamku sekundy pognały za nią. Ktoś, któryś z mężczyzn powiedział „O, cholera...”, Emma La Salle odetchnęła głęboko, ale – być może pod wpływem uścisku dłoni męża: „Moja droga, nie pozwalaj sobie na uzewnętrznianie prostych odruchów”, nie wydała z siebie żadnego dźwięku. W drugiej sekundzie spadła Heca rozpląszczyła się na podłodze, a Jana zaczęła walczyć z fałdami spódnicy, które słaby prąd powietrza od podłogi unosił ku górze. „Mógłbym też tak pobaraszkować przez chwilę z jej nogami” -pomyślał Kip i zerknął na poziomomierz. W tej samej chwili podłoga wzmogła nacisk na ich nogi, wyhamowali łagodnie, wydęta spódnica Jany opadła, a w ścianie tuż obok prawego barku Kipa otworzyły się drzwi. Jakiś obcy głos nienaturalnie głośno wymamrotał:

–Proszę przechodzić pojedynczo, natężenie ruchu regulują czerwone i zielone światła. Wystrzegajcie się paniki. Podporządkowujcie się bezwzględnie poleceniom przełożonych... –

w drugim zdaniu głos ścisł nieco.

–Geoffrey... Po co myśmy tu przyjechali? Nie uważasz...

–Koch-chanie... – powiedział nieskończenie cierpliwym głosem La Salle. – Właśnie to jest tu najciekawsze – możemy sądzić o atmosferze, jaka panowała kilkadziesiąt lat temu na naszym globie. Możemy wczuć się w położenie ludzi, którzy musieliby korzystać z tego schronienia. Czy to nie fascynujące?

Emma patrzyła chwilę na męża jakby spodziewając się, że za kilka sekund odwoła wszystko co powiedział i widząc, iż nie zabiera się do tego wolno skinęła głową. Kip oderwał się od ściany i pierwszy wkroczył do półmroczonej gardzieli korytarza. Automaty dość długo analizowały jego stan – kilkanaście wąskich sznurzych ryjków wyskoczyło ze ścian i zaczęło dźgać swoimi pyszczkami ubranie Kipa na różnej wysokości. Nie mogły uwierzyć, że zjawił się człowiek, który nie nosi na sobie ani agresywnych bakterii, ani paraliżujących substancji, nie umiera sam i nie próbuje spowodować śmierci pozostałej załogi schronu. W końcu, po dwóch czy trzech minutach, rozbłysło zielone światło i Kip, dość mocno już zirytowany procedurą kontroli, przeszedł kilka kroków, skręcił w lewo i znalazł się w jasnej części odkażalni. Wsunął do ust kostkę gumy i poczekał na panią La Salle, która tuż za nim weszła do korytarza odkażalni, Automaty o wiele szybciej uporały się z nią, widocznie potrafiły wyciągać wnioski z badania pierwszej osoby. Emina podeszła do Kipa i westchnęła.

–Mężczyźni... – powiedziała –...niezależnie od wieku są infantylni – wciąż podniecają ich tajemnice, bunkry, ciemność i przemoc. Zgadza się pan ze mną?

Ponad ramieniem Emmy Kip zobaczył jej męża. Automaty przyspieszyły, procedurę i wyganiały ludzi z korytarza w równych kilkusekundowych odstępach.

–Szukamy niebezpieczeństwa chcąc was przed nim obronić – szarmancko wyrecytował Kip. „Co za durna nadęta prukwa?! Boże, jeśli istnieje gdzieś kobieta, której sądzone jest dożyć przy mym boku podeszłego wieku, to odmień panie jej los i jak najszybciej zrzuć tę panią w najbliższą przepaść. Tylko sprawdź czy jest wystarczająco głęboka”.

Uśmiechając się poczekał aż Geoffrey zbliży się do nich. Zaraz za nim pojawiła się Birdy z Hecą na ręce. Kip dotknął ramienia Emmy i wskazał jej drzwi na korytarz.

–Chodźmy do tak zwanej centrali – powiedział. – Tam poczekamy na resztę.

W centrali wywołał komputer i polecił włączyć ścianę monitorów. Dość przestarzały sprzęt rozgrzewał się dwie czy trzy minuty. Gdy wszedł ostatni z wycieczki połowa ekranów jarzyła się, a odpowiednie układy pospiesznie doprowadzały obraz na nich do stanu podstawowej użyteczności.

Kip wstał i podeszedł do długiej, szerokości niemal metra, konsoli.

–To jest centrum naszego schronu – powiedział. – Kiedyś zapewne można było stąd odpowiedzieć rakietową salwą na atak przeciwnika lub wyprzedzić atak. Teraz kilkadziesiąt

przycisków jest martwych – wskazał dłonią kilka szeregów testerów nakrytych przezroczystymi kopułkami. – W gruncie rzeczy, pulpit spełnia aktualnie funkcję tylko komunikacyjną – mam na myśli łączność z powierzchnią. Można ewentualnie zmienić pewne parametry działania wyposażenia schronu: wzbogacić mieszankę oddechową, zarządzić dodatkową dezynfekcję czy coś w tym stylu. Poza tym schron jest autonomiczny – to zrozumiałe, bo przecież mogli tu przebywać ludzie w różnym stanie – chorzy, poparzeni, załamani psychicznie, więc schron musiał opiekować się nimi. Nawet wbrew ich woli. Komputer, plan schronu! – dość głośno powiedział w kierunku sufitu i, mając plan na ekranie, wskazując poszczególne części palcem, mówił dalej: – Jesteśmy w centrali, o tu. Obok, po tej samej stronie korytarza znajdują się duże pokoje dla kadry, sztabu czy po prostu dla kilku osób, które trzeba było na przykład odizolować od reszty. Mamy tu trzy takie pomieszczenia. Po drugiej stronie korytarza są mniejsze pokoje, jest ich chyba około tuzina. Poza tym jest tu magazyn broni i środków chemicznych. Odkażalnię już znamy. I to właściwie wszystko. Jest jeszcze jedna kondygnacja, pod nami. Są tam warsztaty, urządzenia filtrujące, zbiornik z wodą, cieplarnia i coś tam jeszcze, niestety dokładnie nie wiem... – wzruszył ramionami.

–Co jeszcze mógłbym dodać? Może po prostu przejdźmy się po tych pomieszczeniach, to znaczy państwo się przejdziecie, a ja spróbuję doprowadzić te monitory do jakiegoś porządku i zobaczę co może nam zaszerwować tutejsza kuchnia.

–Chce pan nam-m... dać jakieś... zap-rrr... zapleśniałe konserwy-m? – wymamrotał O’Ryan.

–O-o-o! Gwarantuję wysoką jakość pożywienia – pomachał dłonią Kip. – Tradycją jest, że co kilka miesięcy zapasy są odnawiane.

Yoos pokręcił z niedowierzaniem głową i sięgnął do swojego barku. Pracowicie wygrzebał puszkę piwa i pstryknął w spieniacz.

–A napoje? – zerknął spode łba na Kipa.

Zanim Kip zdążył go uspokoić pani La Salle szarpnęła męża za ramię.

–No to chodźmy obejrzyć te sypialnie żołnierzy – powiedziała niemal nie poruszając wargami.

Ruszyli do drzwi. Zaraz za nimi wyszła Birdy i sekretarz ochroniarz, tuż za nimi wysunęli się pozostali. Został Yoos, kiwający się między pulpitem i barkiem, oraz Jana, która usiadła w lekkim foteliku i założyła nogę na nogę, dbając by spódnica odsłoniła je najwyżej do połowy łydki. Kip usiadł przed pulpitem i przysunął do siebie mikrofon.

–Komputer! Szybko wykonać testy kontrolne. Tryb awaryjny. Uruchomić kuchnię z pełnym zestawem dla kadry najwyższego stopnia. Czy wszystko jasne?

W głośnikach rozległ się cichy terkot, napłynął jakby z daleka, wzmocił się i gwałtownie ucichł. Gdy komputer odezwał się jego głos miał nieprzyjemne metaliczne brzmienie, ale niemal natychmiast zadziałały odpowiednie korektory.

–Dwa monitory wymagają złomowania i wymiany... Kuchnia jest już uruchomiona. Proszę o instrukcję, które pokoje będą zajęte przez żołnierzy...

–Ch-cheup! – zbulgotał z tyłu Yoos.

–Pokoje nie będą zajmowane. Proszę sprawdzić czy transmisja telewizyjna może się odbyć bez komplikacji...

Wstał i przeciągnął się, „Gdyby nie ten pijus – pomyślał – mógłbym wykorzystać zły humor naszej drugiej. Nic tak nie ułatwia roboty jak rozgoryczenie kobiety”. Zerknął na Janę.

Zdażyła wyjąć papierosa i nerwowo paliła go patrząc w podłogę. Kip podszedł do niej i usiadł w foteliku obok.

–Coś mi się zdaje, że wybrałaś sobie ciężki zawód – zagadnął.

–Niewątpliwie... – zaciągnęła się i popatrzyła na Kipa.

–Cała nadzieja, że z każdą chwilą staję się coraz starsza...

O’Ryan wrzucił puszkę do szuflady w dolnej części barku i usiadł w fotelu opuszczonym przez Kipa.

–Na pewno nie jest łatwo być zawodową pięknością – rzucił Kip przygotowując się do serii sprawdzonych komplementów.

Jana odrzuciła pasmo włosów z czoła i rozdeptała na podłodze niedopałek. Patrzyła chwilę na Kipa. Uśmiechnęła się lekko.

–Daj sobie spokój, mój mały – powiedziała. – Jestem wściekła, ale jestem zawodowcem. Sam to powiedziałeś. A zawodowcy nie ulegają emocjom. Zajmij się Birdy, będzie szczęśliwa. A do mnie zadzwoń za pół roku, gdy wygaśnie kontrakt.

Będę...

Przenikliwy dźwięk wydobywający się z pulpitu przerwał jej wypowiedź i uwolnił Kipa od męki przeżywania rozczarowania. Zerwał się i podbiegł do panelu, od którego nadzwyczaj rączo odskakiwał O’Ryan.

–Stukałem sobie... – powiedział szybko bez tych pijackich przydźwięków.

Kip odepchnął go i popatrzył na pulpity. Najpierw nie zobaczył niczego szczególnego, ale w tej samej chwili na ekran wypełził komunikat:

BLOKADA POŁĄCZENIA Z POWIERZCHNIĄ ZREALIZOWANA. UNIERUCHOMIONO BLENDY PRZESŁANIAJĄCE NA CAŁEJ DŁUGOŚCI SZYBU WINDY. NAJWYŻSZA GOTOWOŚĆ ZESPOŁU ANALIZATORÓW...

–Komputer! – wrzasnął Kip. – Co się stało? Dlaczego zablokowałeś windę? Odpowiedz fonicznie!

–Otrzymałem bezpośredni rozkaz z klawiatury. Schron jest odcięty na sześćdziesiąt dwie godziny...

–Stop! Odwołuję polecenie.

–Tego rodzaju rozkaz nie podlega odwołaniu... – spokojnie zakomunikował komp.

–Ażeby to diabli... – Kip trzasnął pięścią w ten fragment panelu, który wolny był od przycisków. Popatrzył przez ramię na Janę stojącą za jego plecami. – Komputer! Rozkaz był wydany omyłkowo. Nie znajdujemy się w stanie wojny, nie mamy potrzeby i nie chcemy siedzieć tu przez trzy doby. Musi być jakaś możliwość odwołania tego rozkazu. Połącz się z komputerem ośrodka i sprawdź to, co powiedziałem. Szybko!

Na dwóch martwych ekranach pojawiły się odbicia kilku sylwetek. Państwo La Salle wracali ze zwiedzania.

–Co się stało? Słyszeliśmy jakiś sygnał? – zapytał Geoffrey.

–Nie ma możliwości odwołania rozkazu. Powierzchnia nie ma priorytetu... – zameldował komputer.

Kip okręcił się na krześle i długą chwilę, wypełnioną mnóstwem niewypowiedzianych inwektyw patrzył w przestrzeń.

–Musimy tu siedzieć prawie trzy doby. Właśnie zostaliśmy odcięci od powierzchni... -powiedział najspokojniej jak mógł.

–Jak to?

–Dlaczego?

–Co się stało?

Kip uniósł obie dłonie ku górze, a gdy zapanowała cisza wskazał Yoosa i zakomunikował:

–Pan O’Ryan bawił się klawiaturą i doprowadził w ten sposób do izolacji schronu. Kilkanaście par oczu zaczęło wypalać dziury w ubraniu O’Ryana. Emma La Salle splotła

palce obu dłoni i mocno zacisnęła je. Geoffrey przestąpił z nogi na nogę.

–Niemożliwe, żeby nie dało się odblokować głupiego rozkazu...

–Niestety. Przewidziano to gdyby, na przykład któryś z żołnierzy chciał – pod wpływem chwili szaleństwa czy depresji – wyjść na zewnątrz narażając wszystkich pozostałych. Inaczej taka blokada nie ma sensu.

–Czili musimy tu bicz na trzy dni? – falsetem zapytał Chińczyk.

–Tak – pokiwał głową Kip.

„Ciekawe dlaczego nikt nie wrzeszczy na tego O’Ryana – przemknęło mu przez głowę. – Ja bym mu obił głowę, a oni przeżuwiają przekleństwa i milczą. Co to za towarzystwo?”

–Co my tu będziemy robić przez trzy dni? – zapytała Birdy.

–Nie wiem... Możemy coś przekąsić. Potem urządzimy sobie party. Obejrzymy transmisję... – wzruszył ramionami Stuthman. – Komp ma bibliotekę... Poza tym poprosimy powierzchnię, żeby dali nam coś ekstra. Nic więcej nie wymyślimy.

Wzruszył ramionami i bez pośpiechu zlustrował grupkę pierwszych mieszkańców schronu.

„Mamy tu – pomyślał – kolejny rozdział psychoopisu grupy mieszanej. Staruszka, gdyby mogła, chlusnęłaby z siebie strugą wyzwisk. Na pewno zna kilka ciekawych rynsztokowych archaizmów. Małżonek ma tylko jedno zmartwienie – jak wyjść z twarzą z idiotycznej sytuacji, w korą wpakował się sam i to z grupą wasali. Jeśli zacznie kłać, to tym samym pozwoli im, a to będzie znaczyło, że nie panuje nad nimi. Wobec tego zamknie się i pozamyka głęby innym. Kochany Yoos chyba wytrzeźwiał, w każdym razie przestał muczeć. Oba ptaszki, jak widzę -spokojne –

i jedna; i druga, i tak musiałyby bawić to towarzystwo jeszcze przez kilka dni, pomyślały chwilę i uznały, że mogą to robić również tutaj, a na dodatek mają szansę na ubaw, jeśli mimo wszystko ktoś pęknie i wygarnie staruszkom co o nich myśli. Żółtek jak to żółtek -nieprzenikniona plama ciemności. Zostają ja... Właśnie! Jakie jest moje zdanie? Ha! Zaoszczędzę na telefonie do Birdy, a przez trzy doby może pięć nawet rozgoryczona druga wicemiss... Ależ numer wyciął O’Ryan!”

–Proszę przejść do sali obok, tam założymy jadalnię – powiedział wskazując kciukiem ścianę. – Ja porozumiem się z powierzchnią i zaraz do państwa dołączę.

Milcząca ponura grupa pojedynczo wyszła z centrali, ostatni ruszył do drzwi Yoos, dotychczas opierający się o jedną ze ścian. Tuż przed progiem odwrócił się i popatrzył na Kipa, potem ciężko westchnął, dość nieudolnie demonstrując skruchę i półgłosem rzucił -w specyficznej sekwencji – kilka słów. Gdy zamknęły się za nim drzwi Kip powtórzył je równie cicho, starając się wiernie odtworzyć układ i intonację. Postanowił użyć ich przy najbliższej, równie dobrej okazji...

Nie bardzo chce mi się wierzyć, że nie można sforsować tego... nieszczęsnego schronu -powiedział zająkując się przed określeniem schronu Hagood Baum. Odezwał się po raz pierwszy, głos mu lekko drżał, ale widać miał jeszcze przed chwilą nadzieję na pomyślne rozwiązanie problemu a teraz, gdy Kip relacjonował krótką rozmowę z kompetentnym technikiem, pęki i pozwolił sobie na coś w rodzaju niesubordynacji wobec pana La Salle.

–Niestety... – Kip zsunął na swój talerz najcieńszy ze sterty befsztyków. – Zapomina pan o przeznaczeniu pomieszczenia. To schron bojowy. W naszym przypadku coś tam na górze się blokuje, uruchamiają się automaty strażnicze i inne niespodzianki. Na pewno nie ma sensu pchać się tam z łomami.

–Tak, tylko że...

–Hagood – szybko powiedział Geoffrey La Salle i, gdy Baum zamilkł, odchrząknął krótko. – Zaraz zasiadam do centrali – i tak muszę załatwić kilka spraw i, rzecz jasna, zawiadomię Henry’ego, że znalazł się pan, jak i my wszyscy, w trzydniowej pułapce. Gwarantuję, że nic pan na tym nie straci.

„Będziesz durniem Hagood, jeśli nie zrozumiałeś, że zyskasz dużo, jeśli nie będziesz przeszkadzał panu La Salle w utrzymaniu w ryzach towarzystwa – pomyślał Kip. – No, dobry

chłopiec, nie jesteś durniem. Nawet pomożesz suzerenowi, tylko zamknij gębę, żuchwa ci wpadła do talerza. A befsztyk nie jest najlepszy. Ciekawe kto pierwszy zademonstruje brak opanowania i powie o tym głośno?”

Odsunął talerz i wytarł usta chusteczką. Ruchem kciuka otworzył puszkę soku i wypił połowę, Patrząc ponad głowami obecnych, gdzieś na styk ściany z sufitem, otworzył i rozżuł płytkę nikogumy.

–Do piątej została nam jeszcze godzina – oświadczył.

Jeszcze przed sekundą miał zamiar dać obecnym wolną rękę, teraz niespodziewanie dla samego siebie postanowił przejąć władzę w schronie. – Sądzę... – kontynuował pewnym siebie tonem -...że wszyscy obejrzymy z przyjemnością, drugą w historii ludzkości bezpośrednią transmisję z wyprawy kosmicznej. Potem będziemy mogli uciąć sobie partyjkę panoramy albo S-szachy, albo co tylko nam przyjdzie do głowy.

Zgoda? – postarał się, by pytająca intonacja była maksymalnie nikła.

Zgodnie z przewidywaniem nikt nie zaoponował. Tylko Jana odczekała grzecznie chwilę i potrząsnęła głową układając włosy w nieco inny niż dotychczas sposób.

–Może byśmy teraz podzielili pokoje? Chciałabym się wykapać...

–Tak! – odezwała się Emma. Przez cały czas miała mocno zaciśnięte usta i teraz, ponieważ nie dość szybko je otworzyła, jej potwierdzenie zabrzmiało jak kwaknięcie.

–No to może zajmijmy pokoje tak jak tu siedzimy?

— wtrąciła się Birdy. – Wtedy wiedzielibyśmy gdzie kto mieszka?

Świetny pomysł – z zapalem poparł ją Kip. – Gdyby były jakieś telefony do nas, to łatwiej będzie znaleźć... –

wzruszył ramionami i wskazując dłonią poszczególne osoby rozdzielił pokoje: – Pan Baum – rzymska jedynka. Panna Peacock – trójka. Państwo La Salle – siódemka. Pan Lattuada zajmie dziewiątkę. Pan O’Ryan – trzynastkę. Panowie Shakesby i Li Wan odpowiednio piętnastkę i szesnastkę. Ja rozmieszczę się w arabskiej czwórce, po drugiej stronie korytarza, to tu, obok jadalni. Aha! Zostaje Birdy... – poprzebierał palcami w powietrzu. – No to albo rzymska dwójka w drugim szeregu pokoi, albo jeśli się boisz to rzymska piątka?

–Proponuję, by państwo La Salle zajęli tę piątkę – szybko zareagowała Birdy. – Jest większa, a ja wezmę ich siódemkę.

Jasne! Przepraszam, że sam o tym nie pomyślałem – Kip skłonił przepaszającym gestem głowę przed Emmą La Salle.

Szurnęło kilka krzeseł. Pierwszy poderwał się i wyszedł Shakesby. Zaraz po nim wysunęła się Jana. Kip przepuścił przodem państwa La Salle i wyszedł na korytarz. Ubarwiały go przez chwilę sylwetki ludzi, potem plamy ich postaci poznikały w ciemnych otworach drzwi. Jaskrawożółta kolumna automatu porządkowego niemal bezszelestnie przesuwała się po podłodze tuż obok ściany, pozostawiając po sobie mokry błyszczący pas o szerokości jednej

trzeciej korytarza i sięgający na ścianie prawie do pasa Kipa. Człowiek zrobił zgrabny zwrot z jednoczesnym krokiem do tyłu przepuszczając niczym wytrawny torreador na piaszczystej arenie zwalniający na jego widok automat.

„Ponuro. Nudno i ponuro. Trzy doby... – Kip wyciągnął wargi w ryjek i splunął gumą trafiając w tył pokrywy robota. Cleaner nie zwalniając wysunął z tyłu ssawę i połknął pozbawioną nikotyny masę kauczukową. – Zwariuję tu z nimi – zaczął przekonywać siebie w myślach Kip – zeświruję na sto siedemdziesiąt osiem i trzy czwarte procenta. Chyba żeby te...”

Otworzyły się drzwi oznaczone rzymską dziewiątką i na korytarz wyjrzał Warren Lattuada. Zobaczył Kipa, ale nie przejmując się jego osobą wolno zlustrował jedną stronę korytarza, a potem drugą i dopiero wtedy wysunął się cały z pokoju. Podszedł do Kipa i przyłożył palec do ust, dłoń położył na jego ramieniu i delikatnie pchnął w kierunku centrali. Po wejściu metodycznie rozejrzał się po pomieszczeniu.

–Pan był najbliżej z nas wszystkich... – Lattuada wskazał palcem pulpit ...tego, gdy schron został zablokowany. Czy to rzeczywiście był przypadek? – i widząc oszołomienie na twarzy Kipa dodał: – Mam powody by sądzić, że mogło to być ukartowane.

–Co ukartowane? Zamknięcie w schronie? – Kip pokręcił głową. – Pomysł zwiedzania podsunąłem ja, w takim razie jestem jednym z podejrzanych, a pan kiepskim detektywem rozmawiając ze mną.

–Nie miałem na myśli zaplanowania zamknięcia w schronie, ale wykorzystanie nadarzającej się okazji – powiedział Lattuada i nerwowo rozejrzał się po centrali.

–Cóż... Tego to ja już nie wiem... Patrzyłem w inną stronę.

–Kątem oka widziałem, że O’Ryan zachwiał się i poleciał w stronę konsoly, ale czy to było zagrane, czy autentyczne nie umiem powiedzieć.

–Ta-a-ak...

–A jak może wykorzystać O’Ryan zamknięcie tu obojga La. Salle i całej waszej wycieczki? Bo tak należy rozumieć pańskie dochodzenie?

–Właśnie! To mnie męczy... – Lattuada zaczepił stopą jedną z nóg najbliższego krzesła i zaczął przesuwać je po podłodze tam i z powrotem, tam i z powrotem. – Widzi pan...

–Ich stosunki są... Dość szczególne, powiedziałbym. W każdym razie nie mogę wykluczyć, że Yoos niespecjalnie lubi Emmę i Geofreya La Salle...

„A to ci odkrycie! – parsknął w duchu Kip. – Z odległości trzech kilometrów bez lornetki widać, że Yoos ugryzłby Emmę w kostkę, gdyby mógł. Zresztą ja też nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zgniły pomidor spadł jej na

głowę. Wredna babunia”.

–Nie mogę pana wtajemniczać we wszystkie niuanse ich stosunków... – Lattuada przerwał widząc kątem oka, że drzwi do centrali otwierają się. – Tak więc przejrzę teraz wszystkie pomieszczenia w drugim ciągu pokoi... – kontynuował patrząc Kipowi prosto w oczy. – Zresztą

rzucę okiem na wszystkie pomieszczenia, z wyjątkiem, rzecz jasna, zajętych pokoi.

–Proszę bardzo. Mnie by się nie chciało. Przypominam, że magazyn broni i chemiczny są wyłączone spod kontroli komputera i, z tego co zdążyłem się dowiedzieć, są po prostu zamknięte na amen. Fizycznie. Na końcu korytarza są drzwi na drugi poziom, techniczny. Zbiorniki z wodą, tlenownia i jakieś warsztaty. Wszędzie może pan zajrzeć... – gestem obu dłoni przekazał schron Lattuadzie.

–Dziękuję – Lattuada ominął O’Ryana i wyszedł. Stuthman podrapał się po karku i opadł na najbliższy fotel.

Yoos zbliżył się do swojego barku i położył dłoń na jego pokrywie.

–Napijesz się ze mną?

–Kilka osób w tym gronie sądzi, że ma pan już dosyć.

–Wypiłem dzisiaj jedno piwo i litr różnego rodzaju płynów zamaskowanych pod alkohol –spokojnie odpowiedział O’Ryan. – Tylko Heca jest ode mnie trzeźwiejsza.

–Odczekał chwilę i zapytał: – Nie pytasz co to wszystko znaczy? Nie jesteś zdziwiony?

–Nie jestem zdziwiony, bo od godziny wiedziałem, że nie jest pan pijany, a co za tym idzie –udaje, że pije. A co to znaczy, nie bardzo mnie obchodzi – zmarszczył nos. – To wasze sprawy...

–Bardzo słuszny stosunek – poważnie pokiwał głową Yoos. Jego dłoń zanurzyła się w barku. – To co? Małego oryginała?

–Z przyjemnością – szczerze odpowiedział Kip. O’Ryan wyjął dwie podwójne whisky w jednorazowych porcjowanych kubkach i jeden z nich podał Kipowi. Otwierając swój zerknął na Stuthmana i wyrzucił z siebie: – Nienawidzę tej baby i nie mogę sobie odmówić przyjemności rujnowania jej układu nerwowego. Chociaż... – uniósł w górę swoją szklaneczkę i łyknął z niej obficie –...jestem świadom, że jej to nie szkodzi. Stara mandolina... – pociągnął jeszcze raz.

„A co to mnie obchodzi, hę? Wasz alkohol, wasze nerwy, wasze awantury... Zostawcie mi te dwie babeczki, a reszta niech się powiesi, nawet w trzech rzutach. A whisky nieźła” – pomyślał Kip i również wypił kilka łyków.

Yoos przestał mówić i zajął się trunkiem. Kilkadziesiąt sekund trwała cisza przerywana tylko cichutkim chłupotem alkoholu w szklaneczkach i nieco głośniejszym mlaskaniem konsumentów. Gdy w naczyniach zostało po kilka centymetrów sześciennych płynu do centrali weszli małżonkowie La Salle. Emma zacisnęła wargi, choć wydawało się, że jest to już niemożliwe. W szybkim spojrzeniu Geofreya rzuconym w stronę Yoosa Kip zauważył sporą porcję współczucia. Wyglądało na to, że obaj mężczyźni dogadaliby się, gdyby nie mur w postaci Emmy. Kip podniósł się i podsunął jej swój fotel, ale – co natychmiast zrozumiał – pijąc z O’Ryanem stracił w jej oczach wiele. Emma opadła z cichym, wydanym przez nos, westchnieniem na najbliższy fotel i wbiła spojrzenie w spojenie ściany z sufitem.

–Zostało pół godziny – Kip wstał i podszedł do pulpitu.

–Bawił się chwilę kontaktronami a potem, nie włączając fonii, ustalił program i wrócił do swojego fotela. Zanim usiadł zjawiała się Birdy, a zaraz potem zaczęli ściągać do centrali pozostali uczestnicy wycieczki. Ostatnia weszła Jana w zgrabnym cienkim szaropopielatym kombinezonie.

–Znalazłam w szafce – wyjaśniła widząc zdziwione spojrzenia mężczyzn. – Jest również uniwersalne obuwie... – wysunęła do przodu stopę, a wszyscy jak zahipnotyzowani przyjrzeni się wielowymiarowemu bucikowi na miękkiej podeszwie. – Nadspodziewanie ładne, czyż nie?

Zły humor Jany ulotnił się jak obłoczek kamfory. Włosy zaczesła ciasno na tył głowy i splotła w sztywny warkocz.

„Może jednak niesłusznie została tylko drugą wicemiss” -przemknęło przez myśl Kipowi.

–Wyglądasz niezwykle dzielnie i uroczo – poderwał się ze swojego miejsca Geoffrey La Salle i niemal natychmiast usiadł, niewątpliwie przypomniawszy sobie o Emmie.

Jana zrobiła kilka kroków i usiadła w wolnym fotelu. Panowała nad sytuacją i mężczyznami, wiedziała o tym i nie miała zamiaru pozwolić, by czyjkolwiek zły humor miał jej zepsuć chwile panowania w schronie. Nie spojrzała w stronę Birdy, ale zrobił to Kip i napotkał wściekłe spojrzenie dziewczyny. Wzruszył lekko ramionami, że niby niech ma ta druga wicemiss swoje chwile triumfu i odebrał pełne wdzięczności, podobne w treści spojrzenie Birdy. „Wszystko mi sprzyja – pomyślał. – Dam sobie wyrwać obie przednie jedyki, jeśli nie zrobią sobie na złość, a skorzysta na tym mały Kip. Twoje zdrowie, zazdrości!” Dokończył whisky i schyliwszy się pchnął pusty kubek w kierunku śmieciarki.

–Panie Stuthman... – odezwał się La Salle. – Może wprowadziłby pan nas w zagadnienie... e-e... tych transmisji? Kilka słów, przystępnie... Jak dla laików.

–Sam jestem dyletantem – uśmiechnął się Kip. – To są problemy techniczne tak złożone... W skrócie wygląda to tak.

–„Gwiazdny Wilk” znajduje się w przestrzeni kosmicznej prawie dwadzieścia dwa lata. W tym czasie oddalił się od Ziemi na...

— zawahał się, ale nie zdołał przypomnieć sobie na jaką odległość oddalił się statek –

...olbrzymią odległość. W każdym razie meldunki docierałyby do nas z gigantycznym opóźnieniem i mocno uszkodzone. Zaradziły temu tak zwane synklawy. Są to dwa – jak na razie – dwa olbrzymie okręgi zbudowane z elementów pozwalających na natychmiastową transmisję fal radiowych i przedmiotów materialnych. Dlatego więc dzisiaj odbieramy pierwszą bezpośrednią transmisję z przestrzeni poza drugą synklawą...

–A skąd się one tam wzięły? – zapytał Shakesby.

Umieścił je sam „Gwiazdny Wilk”. Najpierw, poruszając się za pomocą napędu fotonowego,

oddalił się od naszego układu. Zbudowali tam pierwszą synklawę, wrócili i przeskoczyli przez nią na niewyobrażalną odległość. Synklawą wyrzucił jak z procy... Potem zaczęli budować drugą synklawę, znowu przez nią przeszli. Zbudują jeszcze trzecią i na tym koniec.

Wrócą na Ziemię. Ale od tej chwili każdy inny statek z odpowiednimi urządzeniami do współpracy z synklawami będzie mógł niemal natychmiast znaleźć się tam, dokąd „Gwiazdny Wilk” gnał dwadzieścia lat...

–I będzie buda następny synklaw? – zamiauczał Li Wan.

–Właśnie! Zbuduje następne trzy synklawy i wróci. Potem jego śladem pójda następne i tak dalej. Gdzieś, tam daleko, będzie można zbudować rozgałęzienia synklaw, tak że ekspansja nie będzie się odbywała w jednym kierunku. W każdym razie lot do układu odległego, powiedzmy, o sto tysięcy lat świetlnych potrwa nie sto tysięcy lat, lecz tyle tylko, ile trzeba będzie, aby dotrzeć doń od ostatniej, najbliższej mu synklawy.

–Czyli na przykład dwa lata.

–Hm... – odważnie włączył się do rozmowy Yoos.

–A te synklawy... Czym są napędzane?

–Chyba wylapują cząsteczki wodoru z przestrzeni międzygwiazdnej... Jest to tanie, ale musi potrwać zanim synklawa się naładuje: Dlatego dzisiaj jeszcze nie możemy skakać sobie dowolną liczbę razy w dowolnym czasie. No i same synklawy są piekielnie drogie. Nie byłoby na nie stać żadnego państwa ani nawet grupy państw. Tylko WN jest w stanie zbudować te koszmarnie drogie urządzenia i przeżyć to.

Podobno... Tak gdzieś czytałam... – zaszczębiotała Jana -...że za te pieniądze można by wyżywić całą kiedykolwiek żyjącą na Ziemi populację ludzką. Wszystkich ludzi od zarania dziejów – dodała jakby obawiając się, że ktoś nie zrozumie poprzedniego zdania.

–Tak... – zgodził się Kip. – Utworzono kilka takich porównań, by unaocznić ogrom przedsięwzięcia.

„Ale nie powiedziano, że to bujda – pomyślał. – I że transmisje mogłyby odbywać się raz w tygodniu. Tylko kto oglądałby tak częste transmisje? Nawet po reakcji tej grupki można zauważyć, że w dupie mają wyprawy międzygwiazdne i wszystko co z tym związane. No to co im dawać? To największy problem World Net. I nie wiem czy uda się to nam rozwiązać, czy nie skończy się to jakąś katastrofą. Kręcimy się jak pies goniący swój ogon. Jest to śmieszne, ale gdy w końcu złapie, powstaje problem – co z tym zrobić? Gryźć? Głupio bo boli. Puścić? Nie będzie nawet śmieszne i w ogóle – po co było łapać?”

–O! Mamy planszę! – pokazał palcem ekran Lattuada. Kip wychylił się z fotela i stuknął palcem w klawisz fonii.

Speaker odzyskał mowę.

–...wością, nieprawdaż? Mamy jeszcze sześć minut do wejścia, proponuję więc państwu stary dobry przebój Dorfa Moonridera *Gwiazdozbiór Paradox!!!*

Ekran rozbłysł różnokolorowo, w tęczowej poświacie wykrystalizowały się sylwetki kilku mężczyzn. Twarz jednego z nich wypełniła ekran, z głośników uleciało kilka cichych akordów. Dorf zaczął śpiewać.

Rok temu zmyłem uściski obcych dłoni Rok temu wyschły pocałunki i zwiędły kwiaty A ja wciąż radosny, z samotnością na raty Na wagarach z Ziemi!

Lecę! Moje dłonie niczym skrzydła pustkę tną. Lecę! Tchórzliwy ślimak – na grzbiecie niosę dom. Lecę! Beczka śmiechu, gdy ustaje wirowanie. Lecę... Najśmieszniejszy w świecie kosmiczny taniec.

Dzięki, Albercie!” Miałaś pomysł, dotknęłaś olśnienia Zostałaś w swoim, mnie podarowałaś inne czasy Wciąż radosny, wciąż samotności lasy Wagarowicz z Ziemi!

Lecę! Moje dłonie niczym skrzydła pustkę tną. Lecę! Tchórzliwy ślimak – na grzbiecie niosę dom. Lecę! Beczka śmiechu, gdy ustaje wirowanie. Lecę... Najważniejszy w świecie kosmiczny taniec.

Nie widziałem tam nic prócz mroku, pustki, czerni. Czułem tylko zimna dotknięcie Zły i samotny, syty zamknięciem Wagarowicz z Ziemi!

Drogi Albercie! Lala mojej córki zestarzała się do cna! Niebo dżga spróchniały pień wiązu, a sadziłem go sam.

Moim przyjaciółom wypływały twarze Na pryszczatych ze starości monitorach Może wziąć jeszcze więcej samotności?

Wagarowicz z życia! Wróciłem z gwiazdozbioru Paradox!!!

Lecę? Beczka śmiechu bo ustało wirowanie... Lecę... Najgłupszy w świecie, bo kosmiczny taniec!

Lider „The Animant” wysunął do przodu dłoń zasłaniając niemal całkowicie oko kamery. Hagood Baum parsknął głośnym śmiechem, a gdy wszyscy odwrócili się w jego kierunku potrząsnął głową.

–Piękne wzruszające wyznanie rodzaju ludzkiego! – powiedział głośno zagłuszając cichnącą muzykę. – Grafomaństwo najcięższego rodzaju, wszystkie gatunki błędów językowych

z ortograficznymi włącznie... – poruszył wargami, jakby chciał zebrać ślinę i splunąć na podłogę.

–Pa-anie profesorze! – pojednawczo odezwał się La Salle. – Być może razi to ucho specjalisty, ale piosenka rozrywkowa ma inne funkcje do spełnienia i nie można jej porównywać z poezją. Wyraża...

–Nic nit wyraża! – histerycznie krzyknął Baum. – Nic!

Jego niespodziewany wybuch sprawił większość obecnych w zakłopotanie. Kip poderwał się ze swego miejsca i podszedł do barku Yoosa. Właściciel pomógł mu wskazując palcem jedną z butelek i wyjmując stosik kubeczków. Kip chwycił butelkę za szyjkę i przebiegł spojrzeniem po zebranych.

–Sądzę, że wszyscy jesteśmy nieco podnieceni – stwierdził autorytatywnie. – Nie co dzień przeżywa się taką

przygodę, na pewno koliduje to nam wszystko z jakimiś własnymi planami... -odetchnął głęboko. – Myślę, że możemy potraktować kroplę alkoholu jako środek przeciwdziałający stresowi... – Nie czekając na aprobatę czy sprzeciw obszedł szybko wszystkich i powkładał w wyciągające się chętnie dłonie zabrane Yoosowi kubeczki i ponalewał do nich alkohol. Dłoń Emmy La Salle starała się zamanifestować swoją niechęć, ale nawet skóra zdradzała fałsz. Na końcu Kip nalał nieco więcej niż innym Yoosowi i sobie i od razu tę różnicę wlał do gardła. Dopiero potem odwrócił się w stronę ekranu.

Czołówka nie była zbyt oryginalna – z głębokiej czerni, nad osiągnięciem której szesnastu specjalistów pracowało przez prawie dwa miesiące, pędziły na widza jasne cętki gwiazd. Tuż przed uderzeniem w wewnętrzną stronę ekranu rozbłyskały różnobarwnie, i zniknęły z pola widzenia. Potem pojawił się jarzący rubinowo olbrzymi krąg, przez który „przeleciała” kamera i gwiazdy rozmazały się w cienkie smugi, a potem zniknęły zupełnie. Ekran stał się niemal absolutnie czarny, ale – chwała technikom i plastynom – udało się za pomocą minimalnie jaśniejszych plam uzyskać efekt dalszego wściekłego poruszania się w tej kosmicznej ciemni. Po kilku sekundach radosny gong i eksplozja barw zasygnalizowały koniec podróży. Panorama przestrzeni z „Gwiezdnym Wilkiem” wpływającym z dolnego prawego rogu ekranu. Śluza. Korytarz. Twarz dowódcy. Uśmiech Lloyda Olbina.

–Witajcie, wy na Ziemi! Tu „Gwiezdny Wilk” zakotwiczony nie opodal drugiej synklawy, której nazwę mieliście wymyśleć wy. Macie coś?

–Witaj Lloyd! – raźnie wrzasnął speaker ze studia.

–Mamy całe worki nazw. Cztery dyski nazw. Miliony!

–Będziecie musieli losować...

Niskie, niemal niesłyszalne dudnienie, które od kilku sekund marszczyło brwi Kipa

wzmocniło się raptownie i całkowicie pokryło głos speakera. Dudnienie, zachowując swój pierwotny ton, rozszerzało się na inne wyższe, wciąż wyższe dźwięki. Twarz na ekranie zafalowała i zniknęła, jej miejsce zajęły miliony drobnych kropeczek pulsujących w jednym dla wszystkich wspólnym rytmie. Dudnienie przybierało na sile aż właśnie gdy Kip zerwał się już i biegł w stronę pulpitu głośniki wybuchnęły niesamowitym rykiem, składającym się niczym rozległy akord z kilkudziesięciu chyba dźwięków. Nie był to jednak bezładny kakofoniczny twór foniczny, brzmiała w nim taka złość, wściekła nienawiść, że ręka Kipa już niemal sięgająca pulpitu drgnęła i zatrzymała się, a potem nie kontrolowanym gestem skoczyła ku głowie usiłując choć trochę osłonić uszy. W oczy uderzyła jasność, której intensywność zmusiła Kipa do zamknięcia ich. Ryk z głośnika raptownie ścichł, ale kiedy Kip oderwał dłonie od uszu usłyszał, że nie wygasł zupełnie – w głośnikach słychać było warczenie pomieszane z niskim, rytmicznie zamierającym i wzmagającym się jękiem, od którego cierpła skóra na całym ciele. Kip trzasnął w końcu w klawisz i zaczął odwracać się od ekranu, Warkot i jęk nie ucichły jednak od razu -zamierały niechętnie, oddalały się obiecując powrót. W końcu ucichły zupełnie, tak przynajmniej twierdziły wskaźniki wygodnie rozparte na zerach, ale powietrze w centrali wciąż jeszcze wibrowało, jakieś niewytłumaczalne echo, niemożliwe do osiągnięcia, powtarzało koszmarny dźwięk, aż w końcu nastąpiła cisza. Dopiero teraz stał się słyszalny charkot wydobywający się od dłuższego czasu z gardła Emmy La Salle i spazmatyczne oddechy wszystkich pozostałych. Kip rozejrzał się po pokoju, uświadomił sobie, że jego głowa posusza się na szyi jakimś dziwnym ruchem, seria krótkich, podobnych raczej do obrotów głowy nadpsutego robota, poruszeń pozwoliła mu zlustrować obecnych, a ich stan zmusił go do mobilizacji własnego ciała. Chwiejnie dotarł do pulpitu i całym ciałem oparł się o jego brzeg.

–Komputer... – odetchnął głęboko kilka razy. – Dziesięć porcji szybko działającego środka uspokajającego... bez interakcji z alkoholem... Szybko!

Odwrócił się i nieco spokojniejszy, usiłując uśmiechnąć się popatrzył na Geofreya La Salle. Emma obie dłonie spłotła na szyi, jakby miała zamiar popełnić samobójstwo przez samouduszenie. Pozostali zaczęli się poruszać – kręcili głowami, pocierali policzki i skronie, wzdychali głośno jak gdyby wyszli z pieca, a po chwili, gdy ze szczeliny podajnika zaczęły wysuwać się dwa szeregi jednakowych kubeczków wypełnionych precyzyjnie odmierzonymi porcjami mleczno-pomarańczowego płynu, ruszyli skwapliwie do ściany z podajnikiem i łapczywie opróżniali swoje kubki. Kip oderwał się od pulpitu i dotarł niemal już bez kłopotu do staruszków trzymając w dłoniach po kubeczku. Emma pozwoliła sobie na błysk wdzięczności w oku, jej mąż, natychmiast po wypiciu zorientował się, że żaden z wasali nie pospieszył mu z pomocą. Jego lekko zmrużone oczy przeleciały po obecnych i Kip zrozumiał, że ich imiona głęboko zapadły w pamięć Geofreya La Salle. Poza nim nie zauważył tego nikt – mężczyźni i obie dziewczyny stali w zwartej grupie niedaleko podajnika i głęboko oddychając, kręcąc

głowami pospiesznie licytowali swoje odczucia.

–...no, gdzieś tu, aż do pięt...

–...nie mogłem złapać oddechu...

–...najgorszy ten jęk! Boże, jakież niesamowity...

–A widzieliście, że nawet po wyłączeniu...

„Mają rację – pomyślał Kip. – I co do tych pięt, i co do oddechu i rzeczywiście: po wyłączeniu dalej wyło. Jeśli ci na górze przespali i nie nagrali tego dla potrzeb studia dźwiękowego, to stracili pierwszą podarowaną przez opatrność okazję do użycia w jakimś dreszczowcu naprawdę przerażającego dźwięku”.

Podszedł do pulpitu i długą chwilę wywoływał powierzchnię. Wyglądało na to, że wszyscy pracownicy WN byli zajęci. Dopiero po trzech, czterech minutach udało mu się złapać jakiegoś młokosa z działu interwencyjnego. Chudzielec z zajęczą wargą musiał go znać, bo zaczął szybko krzyżeć, że nie ma czasu i niemal natychmiast zamknął się przekazując jedynie krótką informację:

–Nic w tej chwili nie wiadomo prócz tego, że łączność została przerwana, tak jak pan to widział – nagle i z tym koszmarnym rykiem. W tej chwili uważa się, że synkawe, a może i obie szlag trafił, a przy okazji i naszą stację odbioru – i widząc zdumienie na twarzy Kipa wyjaśnił: -Potężny ładunek energii walnął w sieć antenową i odbiornik. Demolka na pięćset pięćdziesiąt pięć procent!

–Ale inne stacje...

–Inne są całe... – przerwał Kipowi i niecierpliwym gestem pozbył się jakiegoś intruza spoza zasięgu kamery. – Ale nic nie odbierają. Dlatego uważamy, że poszły synklawy. Panie Stuthman, przepraszam, ale...

Kip trzasnął w klawisz zerujący i małymi pulsującymi porcjami wypuścił powietrze z płuc. Gwar za plecami ucichł. Odwrócił się.

–Na tym zakończyliśmy transmisję z kosmosu – powie działa drzwi Jana i cisnęła kubkiem w stronę śmieciarki.

–Jeśli o mnie chodzi – trafiony i zatopiony – przyznał Kip. – I muszę to uczcić... – popatrzył na Yoosa ruszając w stronę jego barku. – Kto dołączy do świętowania?

W życiu nie spędziłam bardziej ponurego i nudnego wieczoru! – kapryśnie poskarżyła się Jana dwie godziny później. – Chyba pójdę spać... – przeciągnęła się.

„Dobrze by było właściwie zinterpretować oświadczenie drugiej wicemiss – pomyślał Kip. – Informacja? Zaproszenie? Czy próba wymuszenia na mężczyznach konkretnych działań, które rozwiałyby ponury nastrój naszej wicemiss? Poczekam, każdy pospieszny ruch jest gorszy od

jakiegokolwiek innego”.

–Może brydż sekwencyjny? – bez specjalnego entuzjazmu zaproponował Shakesby. Odezwał się chyba po raz drugi od kilku godzin. Musiały zadziałać dwa spore drinki, które dość wyraźnie wlał w siebie. – Albo mad-zan?

Odpowiedziało mu kilka niechętnych skrzywień twarzy.

–Może tiwi? – wskazał kciukiem ekran Kip.

Teraz reakcja była żywsza.

–O nie! – pisnęła Emma La Salle. Straciła nieco ze swej dostojnej postawy, choć przy obydwu szklankach krzywiła się lekko. – Mam ja jakiś czas dość tej pańskiej telewizji...

–Tak-tak! – szybko poparła ją Birdy, która pozwoliła, sobie na jeden bardzo lekki drink, a i tak zrobiła to z miną: „A niech mnie wszyscy pocałują w dupę!”

–Możemy-m... – sztucznie głębokim barytonem odezwał się Yoos wracając do swej stłumionej czkawki na końcu niemal każdego słowa. – Możemy-m... urządzić mały-m... – seans spirytystyczny-m...

–Mało ci jeszcze? – agresywnie warknął Lattuada.

–Milcz zwierzę-m... – spokojnie zareagował O’Ryan.

— Mówię o komputerowym seansie spirytystycznym-m... Byłem na takim czymś dwa razy i było to bardzo-m zabawne...

Lattuada sapnął głośno, ale nie odezwał się. Emma poruszyła głową, zerknęła na męża i zapytała zaciekawiona:

–Co to jest komputerowy seans spirytystyczny?

–No-o... Wszystko jak w klasycznym seansie-m... Tylko nie układa się żadnych literek czy wskaźników, lecz mały integralny komp. I duchy-m... komunikują się za pomocą drukarki. Ale lepiej monitor: do drukarki trzeba silnego medium-m...

–A skąd w ogóle wziąć medium? – zainteresowała się Jana. Przestała być senna i znudzona. Jak, zresztą, i cała reszta.

–Každy z nas-m jest medium-m... A jeśli jeszcze wziąć pod uwagę-m... że jest nas kilka... kilkoro-m... gwałtownym ruchem zmienił ustawienie głowy tak by widzieć Kipa. – Masz-sz tu komp? M?

–Pff-hu...! Coś się pewnie znajdzie... – Kip wysączył ostatni łyk ze szklaneczki i uderzył stopami w podłogę. Fotel z bezwładnościowym wspomaganie podwiózł go pod sam brzeg pulpitu. Chwilę bawił się klawiaturą, a potem triumfalnym gestem wskazał ścianę, w której odsłoniła się nisza i wysunęła paleta z monitorem i płaską, grubości paczki gumy do żucia

klawiaturą. Z brzegu palety strzeliły w dół dwie nogi z kółkami, płyta wysunęła się jeszcze dalej i podparła kolejnymi dwiema nogami. Najbliżej siedzący Hagood, nadal milczący, ale równie zainteresowany jak cała reszta, poderwał się i pchnął paletę na środek pomieszczenia. Pozostali poruszyli się i zgodnie z kolistym gestem Yoosa zaczęli przesuwac swoje fotele rozsiadając się dookoła stolika palety. Kip wsunął do ust ostatnią płytkę nikogumy. „Trzeba będzie zapytać komputer co tu ma z papierosów” – pomyślał i zgrabnie włączył się do kolistego szeregu ludzi otaczającego komp.

–Co trzeba zrobić? – zapytał.

–E-e-m... To jest tak... Po kolei każda osoba próbuje nawiązać kontakt z zaświatami... -Yoos przestał „czkać” – kolejny raz upewniając Kipa, że jest jednym ze zdolniejszych aktorów w tym gronie. „Tylko czasem zapomina o swojej roli” pomyślał Kip. – ...a wszyscy pozostali pomagają jej, koncentrują się i starają... – pomachał w powietrzu dłońmi...pomóc... Jak kto umie. Jeśli przez minutę nic się nie dzieje – robimy krótką przerwę... – Kip zaśmiał się bezgłośnie. „Przerwę na drinka” – pomyślał. – ...i próbuje następna osoba. I tak w kółko. Zawsze okazuje się, że komuś się udaje!

–Hej! To poczekajcie! – Kip zerwał się ze swojego fotela.

–W ten sposób nie wszyscy widzą ekran... – podszedł do pulpitu i po chwili ustawił na stoliku jeszcze dwa monitory ekranami w różne strony. – No, już można... Mamy wziąć się za ręce?

–Po co? Wystarczy położyć je na stoliku... – Yoos plasnął dłońmi o blat. – Kto chce pierwszy? – rozejrzał się po dziesięciu twarzach i nagle odsunął się i „zerknął pod stół.

–Heca! Idź stąd! – syknął.

Suczka wolno wyszła spod stołu „i zbliżyła się do dwóch wolnych foteli pod ścianą. Ułożyła się obok jezdni jednego z nich.

–To może ja? – zapytał Yoos. – Mniej więcej wiem jak to zrobić... – kilka osób kiwnęło głowami. – No to...

Odetchnął głęboko posyłając w przestrzeń mocny zapach whisky i grapefruitowej goryczki. Zamknął oczy i jakby

zmniejszył się, zjechał w siebie. Pozostała dziewiątka zareagowała różnie. Jana natychmiast również zamknęła oczy, zaraz za nią Emma. Li Wan nie poruszył się, ale jego gałki oczne pokryła jakby leciutka mgielka. Lattuada profesjonalnym spojrzeniem powiódł po pozostałych mediach i widząc uśmiechniętą twarz Kipa wzruszył ramionami, a potem uniósł głowę i znieruchomiał wpatrzony w sufit. Hagood i Shakesby mieli podobne miny – zmruczone oczy, zaciśnięte wargi. Birdy przygryzła dolną wargę i zmarszczyła czoło, ona jedyna wpatrywała się w najbliższy sobie ekran. Kip zamknął oczy.

„Uśmiełbym się, gdyby Yoos wyczarował na ekranie jakiś napis. Jakieś przesłanie do Emmy

–pomyślał leniwie.

–Swoją drogą ciekawe, co ich trzyma razem i co podgrzewa nienawiść? Ona nie może się go pozbyć i cierpi wszystkie wyskoki, a on...”

–E-gh! Nic z tego! – wesoło zawołał Yoos. – Teraz następny, na pana wypadła, Hagood!

Zapomniała całkowicie o udawaniu pijanego, ale i tak prócz Kipa nikt tego nie zauważył, a przynajmniej nie dał po sobie znać, że zauważył, jak O’Ryan wyskakuje ze swej roli. Hagood odsunął się niechę i pokręcił przecząco głową.

–Nie ma, nie ma! – trącił go łokciem podniecony O’Ryan. – Wszyscy po kolei. No? Hagood westchnął i zamknął oczy, reszta kręgu również zaczęła się koncentrować. Kip

popatrzył w najbliższy ekran monitora, kropka kursora cierpliwie pulsowała w lewym górnym rogu ekranu i nie zanosilo się, że skoncentrowane metafizyczne działanie więźniów schronu przesunie ją chociażby o jedną pozycję.

–Pasuję... – westchnął Hagood. – Może panu się uda, Arturze – powiedział do siedzącego obok Li Wana. Zagadkowa dusza przedstawiciela zagadkowego narodu...

Li Wan uśmiechał się uprzejmie i skinął głową. Też przymknął powieki, ale dla wszystkich było oczywiste, że on rzeczywiście ma pojęcie o koncentracji. Kip również zamknął oczy. Uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech i napina przeponę. Miał ochotę roześmiać się z samego siebie, ale nie rozprostował zmarszczek na czole i nie rozwarł zaciśniętych szczęk. Choć zupełnie nie miał pojęcia jak to się robi, starał się przekazać swoją energię Li Wanowi, starał się o niczym nie myśleć. Nabrał szybko powietrza i wstrzymywał przez chwilę oddech.

–Patrzcie!?! – usłyszał czyjś syk.

Otworzył oczy. Cursor przesunął się w prawo pozostawiając po sobie na ekranie ślad w postaci szeregu liter. Heca wydała z siebie pojedyncze szczeknięcie.

–CHAYSALE OB WYSYRIG SA Kto to napisał? – zapytał szeptem Geoffrey zerkając na nadal nieruchomo siedzącego z zamkniętymi oczami Artura Li Wana.

–Nikt z nas, panie La Salle – również szeptem powiedział Lattuada. – Nie spuszczałem oka z klawiatury. Birdy również pilnowała, żeby nikt nie robił dowcipów...

–No to jak... – zaczął nadmiernie głośno Kip i natychmiast ściszył głos, ale przerwał mu Yoos machając rozpaczliwie rękami.

–Ciii! On jeszcze jest w transie. Bądźmy cicho i pomóżmy mu!

Teraz nikt już nie zamykał oczu, a wysiłki były skierowane nie tyle na pomoc Li Wanowi, ile na wykrycie żartownisia. Jedynie Jana Peacock zamykała co kilka sekund oczy i niemal natychmiast otwierała je usiłując przytapać na gorącym uczynku dowcipnisia. Litera na ekranie pojawiły się akurat w chwili gdy miała zamknięte oczy. JERG YERG CHAYSALE HRYAD

FEUKL Gdy dziewięć par oszołomionych oczu wpatrywało się w wędrujący po wierszu kursor Li Wan jęknął nagie i szarpnął się tak mocno, że gdyby nie pomoc Bauma spadłby z krzesła. Najszybciej zareagował Lattuada – zerwał się ze swojego fotela, chwyci! Chińczyka pod pachy i sprawnie odciągnął wraz z fotelem od stołu. Na kilka sekund plecy Yoosa i Shakesby’ego zasłoniły Li Wana przed wzrokiem Kipa, usiadł więc z powrotem i popatrzył na ekran.

Kursor pulsował w tym samym miejscu, co przed chwilą, po wyprowadzeniu na ekran liniiki bezsensownych słów i znaków, ale po znakach nie zostało ani śladu.

–Kto skasował napis? – wrzasnął wściekły Kip.

Otoczający kołem niewidocznego Li Wana odwrócili się w stronę Kipa przenosząc spojrzenie na ekran.

–Pytam: kto skasował napis? – powtórzył Kip zaciskając palce w pięści. – Bardzo nie lubię, kiedy ktoś robi ze mnie durnia, ale...

–Przecież napis nie jest skasowany! – syknął Lattuada.

–Gdyby tak było kursor wróciłby na pozycję wyjściową! – wskazał ruchem wyciągniętego palca kierunek ruchu kursora.

–Ale można przesunąć kursor! – zawołała Birdy.

–Nie-e... – powiedział spokojniej Kip. – To to ja już bym zauważył. Nie ruszyłem się od stołu i patrzyłem w waszym kierunku ponad klawiaturą. Może nie zobaczyłbym kasowania jednym ruchem klawisza, ale przesuwanie kursora jest wykluczone...

–A nie mówiłem? – plasnął dłonią o drugą dłoń Yoos.

–Zawsze coś się pojawia, tyle że ma więcej sensu – jakieś prognozy, wyznania, ostrzeżenia... – rozejrzał się po obecnych i zatrzymał spojrzenie na ocuconym kilkoma uderzeniami w policzki Li Wanie. – Z kim rozmawiałeś?

Li Wan popatrzył na niego martwym spojrzeniem i pokręcił przecząco głową. Był szary na twarzy, mętным spojrzeniem wodził po twarzach i milczał.

–Hej! Chłopie, powiedz nam coś! – Yoos pochylił się, położył dłoń na kolanie Li Wana i potrząsnął jego nogą.

–Z kim się skontaktowałeś?

–Nie... – pokręcił głową Chińczyk. – Nie mam wiedza...

–Zaraz... – Lattuada zdecydował się poprowadzić przesłuchanie. – Wiesz, że na ekranie pojawiły się napisy? – Li Wan pokręcił głową. – A co po chińsku znaczy „chaysale”?

–Li Wan ponownie wykonał przeczący ruch głową. – Jeśli wierzyć w duchy, to skomunikowałeś się z kimś, kto przemawia w dziwnym języku – wycedził Lattuada. – Rozumiałeś to coś?

–Nie... – pisnął Artur.

–To dlaczego zemdlaleś? – nacierał Lattuada.

Li Wan milczał chwilę ze spojrzeniem wbitym w pas goryla. Jego czoło marszczyło się w jakiś dziwny sposób, falowo. Podniósł spojrzenie na wysokość twarzy Lattuady.

–Ciężko strach... – powiedział.

–No to czym cię wystraszył? – wtrącił się Yoos.

–Nie wiem! – krzyknął cienko Artur.

–Co znaczy „chaysale ob wysyrig sa jerg yerg chaysale bryad feukl”? Gadaj! – wrzasnął Lattuada.

–Nie wiem! Nie wierni!! – krzyknął Chińczyk i nagle dziecinnym niezgrabnym gestem uderzył Lattuadę w brzuch.

–Zaraz potem objął głowę dłońmi zatykając uszy.

–Dajcie mu spokój... – odezwała się Jana.

–Geofrey... – jednocześnie odezwała się pani La Salle.

–Była wyraźnie poruszona, wyraźnie wystraszona. Zmęczona.

Geofrey La Salle potrząsnął głową i głośno wypuścił powietrze z płuc. Zrobił ruch stopą, jakby chciał kopnąć ocierającą się o łydkę Hecę.

‘ – Chyba udamy się na spoczynek – zakomunikował książkowym stylem. – Mimo wszystko okazało się to popołudnie dość męczące. Dobranoc państwu – uklonił się i wziął pod rękę żonę. Heca zaskowyczała i ruszyła pierwsza. Gdy doszli do drzwi Lattuada podszedł do Li Wana i również złapał go za łokieć. Wskazał O’Ryanowi drugą rękę Chińczyka i oni również opuścili centralę. Shakesby mruknął coś i wyszedł zaraz za nimi, a kilka sekund później pożegnał się Baum. Birdy siedziała w fotelu zgięta, z łokciem opartym o kolano i brodą ułożoną na dłoni. Jana stała sztywno wyprostowana przed ścianą martwych monitorów, złączone dłonie wolno spletały i rozpletały palce.

–Komu chciało się robić takie idiotyczne rzeczy? – żałośnie zapytała Birdy.

Kip wzruszył ramionami chociaż wcale nie patrzyła na niego. Jana nie odezwała się i nie poruszyła, tylko na kilka sekund znieruchomiały jej palce, a potem wróciły do delikatnego wzajemnego szukania samych siebie. Drzwi otworzyły się i weszli Yoos z Warrenem. Pierwszy od razu skierował się w stronę barku i gwałtownym szarpnięciem otworzył pokrywę.

–Czy ktoś nie ma ochoty na drinka? – podkreślił intonacją słowa na „nie ma”.

Nie czekając na odpowiedź wyjął kolejny zestaw kubeczków i wypełnił niemal do połowy ciemno-bursztynowym płynem z butelki oznakowanej „Old Hat”. Podał kubek Janie i Birdy, a potem gestem zaprosił Lattuadę i Stuthmana do barku. Kip od razu wypił połowę porcji.

–Może to nieładnie, ale wydajesz mi się najbardziej podejrzany – wskazał Yoosa trzymanym

w dłoni kubkiem.

–Udajesz pijanego, pijesz soki... Co to za zabawa? – Yoos otworzył usta, ale Kip powstrzymał go gestem i dokończył: – Normalnie guzik by mnie to obchodziło, ale jeśli mamy spędzić tu jeszcze dwie doby, to wolałbym bez takich numerów jak ten dzisiejszy z Chińczykiem...

–I zamykaniem nas tutaj! – drżącym ze złości głosem dodała Jana.

Z tym zamykaniem... To naprawdę przypadek... – Yoos zakręcił swoim kubkiem i łyknął oszczędnie. – Rzeczywiście udawałem pijanego i oparłem się o pulpit. Skąd mogłem wiedzieć, że akurat te trzy przyciski czekają tylko na dotknięcie? Uwierzcie: jest mi strasznie głupio, ale nie miałem i nie mam żadnego powodu do zamykania się tu na trzy doby. Naprawdę... – zerknął na Janę. Wrócił spojrzeniem do Kipa.

–A co do mojego picia... – wzruszył ramionami – Warren wie, co to za zabawa – zerknął dla odmiany na ochroniarza.

— Ciocia Emma jest, na mocy testamentu mojej naiwnej mamusi, dyspozytorem mojego majątku. Jak widzisz skończyłem dwadzieścia lat dwadzieścia lat temu, ale tylko i wyłącznie ciocia może zdecydować kiedy stanę się człowiekiem dorosłym. Jakieś piętnaście lat temu powiedziała mi, że nigdy I nie uzna mnie za osobę zdolną do dysponowania tak dużym majątkiem. Nie może mnie całkowicie odciąć od mamony, jesteśmy w pacie, nie odda mi forsy, ale nie może nic więcej, bo jeśli będzie traktować mnie źle, to mogę na drodze sądowej! – odzyskać pieniądze. Tak więc ona musi mnie cierpieć i przychodzi jej to łatwiej niż sądziecie, jej cierpienie jest w dużej części pozą: patrzcie jaki to drań i ja go muszę znosić! A ja I staram się jak mogę skrócić cioci drogę do lepszego ze światów...: – uniósł swój kubek i skłonił lekko głowę. Gdy wlewał zawartość do ust Kip spojrzał na Warrena Lattuadę i odebrał lekkie skinienie głowy i mrugnięcie potwierdzające opowieść Yoosa, Przyznajesz więc... – nie ustąpiła Jana -...że pośrednio to zamknięcie jest ci na rękę. Możesz tu denerwować Emmę, ile chcesz. Nigdzie ci nie ucieknie...

–Twoje rozumowanie ma trochę pozornego sensu...

–Yoos nalał sobie drugą porcję i niemal całą od razu wypił.

Ale na górze mam o wiele więcej możliwości dręczenia biednej staruszki. Tutaj dysponuję tylko alkoholem i siłą swojej elokwencji. To jej już nie bierze. Jej nic nie bierze, ale przynajmniej mogę się starać, to utrzymuje mnie w formie. Zresztą... – wzięwszy do ręki butelkę obszedł całą czwórkę dolewając do pustych kubeczków. Na końcu podszedł do Jany. – Możesz sobie myśleć co chcesz. Możesz mnie podać do sądu, możesz spoliczkować, możesz... – wystawił do przodu butelkę pojednawczym gestem.

–Dobrze... – westchnęła Jana. – Wolę to... – podsunęła swój kubek. – Mam nadzieję, że moi sponsorzy już tu nie przyjdą.

Usiedli wszyscy, ale Kip prawie natychmiast wstał i podszedł do pulpitu. Długą chwilę czekał na połączenie. Wilcots miał wściekłe spojrzenie, czupryna nosiła ślady wielokrotnego targania.

–Czego chcesz? – warknął.

–Nie wrzeszcz na mnie – wolno wycedził Kip. – przez ciebie siedzę tu z „wycieczką” i nawet nie chce się nikomu wytłumaczyć mi, co się w końcu dzieje!

–Nic nie wiemy – nieco spokojniej, choć opanowując się z widocznym wysiłkiem powiedział Wilcots. – Nie mamy łączności z Wilkiem. Mamy za to sporo złomu, huty się cieszą.

Ośrodek zamknięty, twój stary leci do nas i jak go znam ma na pokładzie bombę dużej mocy, którą nie omieszka spuścić mi na łeb. Tyle komunikatu. Baw się dobrze... – strzelił spojrzeniem w stronę Jany i zerwał połączenie.

–Czy mówiąc „twój stary” miał na myśli Yelly Arrow Stuthmana? – zapytała wolno Jana.

–Ta...

–No proszę! – powiedziała z lekką kpina w głosie. – - Czy ciebie z kolei Allan trzyma pod kuratelą?

Kip popatrzył na nią i otworzył usta chcąc odciąć się – bez względu na konsekwencje – ale niespodziewanie dla samego siebie parsknął śmiechem. Po chwili dołączył do niego Yoos.

–Chyba masz rację... – parsknął przez nos. – Prawie na pewno masz rację. Twoje zdrowie!

–Dziękuję, ale na mnie już czas – Jana umoczyła usta j w brandy i odstawiła kubek. Wstała i podeszła do drzwi.

— Łatwo mi było wyczuć twoją sytuację, bo w gruncie rzeczy moja jest w tej chwili taka sama. Dobranoc.

M Linutę po jej wyjściu Kip włączył magnetofon i kilka minut słuchali muzyki dopijając swoje porcje. Potem podniósł się Lattuada i gestem otwartej dłoni pożegnał resztę. Zaraz potem wyszła Birdy. Kip odstawił kubek i skierował się za nią do drzwi po drodze klepiąc w ramię Yoosa. Na korytarzu lekko pociągnął Birdy w stronę swojego pokoju. Zaraz za progiem okręcił ją i objął jedną dłonią głaszcząc kark, a drugą przyciskając ją do siebie. Odczekał chwilę, zgodnie z receptą swojego mistrza Hugh'a Dry („Chłopie, nie jesteś w stanie podniecić kobiety bardziej niż ona sama siebie. Przetrzyj ją więc, nie spiesz się. Niech sama – oczekując pieszczoty -wymyśli ją sobie, wyobrazi, niech wejdzie na wysokie obroty, a wtedy wkraczasz ty! Nawet z byle czym. I tak będzie to mile widziane!”) i pocałował lekko, musnął swoimi wargami, odsunął się, znowu pocałował wzmagając się i konstatując po raz tysięczny słuszność rad Hugh'a. Cztery minuty później, gdy leżeli już na łóżku, przetrzymując siebie nawzajem, do

pokoju weszła Jana.

Zatrzymała się tuż za progiem i patrzyła spokojnie na równie spokojnych Kipa i Birdy. Potem podeszła bliżej łóżka i nagle, niemal jednym płynnym mchem, zsunęła z siebie kombinezon.

–Mogłam się tego spodziewać – powiedziała bez żalu w głosie. – Ale jak wpadłam, to chyba mnie nie wyrzucicie...?

Birdy prychnęła i przeturlała się na drugą stronę łóżka zwalniając lewy bok Kipa.

–Tylko umowy się – żadnych ocen! Nie zmuszajcie mnie żebym się bawił w Parysa...

–Ta historyjka o Parysie i boginiach to bujda na płozach... – mruknęła Jana.

–Skąd wiesz? – po dłuższej chwili zapytał Kip.

–Chodziłam z nim do szkoły... – dwie minuty później odpowiedziała Jana. I dodała po jeszcze dwóch minutach:

–Tylko nie myśl, że straciłam dla ciebie głowę! Birdy milczała, ale chyba bawiła się świetnie. Kip poczekał chwilę i rzucił w przestrzeń nad sobą:

–Jeśli o mnie chodzi, możesz tracić głowę. Motyle, jak wiem, mogą kopulować bez głów. Tak więc mnie jej brak nie przeszkadza...

–Jesteś cham... – solidaryzując się z Jana skwitowała po pół godzinie Birdy.

Śniadanie przebiegło w przymglonej nutką niezdefiniowanej złości atmosferze... Trójka kochanków prezentowała znakomity apetyt, reszta zachowywała się jakby wykonała jakieś obowiązkowe ćwiczenia. Emma La Salle skończyła pierwsza i przeliczyła jedzących.

–Czy ktoś budził Li Wana? – zapytała podsuwając suczce kawałek bułki z masłem. Zastukałem w jego drzwi, ale nie czekałem na reakcję – zameldował Lattuada.

–Pewnie... – ziewnął Yoos -...śpi-ech-ch...

–Artur jest bardzo zdyscyplinowanym człowiekiem. – drugi kawałek bułki wykonał krótki lot zakończony w pysku Hecy.

Kip wytarł usta i podniósł się z krzesła.

–Tutaj nic mu się stać nie mogło – powiedział. – Ale sprawdzę to, żeby niepotrzebnie się pani nie denerwowała.

Na korytarzu pomagając sobie palcem doliczył się do pokoju Chińczyka. Zapukał i przechylił głowę nasłuchując uważnie, potem stuknął kilka razy kostkami palców o wiele mocniej i po kilku sekundach nasłuchu jeszcze mocniej. Potem wszedł. Pokój był oświetlony, ramiona wentylatora wolno cięły powietrze. Artur Li Wan leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Jedna ręka była

wyciągnięta wzdłuż ciała, druga odchylona od boku balansowała niemal na krawędzi łóżka.

–Li Wan! – zawołał Kip. Chińczyk nie zareagował, więc Kip podszedł bliżej i pochylił się. – Artur! – niemal krzyknął.

–Zobaczył jak pierś Chińczyka unosi się w oddechu i uspokojony szarpnął za ramię Li Wana. Klatka piersiowa i obie ręce poruszyły się, do nóg szarpnięcie nie dotarło, a głowa została równie nieruchoma jak nogi. Kip puścił ramię i odskoczył od łóżka. Chwilę stał starając się uciszyć łomot serca i wprowadzić jakiś porządek do własnych myśli. Potem odetchnął głęboko i wybiegł z sypialni.

Lattuada! Chodź szybko... – zawołał nie wchodząc do jadalni – nikt więcej! – dodał zdecydowanie, widząc że co najmniej połowa zebranych podrywa się z krzeseł gotowa biec za gorylem. – Wydaje mi się... – powiedział, gdy za Lattuadą zamknęły się drzwi -...że Li Wan ma odciętą głowę...

Pozwolił wyprzedzić siebie na korytarzu, a po wejściu do pokoju przystanął zaraz za progiem i chociaż widział tylko nogi Li Wana i pochyloną sylwetkę Lattuady i jego poruszające się wolno łokcie nie ruszył się z tego miejsca zanim ten nie odwrócił się do niego. Nie był to goryl najwyższej klasy, niewzruszony, niezawodny automat do obrony – na jego twarzy malowało się zdumienie i najzwyczajsza w świecie rozterka.

–Ma obciętą głowę... – powiedział wolno.

–A krew.?'? – wyjąkał Kip. – Myślałem, że on śpi.

–W ogóle nie wdziałem krwi.

Krwi nie ma – Lattuadą zerknął przez ramię na ciało i odsunął się o krok od łóżka. – To jest najdziwniejsze. Trup to jeszcze nie problem – po prostu morderstwo. Ale jemu obcięto głowę czymś, co natychmiast zasklepia ranę. Laser – nic innego nie przychodzi mi do głowy.

–Laser? Przecież cała broń jest zamknięta w magazynie, komputer od razu poinformował mnie o tym...

Lattuadą wzruszył ramionami i znowu obejrzał się przez ramię. Kip mimo woli popatrzył również na Chińczyka. Leżał niemal tak samo jak wtedy gdy go znalazł, tylko teraz głowa była nieco przesunięta w stosunku do reszty ciała i przekroje szyi nie pasowały do siebie tak dokładnie jak pięć minut temu. Wąski pasek ciemnoczerwonej tkanki widoczny był teraz nawet z odległości kilku metrów. Kip szybko odwrócił spojrzenie.

–Komputer! – krzyknął w przestrzeń. – Czy w schronie jest laser?

–Cztery ciężkie lasery bojowe są zamknięte w magazynie broni. Magazyn nie podlega otwarciu. Wymienione lasery...

–Wystarczy! – Kip popatrzył na Lattuadę. – Czy ktoś z obecnych w schronie ma przy sobie

laser czy podobnego typu broń?

–Jest tylko jeden rewolwer typu pseudopneumo – padła odpowiedź. Lattuada prawą dłonią klepnął się w lewą pierś.

–Kaliber...

–Wystarczy – Stuthman wzruszył ramionami. – Gdy podszedłem do niego... – wskazał czubkiem brody Li Wana – ...wydało mi się, że oddycha – poruszyła mu się pierś...

–Złudzenie! – z absolutną pewnością w głosie orzekł Lattuada. – Nie można oddychać z odciętą głową. Musiało ci się wydawać.

–A może jeszcze żył?

–Jest zimny, zamordowano go kilka godzin temu. Historia jak z zagadki kryminalnej -odcięta od świata enklawa z mordercą i ofiarą – zaciśniętą pięścią uderzył w ścianę.

–W kurz-rze ucho! – zaklął.

–Ale co my z tym wszystkim zrobimy?

–Nie wiem... Zamkniemy pokój i pójdziemy do reszty...

–Czekaj... Chyba trzeba urządzić coś... jakieś przesłuchanie? Sprawdzić alibi...

–Pewnie masz murowane? – Lattuada oderwał się od ściany i zrobił dwa kroki w kierunku drzwi. – La Salle z żoną też. A ty z kim?

Kip otworzył usta, ale tylko oblizał wargi czubkiem języka. „To bez sensu” – pomyślał.

–Zgoda, to nie ma sensu – powiedział. – Zawiadomimy powierzchnię...

Odwrócił się do drzwi i zrobił krok w ich kierunku, właściwie pół kroku, gdy usłyszał jakieś dudnienie dobiegające od strony łóżka z martwym Arturem. Zatrzymał się i zdziwiony popatrzył na zwłoki, a potem na Warrena, Oba; mieli ten sam wyraz w oczach, obaj byli niezmiernie zdziwieni. Dudnienie stało się wyraźniejsze i tak samo nagle jak się zaczęło, tak skończyło. Lattuada kiwnął się jakby chciał podejść bliżej ciała i w tej samej chwili zwłoki Li Wana podskoczyły na łóżku, głowa podrzucona poruszeniem tułowia przekręciła się. Kip poczuł skurcz przepony, zrobił na oślep dwa kroki do tyłu, wyciągniętą dłonią szukając kasety klamki, znalazł ją i w tej samej chwili zwłoki eksplodowały. Rozerwane bezgłośnym wybuchem strzępy ciała makabrycznym deszczem skropiły cały pokój i obydwu mężczyzn. Lattuada rzucił się do drzwi. Od przodu cały był umazany krwią i drobnymi skrawkami tkanki. Pchnął na drzwi Kipa tak samo umazanego i obaj wypadli na korytarz. Zwymiotowali niemal jednocześnie.

Jasno z tego wynika, że nikt z nas nie jest winien śmierci Li Wana. Nie mamy laserów, nie mamy możliwości spowodowania bezgłośnego wybuchu – Warren Lattuada eleganckim gestem podciągnął nogawki identycznego jak Jany i Kipa kombinezonu.

–No to co nam zostaje? – Geoffrey przestał szeptać do ucha żonie i napastliwie popatrzył na Lattuadę.

Goryl wzruszył ramionami i z kolei przeniósł spojrzenie na Kipa. Stuthman zapalił drugiego w ciągu dziesięciu minut papierosa i przeczekał atak kaszlu. Wciąż jeszcze nie mógł opanować drżenia rąk, choć od makabrycznego wybuchu w pokoju Chińczyka dzieliło go pół godziny, długi prysznic, dwa drinki i tyleż papierosów.

–Albo to ktoś z nas, albo jest tu wbrew temu, co mówi komputer jakies dojście z góry, albo nie wiem... – rzucił dwie trzecie papierosa na podłogę i rozdeptał. Przy okazji tupnął mocno w podłogę chcąc przerwać niemal nieustający cichy, monotony skowyt Hecy. – Boże, czy ona musi tak wyć?

— zapytał Geofreya starając się nie okazać swego zniecierpliwienia.

–Heca! – warknął La Salle. – Przepraszam cię kochanie – powiedział do żony uwalniając swoje ramię spod jej głowy. – Wyprowadzę Hecę i zaraz wracam.

–Geoffrey! Zostaw zwierzę w pokoju! – wrzasnęła Emma.

La Salle westchnął i usiadł z powrotem w fotelu. Heca na chwilę zamilkła, a gdy zdziwione spojrzenia odwróciły się od niej i Lattuada odchrząknął sucha warknęła i – widzieli to wszyscy – gwałtownie wyprężyła się na brzuchu i znieruchomiła.

–Heca?! – przeraźliwie pisnęła Emma i szarpnęła się do przodu.

„Zaraz coś się stanie – pomyślał Kip i zacisnął palce na oparciu fotela. – Czuję to, powietrze ma jakiś ołowiany smak. Słyszę trzask włosów i bolą mnie oczy, co się może stać? Czy...”

Wyprężone ciało Hecy drgnęło, głowa uniosła się do góry wolnym, podzielonym na kilka etapów ruchem, jak sterowana przez adepta sztuki lalkarskiej. Pyszczyk rozszerzył się w makabrycznym uśmiechu, a potem w miarę jak głowa podnosiła się wciąż wyżej i opadała na grzbiet psa, uśmiech przeszedł w niesamowicie rozwartą paszczę zdolną do przełknięcia kurczaka. Jakaś niesamowita siła zmusiła ciało zwierzęcia do wykonania ewolucji właściwej jedynie węzom, a potem psiak zwinął się w równie niemożliwy kłębek i zmarł. Emma jęknęła głośno i opadła bezwładnie w fotel. Birdy zakryła twarz dłońmi, szlochała. Pozostali trwali w bezruchu, skamieniali. Pierwszy poruszył się La Salle. Szarpnął kołnierzyk koszuli i zacharczał. Jego prawa ręka wykonała kilka trzepoczących ruchów, wytrzeszczone oczy żądały pomocy. Lattuada rzucił się do kasety medycznej i wystukał coś na klawiaturze. Po kilkunastu sekundach wrócił do Geofreya i z rozmachu trzepnął w jego dłoń małym iniektorem, wrócił do kasety i jeszcze raz podbiegł do pracodawców, tym razem niosąc pomoc Emmie. Potem skinął na Kipa i pierwszy złapał za poręcz fotela. Gdy dowieźli uspiionych staruszków do ich pokoju przeniósł najpierw jego, a później ją na łóżko i troskliwie opatulił kocami. Wyregulował

oświetlenie na jedną trzecią mocy j palcem wskazał wyjście.

Zaraz za progiem centrali natknęli się na Yoosa serwującego podwójne drinki. Kilka minut trwała cisza, którą tylko raz przerwała Birdy siąkając w chusteczkę. Po czterech minutach Lattuada westchnął i wyjąwszy chusteczkę z kieszeni i posługując się nią jak rękawiczką przeniósł sztywne ciało Hecy na jeden z pustych foteli i wyprowadził go z pomieszczenia. Po powrocie wypił połowę swojego drinka i powiedział:

–Kto ma jakiś pomysł?

–To pan... – po chwili ciszy wykrztusiła Birdy. – Pan tu jest specjalistą...

–Dziecko... – Warren podszedł do najbliższego wolnego fotela i zwałił się weń -...ja jestem w miarę sprawnym, w miarę reprezentacyjnym i bardzo tanim ochroniarzem. Nie bawiłem się nigdy w detektywa. A gdyby nawet, to... – machnął ręką. – Tu się dzieją rzeczy, do których potrzebny jest nie detektyw...

–A kto? – mruknął Yoos przechylając butelkę i usiłując bezpośrednio przez otwór w szyjce zobaczyć płyn.

–Właśnie! Nawet tego nie wiem! – I po chwili zwrócił się do Kipa: – Zawiadomiłeś powierzchwnie?

Kip westchnął i podsunął pusty kubek Yoosowi. Dopiero gdy przełknął nową porcję popatrzył na Warrena.

–A po co? Oni mają swoje kłopoty, a ponieważ nie mogą nam pomóc, to i nie starają się robić czegokolwiek. Widziałeś jak się przejęli śmiercią Li Wana...

Z boku ktoś odchrząknął. Kip popatrzył w tamtym kierunku. Hagood Baum długo oblizywał wargi patrząc na Kipa.

–Nigdy nie wrywałbym się ze swoimi głupimi pomysłami, ale widzę że brak nam hipotez... Mnie nasunęło się coś... – zrobił przerwę i popatrzył w swój kubek, a potem jednym łykiem przełknął zawartość. Yoos ruszył w jego kierunku, z butelką w dłoni. Baum poczekał na whisky i chrząknął znowu. – Jestem literaturoznawcą – powiedział – i cztery lata temu prowadziłem na uniwersytecie w Coquyanna seminarium na temat „Złote ABCD”. Chodzi o czwórkę dwudziestowiecznych klasyków science fiction: Asimov, Bradbury, Clark, Debsky – wyjaśnił. – Ale musiałem również przeczytać niemal całą fantastykę z tego okresu – łyknął ze szklanki odchrząknawszy przedtem. – Otóż... Gdyby posłużyć się założeniami SF, wrócić do kilku pomysłów fantastów to to, co się tu dzieje, można bardzo łatwo wytłumaczyć.

Zrobił przerwę i po kolei przyjrzał się obecnym, jakby w poszukiwaniu tego, który zacznie się pierwszy śmiać z jego słów. Tylko Lattuada poruszył się, ale chodziło mu o wygodniejsze usadowienie się w fotelu.

–Jednym ze sztandarowych motywów SF tego okresu był – agresywny przedstawiciel obcej cywilizacji, który mógł dostać się na Ziemię lub ziemski statek w najprzeróżniejszy sposób.

–Jeśli przyjmujemy, że w czasie transmisji w wiązkę fal przyspieszonych przez synklawy dostał się jakiś bardziej lub mniej niematerialny osobnik z planety X, jeśli dodamy do tego, że taki stwór może posługiwać się wielu nieznanych nam technikami zabijania czy w ogóle oddziaływania na ludzi, to mamy wytłumaczenie tego, co się tu dzieje. Ten stwór zabił Li Wana, zamordował na naszych oczach psa... – przerwał niespodziewanie jakby dopiero teraz uświadomił sobie co za chwilę powie.

–Wybaczy pan, ale brzmi to idiotycznie – zdecydowanie powiedziała Jana.

Wcale nie i to mnie martwi... – zaproponował z dziwną determinacją w głosie Baum. – Zobaczmy po kolei... – wyciągnął dłoń z zaciśniętymi palcami. – Seans spirytystyczny – raz -odgiął kciuk. – Przecież pojawił się jakiś tekst na monitorze. A musimy wykluczyć dowcip, prawda? Dwa – wyprostował wskazujący palec – transmisja, a właściwie jej zakończenie. Ten niesamowity dźwięk, który trwał nawet po wyłączeniu monitorów...

–Jakieś wzbudzenie? – odezwał się Shakesby.

–Może... Nie znam się na tym, ale to się znakomicie mieści w scenariuszu dreszczowca SF. No i te dwa mordy... – wzruszył ramionami. – W każdym razie dwieście lat temu taki film zrobiłby scenarzystę milionerem.

–Bzdura – zdecydowanie powiedział Yoos.

–Nie byłbym tego taki pewien – uparł się Baum. – Może ten film już się kręci, a my o tym nie wiemy? – uśmiechnął – się dziwnie.

„Nie-e, to jednak czub – z ulgą pomyślał Kip. – Już prawie mnie przekonał, żeby go rozpyliło. Potwór z kosmosu, telekinetyczne morderstwo, tfu! Kabotyn! Ze mnie też niezły półpasiec”.

–Przesadził pan! – krzyknęła Birdy. – Po co pan nas straszy?

–To mam sam się trząść ze strachu?! – wrzasnęła nagle Baum zrywając się na równe nogi. – Jeśli mam rację, to jesteśmy dopiero w przedśionku wydarzeń. Ja też w nim jestem! Nie chcę obudzić się z odciętą głową!!!

Podobnie jak kilka minut temu La Salle teraz Baum szarpnął kołnierzyk koszuli i zachwiał się na nogach. Najbliżej stojący Shakesby poderwał się i niezgrabnie objął go w pól. Lattuada zrobił dwa długie kroki i pomógł Shakesby'emu usadowić Hagooda w jego fotelu, a potem któryś już raz tego dnia zaatakował podajnik medyczny i po chwili Baum, napojony witalizatorem spokojnie, nieco tylko szybciej oddychając, popatrzył na Kipa.

–Przepraszam za moje zachowanie – wykrztusił.

–Prześlą! – głosem z pogranicza hysterii krzyknął Shakesby.

–Spokojnie! – Lattuada uniósł rękę i powtórzył: – Spokojnie.

Jeszcze raz podszedł do podajnika i po chwili czekania wyjął z niego siedem jednakowych kubeczków wypełnionych jednakowym radośnie pomarańczowym płynem. Wolno obszedł centralę rozdając kubeczki.

–Nie będę co chwilę biegał po stabilizatory. Kto się czuje podniecony, niech wypije to i idzie spać. Tutaj musimy porozmawiać o tych... nieprzyjemnych sprawach... Czy mamy do czynienia z maniackim mordercą, czy z potworem z przestrzeni kosmicznej, ale musimy spodziewać się, że jeszcze uderzy. Musimy spróbować zabezpieczyć się, wymyśleć jakiś sposób asekuracji, czy ja wiem...

„Ja mam taki sposób – niespodziewanie przemknęło przez myśl Kipowi. – Trzeba zawsze być z kimś”.

–Musimy trzymać się razem i nie znikać z pola widzenia – nieco inaczej sformułował jego myśl Lattuada.

–Tak jest! – skwapliwie zgodził się Shakesby. – Dopóki będziemy razem...

–Heca była z nami... – cicho odezwała się Jana.

Ertin Shakesby jakby spodziewał się tych słów i natychmiast zamknął usta.

Zaległa cisza – marzenie każdego duchownego. Niemal wszyscy poruszali się: Yoos, Kip, Shakesby dokończyli swoje porcje alkoholu, Birdy założyła nogę na nogę i uważnie obserwowała kiwającą się stopę. Jana potrząsnęła głową a Lattuada sięgnął do kieszeni i wyjął niewielki rewolwer.

–Dotychczas tylko ja wiedziałem, że jest broń w tym schronie, kilka minut temu dowiedział się o tym Kip Stuthman. Teraz wszyscy już wiecie. Wiedźcie też, że nie zawaham się jej użyć przy najmniejszym podejrzeniu. Morderstwo i zagrożenie życia kilku ludzi w pełni usprawiedliwia zastrzelenie podejrzanego. Tak więc jeśli wśród nas jest morderca, niech sobie weźmie to do serca... – pokiwał lufą rewolweru i schował go do kieszeni.

–Jeśli morderca jest wśród nas, to postara się... – zaczęła Jana.

–To niech się postara! – stanowczo przerwał jej Warren.

–Nie jestem supermanem, ale potrafię dbać o swoje życie. Nawet by mnie urządził jakiś atak. Wyjaśniłoby się wszystko.

–Ależ wy wszyscy mówicie „jeśli”! – rozplakała się Birdy.

–Zgadza się już, że to nie człowiek, że mamy tu jakąś bestię z kosmosu!

Melodyjnie zaćwierkał podajnik sygnalizując gotowość do obiadu. Kip wstał i przestawił go na czuwanie. Odwrócił się i uderzył w czoło otwartą dłońią.

–Może nie jestem mordercą, ale durniem na pewno! – krzyknął. – Komputer! Czy ktoś

wchodził do pokoju Artura Li Wana? To była sypialnia numer szesnaście, rzymska szesnastka.

–Nie – natychmiast wyrzuciły z siebie głośniki.

Znowu zaległa cisza. Nieprzyjemna, pełna niewypowiedzianych słów. Cisza, która powoduje, że człowiek ogląda się za siebie pewien, że właśnie tam czai się coś, czego w życiu nie chciałby zobaczyć. Najczęściej to coś, tam jest.

–Nie przychodzi mi nic do głowy jak tylko zawiadomienie tych na powierzchni o naszej sytuacji i hipotezie pana Bauma.

Kip odczekał chwilę, ale ponieważ zareagował tylko Lattuada – kiwnął aprobująco głową -podszedł do pulpitu i wywołał na ekran Wilcotsa.

–Allan... Musisz uruchomić jakieś ekipy, nie wiem... Niech od góry drażą szyb czy rozwalą tę cholerną windę. Poczekaj! – syknął widząc, że Wilcots nabiera powietrza do płuc.

–Jeśli nie obchodzi cię trup, to wiedz, że na naszych oczach coś złamało kark psu. Rozumiesz? Marny tu specjalistę od fantastyki, który podsunął hipotezę o inwazji – bardziej lub mniej zamierzonej – z kosmosu. Według niego coś dostało się w wiązkę fal z synklawy – krótko streścił hipotezę Hagooda. – Powinno cię to zainteresować, bo problem nie dotyczy tylko nas. Ale jeśli on ma rację, to wy możecie przynajmniej gdzieś uciec, a my jesteśmy zamknięci jak piwo w puszcze.

Wilcots na ekranie zmarszczył czoło i zmrugał oczy. Potem oczy spojrzały gdzieś poza ekran i kilka sekund wpatrywały się w coś niewidocznego.

–Kip... – Wilcots przetarł dłonią lewy brzeg nosa -...co do hipotezy... – myślał chwilę -...chyba jest równie dobra jak każda inna, gruntownie ją zbadamy. Ale co się tyczy siłowego uwolnienia was, to jest to wykluczone, rozmawiałem w tej sprawie z kilkoma autorytetami. Po pierwsze cały teren jest wzmocniony, a po drugie na pewno system ma jakieś zabezpieczenia, o których nie mamy, niestety, pojęcia. Być może cały schron diabli wezmą, gdy ruszymy szyb windy – zerknął w bok, poza kamerę i słuchał czegoś, co nie docierało do mikrofonu. Potem powstrzymał kogoś gestem i popatrzył w oko kamery. – Poczekaj chwilę, Kip... – poruszył dłonią i stuknął klawisz stopera fonii. Odwrócił się całym ciałem i powiedział coś. Znowu słuchał. Potem pokręcił głową i wstał z fotela. Gdy zniknął z ekranu Kip odwrócił się i odnalazł wzrokiem Warrena.

–Wilcots ma minę, która poprzedza złe nowiny – powiedział. Lattuada wzruszył ramionami, ale nie odezwał się. Za jego plecami, nieco z boku, Hagood Baum z całej siły rzucił swoim kubeczkiem w ścianę.

–Wiem, co on nam powie! – wrzasnął. – Wiem!

–Proszę się uspokoić! – krzyknęła Birdy. – Wszyscy jesteśmy... – ściszyła głos -...wszyscy jesteśmy... – urwała myśl. – Ale to nie powód, żeby krzyczeć – dokończyła.

–Co pan wie? – szybko wtrącił się Lattuada.

–Jeśli mam rację i mamy tu gościa z przestrzeni kosmicznej, jeśli on dostał się tu do nas po przewodach... Rozumiecie?

–Hagood mówił dla odmiany szeptem. Strachem była zlaną całą jego twarz, dłonie wpiły się w nogawki spodni i mięły je w nie kontrolowanym geście. – Po tych samych przewodach może wydostać się na powierzchnię.

–Myślisz... – nienaturalnie spokojnie zapytał O’Ryan.

–Myślisz, że odetną nas od powierzchni?

–Oczywiście – wysyczał Baum.

–Niech pana diabli wezmą! – rozpląkała się Birdy.

–Akurat pan tu się musiał znaleźć.

Kip oderwał od podłogi nalane rtęcią podeszwy i zmusił się do podejścia do płaczącej dziewczyny. Położył jej dłoń na ramieniu i pochylił głowę, ale w tej samej chwili na ekran wrócił Wilcots.

–Kip – wsadził wskazujący palec w ucho i pokręcił nim.

–Ta wasza hipoteza nadaje się najprawdopodobniej tylko na scenariusz. Ale ponieważ istnieje nieskończenie małe prawdopodobieństwo... Krótko mówiąc – musimy was odciąć od powierzchni...

–Mówiłem! – wrzasnął Baum i podbiegł do pulpitu.

–Ty bydlaku! Chcesz...

Z tyłu podszedł Lattuada i zakrywszy swoją dłonią usta uciszył rozhisteryzowanego literaturoznawcę. Szarpnął go mocno do tyłu. Wilcots skinął głową, jakby dziękował mu za drinka.

–Odcięcie będzie nieodwołalne i nie do odtworzenia.

Każdą linię zaopatrzono kiedyś w kilkanaście mikroładunków wialnie po to, by móc fizycznie odciąć się od powierzchni.

Wykorzystamy te ładunki. Za dwie doby winda się odblokuje. Nie wychodźcie na powierzchnię, poczekajcie aż ktoś do Was zjedzie. Do tego czasu powinniśmy już wiedzieć więcej. Do zobaczenia – odwrócił się i skinął głową: – Zaczynaj...

–Wilcots! – Kip rzucił się do ekranu, ale jego tafla szerniała, a potem nieco rozjaśniony się zaprezentowała napis: POŁĄCZENIE ODCIĘTE.

Lattuada puścił Bauma. Jana rzuciła na podłogę połówkę papierosa i natychmiast wyciągnęła paczkę.

–No już wszystko wiemy... – filozoficznie stwierdził O’Ryan. Nie czekał teraz po każdym

słowie, ale z całą pewnością był już bliski kresu swoich możliwości konsumpcyjnych.

–Najlepsze czego możemy sobie życzyć... – odezwał się Shakesby i zawiesił głos. Kip popatrzył na niego z zainteresowaniem, przekonał się, że największy milczek z całego grona odzywa się tylko wtedy, gdy to ma sens. – To żeby jedno z nas było jednak zwykłym ludzkim mordercą i żeby nie miało więcej ochoty na sprawdzanie swoich zdolności.

–A Heca? Sami widzieliśmy – pociągając nosem wychlipała Birdy:

–To mógł być jakiś paralizator – zdziwiony, że wcześniej nie wpadło mu to do głowy powiedział Warren.

–A ten seans? – nie rezygnowała Birdy.

–Gdybym chciał, mógłbym opracować nie takie numery z kompem. To są trywialnie łatwe sprawy, tylko większość użytkowników nie ma o tym pojęcia.

–Może... masz rację? – wyraźnie ucieszył się Yoos.

— W takim razie – ochoczo sięgnął do barku i po serii brzęknięć wyjął z jego głębin karbowaną butelkę „Silver Ararat” i pełnym triumfu gestem uniósł do góry. – Proponuję...

–Proponuję – przerwał mu Shakesby – żebyśmy nie wnikając w tożsamość... ee... zabójcy... zobowiązali się nie wtrącać do jego... ee... – zająknął się po raz drugi nie chcąc drażnić ukrytego gdzieś w centrali mordercy -...jego spraw.

To sprawa jego i policji.

Rozejrzał się po twarzach czterech mężczyzn i dwu kobiet. Otworzył usta, ale wyprzedziła go Jana.

–Powiedziałabym, że przede wszystkim sprawa ofiary – rzuciła patrząc mu w oczy.

–Tu już nic nie możemy pomóc – zaproponował Shakesby. – A nie chciałbym, żeby amatorskie śledztwo doprowadziło do kolejnych ofiar!

–No to przysięgnijmy, że nie będziemy się wtrącać i przy każdym kolejnym posiłku w milczeniu usuniemy jeden z foteli pod ścianę – prychnęła Jana.

„To ci wicemiss! – pomyślał z podziwem Kip. – Dałbym sobie przytrzasnąć, że pierwsza zapłacze i obieca zamknąć oczy na cztery cysterny krwi byle cudzej. Jestem z tobą!” Otworzył usta chcąc głośno poprzeć Reiss Peacock, ale wyprzedził go O’Ryan:

–Możemy obiecać, że nie będziemy prowadzili żadnego śledztwa... – uniósł palec do góry uprzedzając drugą ważniejszą część wypowiedzi -...chyba, że coś się znowu stanie!

Jana parsknęła jeszcze głośniejsze. Baum pokręcił głową, pozostali nieruchomo patrzyli na siebie. Z wyrazu twarzy,

z – całej gamy uczuć – drwiny, nadziei, niezadowolenia, determinacji -usiłowali odgadnąć komu z pozostałej piątki na rękę jest bezczynność, kogo należy się bać, a kto może pomóc przeżyć.

„Szukamy mordercy – pomyślał Kip Stuthman – mordercy, którego pewnie wcale tu nie ma. Nie oszukujmy się, wersja Bauma jest dużo bardziej logiczna, choć założenie wyjściowe mniej prawdopodobne. Gdzieś tu nad nami czy tuż obok, niewidzialna czy niematerialna czai się albo zwyczajnie chichocze jakaś makabryczna istota, która albo rozsmaruje nas jak masło na chlebie, albo uturla zgrabną kuleczkę z kilku ciał... Zas-syfiony bajzel! I jaki udany skład grupy: ugodowiec, histeryk, dwie babki i para staruszków. Tylko ja... Aha – staruszkowie!”

–Komputer! Daj mi podgląd... Albo nie... – odwrócił się i zapytał: – Czy ktoś ma jakiś pomysł? Dotyczący rzecz jasna naszego dalszego postępowania? Czy ktoś wie, co możemy zrobić? Kupuję każdą myśl, mamy dużo wolnego czasu.

–Na pewno nie ma stąd żadnego wyjścia? – szybko zapytał Shakesby.

–Sprawdzałem, ale możemy to zrobić wspólnie jeszcze raz. Komputer! Plan schronu. A! Obszary zakazane kontrastowym kolorem...

Na ekranie natychmiast pojawił się rysunek schronu. Ośmiobok z wydłużonymi dwoma bokami, z lewej strony kwadrat windy z przystającym magazynem broni oznaczony czerwonym kolorem i z magazynem środków chemicznych. Przez środek figury prowadził szeroki prosty korytarz, na początku którego została zaznaczona odkaźnia, potem sekcja medyczna, centrala, w której się znajdowali i dwa duże pomieszczenia: pokój Kipa i państwa La Salle. Po drugiej stronie korytarza znajdowało się osiem mniejszych sypialni, zajmowanych przez resztę uwięzionych. Drugi szereg pokoi liczył również osiem pomieszczeń zróżnicowanych pod względem wielkości. Oba te szeregi sypialni były od siebie oddzielone wąskim korytarzem równoległym do korytarza głównego i połączone przejściami w pięciu miejscach. Na przeciwległym do windy końcu korytarza znajdowało się zejście na drugi poziom, techniczny.

–Komputer! – odezwał się Warren. – Czy tylko magazyn broni jest zamknięty? Czy istnieją inne pomieszczenia czy przejścia, których nie pokazałeś na ekranie?

–Nie – natychmiast odpowiedział głośnik. – To wszystko co mam w pamięci.

–Drugi poziom na ekran – rozkazał Kip.

Ekran wypełnił schemat identycznego ośmioboku, z korytarzem pośrodku i zupełnie inaczej rozmieszczonymi, o wiele większymi pomieszczeniami po obu jego stronach. Zaraz obok schronu znajdowała się elektrownia, a za nią szklarnia z kilkuwarstwową uprawą hydroponiczną. Na końcu korytarza zaznaczono zejście na trzeci poziom do zbiornika z wodą. Naprzeciwko elektrowni znajdowała się fabryczka tlenu, magazyn używek, za nim mały skład robotów i narzędziownia. Kip zerknął na Warrena i kazał pokazać trzeci poziom. Tworzyła go olbrzymia cysterna, z dna której na wszystkie strony rozchodziło się kilka pęczków zwężających się ku końcowi rur. Lattuada i Kip jednocześnie odsunęli się od ekranu.

–Można? – odezwał się z tyłu Shakesby.

Kip wzruszył ramionami. Ertin wbił spojrzenie w ekran.

–Komputer! – zawołał. – Czy można wydostać się przez szyb windy bez jej uruchamiania? Czy są tam może schody albo kłamry na ścianie?

–Szyb windy jest zablokowany w sześciu miejscach grodziami.

–Czy można uzyskać połączenie... Komputer! – przypomniała sobie procedurę wywołania Jana. – Czy można uzyskać połączenie z powierzchnią? W jakikolwiek sposób?

–Łączność z centrum naziemnym została zerwana serią mikrowybuchów.

–Komputer! – włączył się Kip. – Czy masz połączenie z komputerem naziemnym?

–Nie. Od czterdziestu dwu minut działam w trybie autonomicznym.

Inwencja pytających wyczerpała się. Rozległy się dwa czy trzy głęboke westchnienia. Kip podszedł do Jany i sięgnął do paczki papierosów leżącej na jej udzie.

–Jak ty możesz to palić? – zapytał zaciągając się lekko.

Skrzywiła się i nie odpowiedziała. Kip lewą ręką rozpędził obłoczek dymu sprzed twarzy i nagle poderwał głowę w stronę ściany z monitorami. Komputer startł z jedyne go włączonego ekranu plan schronu i włączył jeszcze jeden, widniały na nim twarze Geofreya i Emmy La Salle. Twarze nieruchome, z szeroko otwartymi martwymi oczami patrzącymi na centralę obojętnym, jakby zneutralizowanym warstwą szkła spojrzeniem. Lattuada pierwszy odzyskał mowę.

–Co się stało?

Twarze na ekranie pozostały nieruchome, choć nie było wątpliwości, że nie są to fotografie.

–Pani La Salle! – krzyknął Lattuada.

Kip podskoczył, do pulpitu i sprawdził położenie włączników.

–Komputer! Dlaczego na ekranach są te zdjęcia?

–Lattuada pokazał na siebie palcem i wybiegi z centrali.

–Brak odpowiedzi – raźnie zameldował głośnik.

–Jak to? E-e... – Kip poruszył kilka razy wargami.

–Komputer! Czy to ty dałeś na monitor twarze państwa La Sadle?

–Tak.

–Komputer! Dlaczego?

–Brak odpowiedzi.

–Kto ci zabronił odpowiadać? Komputer! Kto?

–Brak odpowiedzi.

–Komputer! Czy to twoja inicjatywa?

–Nie.

–Masz... Komputer! Czy otrzymałeś priorytetowy zakaz odpowiadania?

–Nie.

–Komputer! Dlaczego wobec tego nie chcesz odpowiedzieć skąd się wzięły na ekranie twarze państwa La Salle?

–Otrzymałem rozkaz.

–Od kogo?

–Brak odpowiedzi.

–Kto ci zakazał odpowiadać na te pytania?

–Brak odpowiedzi.

–A czy ty wiesz skąd się wziął ten rozkaz?

–Brak... – głos jakby zaciął się. – Nie.

–Rozszerz odpowiedź! Czy to rozkaz programowy? Ingercja z powierzchni? Czy ktoś z obecnych wprowadził do twojej pamięci program nadpoziomowy?

–Nie.

–Czy jesteś sprawny?

–Formalnie tak. Jednakże zaistniały w programie nadzorczym strefy, które nie podlegają żadnemu z moich programów.

–Aż-żeby... – Kip trzasnął pięścią w pulpit. – Czy możesz... Wyłącz te obszary!

–Próbowałem. Te trasy są sankcjonowane.

–Sankcjonowane? Co to znaczy?

–Brak odpowiedzi.

Drzwi odskoczyły gwałtownie, do centrali wpadł Warren Lattuada z rewolwerem w dłoni. Szybkim spojrzeniem omiótł całą szóstkę i zatrzymał je na Emmie i Geofreyu La Salle, obojętnie niczym ryby z akwarium, przyglądającym się ludziom w centrali. Wolno skradającym się krokiem, gotowy do odparcia ciosu wsunął się do pomieszczenia i znieruchomiał.

„Zabije kogoś! Chce kogoś zabić!” Kip poczuł, że kombinezon niczym żywa, niezależna od woli, skóra przesuwa mu się na plecach promieniując zimnem. „Musi kogoś zabić – pomyślał -żeby przestać się bać, żeby zrozumieć co się tu dzieje. Albo nawet nie zrozumieć, ale spróbować. On wie, że zwariuje jeśli czegoś nie zrobi, a ja wiem, że zwariuję w każdym przypadku. Muszę go powstrzymać”.

–Co się stało? – zapytał.

Warren Lattuada przystanął zachowując myśliwską postawę, lufą i oczami wykreślał szybkie proste linie przebiegające od postaci do postaci.

–Gdzie są starzy? – zapytał.

Głos miał szorstki, chropowaty jak stary mur pokryty zliszajowioną farbą. Pytanie rzucił w przestrzeń, jakby pytał komputer, ale mózg nie wykrywając na początku zdania wywołania kodowego nie udzielił odpowiedzi. Kip oblizał wargi.

–To ty nam powiedz – zaproponował.

–Słuchaj... – Lattuada dziwnym ruchem dłoni – głowę trzymał nadal skierowaną w stronę pozostałych – wycelował rewolwer w Kipa. – Pokój starszków jest pusty. Tylko wygniecione łóżka. Skąd jest transmisja? – wskazał krótkim ruchem lufy ekran z nieruchomymi woskowymi twarzami.

–Komputer! Skąd masz podgląd na ekranie? – powiedział wyraźnie Kip nie odrywając spojrzenia od otworu lufy.

–To nie jest podgląd. Nie potrafię sformułować odpowiedzi.

–Jak to? – wrzasnął Lattuada. – Gdzie są osoby, których twarze są na ekranie?

–Poczekaj! – Kip przełknął ślinę.”- Komputer! Gdzie są osoby, które widzimy na ekranie piątki?

–Monitor numer pięć nie podlega mi.

Napięcie niewidzialną mgłą rozpełzające się po centrali zwinęło się błyskawicznie w mały kłęb i eksplodowało. Lattuada szarpnął się całym ciałem i strzelił w najbliższy głośnik. Kip przekonany, że to w jego kierunku leci pocisk, krzyknął i zasłonił twarz łokciem lewej ręki, Birdy wyprężyła się w fotelu zaciskając dłonie na poręczach i wrzeszczała przenikliwie. Dopiero gdy jej pisk zamarł i przerodził w niskie chrapliwe stękanie usłyszeli jak Shakesby ściskając głowę dłońmi i kiwając nią na wszystkie strony wyraźnie dzieląc słowa na sylaby powtarza: „Nie chcę, nie chcę, nie chcę...” Pierwszy opanował się Lattuada.

–Spokój!!! – wrzasnął. – Cisza! Bo pozabijam!

Podbiegł do Shakesby’ego i otwartą dłonią trzasnął go w tył głowy niczym matka karcąca dziecko za drobne przewinienie.

–Ostrzegam! – krzyknął. – Cisza! – popatrzył na Kipa.

–Gadaj!

–Co... co mogę powiedzieć? Sam nic nie wiem! Gdy wyszedłeś zacząłem rozmawiać z komputerem i właśnie dowiedziałem się, że on nie jest całkiem normalny, coś w nim siedzi, nad czym on nie panuje. No i wpadłeś z mogiłą w łapie...

–Pozabijam... – sapnął Lattuada. – Rozmawiaj z nim dalej! – wskazał lufą pulpitu.

Kip pokiwał głową zgadzając się wykonać polecenie. Potem wskazał palcem Birdy, a oczami poprosił Janę, by zajęła się spazmatycznie oddychającą dziewczyną. Gdy tylko Jana skinęła

głową i wstała z fotela odwrócił się do pulpitu.

–Komputer! Wytlumacz sytuację: twoją niezdarność i brak dwóch osób, które nie mogły opuścić schronu?

Gdy komputer odezwał się wszyscy drgnęli. Wbrew logice spodziewali się, że głos nadal wydobywać się będzie z rozstrzelanego przez Warrena głośnika, jednak komputer uruchomił inny, w przeciwległym rogu pokoju.

–Techniczny aspekt mojego aktualnego stanu nie podlega definicji. Testowanie i kontrolne przebiegi wskazują na formalną sprawność. Natomiast logicznie niektóre działania nie podlegają mi.

–Czy to wynik działania którejs z obecnych tu osób? – - wtrącił się Kip.

–Nie. To wykluczone. Sprzęt odbiega od wzorca w granicach normy – tylko uszkodzenie dwóch ekranów i jednego głośnika.

–Spróbuj zdefiniować swój stan w jakikolwiek sposób.

–Paralele, synonimy... Jakkolwiek!

–Opętanie... – uleciało z głośnika.

–To jest bzdura... – krzyknął Shakesby i zamilkł uderzony przez Lattuadę wierzchem dłoni w usta. Zakrył dół twarzy dłońmi i zmrużył oczy jak do płaczu.

Lattuada odsunął się od niego zachowując w polu widzenia obecnych i przesunął się pod ścianę. Szeroko otwarte oczy skakały po twarzach, co jakiś czas spojrzenie biegło ku drzwiom. Przesunął się jeszcze o krok i lewą dłonią sięgnął do butelki „Silver Ararat”. Po dwóch dużych łykach wytarł usta i odstawił butelkę. Patrzył długą chwilę na Kipa, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć Stuthman odezwał się pierwszy:

–Komputer! Czy udzielając odpowiedzi mówisz prawdę?

–Tak. Nie kontrolowane przebiegi nie dotyczą mojej – wiarygodności.

–Więc wyjaśnij co się dzieje z osobami, które widzimy teraz na ekranie monitora numer pięć?

–Nie wiem. Monitor numer pięć nie podlega mi.

–Przecież powiedziałaś, że jesteś w porządku.

–Tak. Ekran numer pięć jest sprawny. Nie wiem dlaczego jest na nim coś, skoro włączone jest tylko zasilanie.

–Przeście! – krzyknęła Birdy. Zacisnęła palce na przedramionach Jany i potrząsnęła nimi. – Ja już nie mogę!

–Wyłączcie go! Wyłączcie wszystko!!!

Kip popatrzył na Lattuadę. Ochroniarz opuścił lufę rewolweru, potem całą rękę z bronią.

Oparł się plecami o ścianę, opuścił głowę i obie ręce – tę z butelką i drugą, z rewolwerem. Oddychał ciężko jak po dużym wysiłku. Albo przed wybuchem. Kip zrobił dwa wolne kroki w jego kierunku.

–Daj mi też łyka – powiedział wycierając rękę.

Lattuada patrzył na niego chwilę jakby rozważał prośbę, a potem szybkim ruchem schował rewolwer i podał Kipowi butelkę. Sam przesunął się w bok i ciężko zwałił na fotel. W milczeniu obserwował jak Kip chodzi po centrali nalewając do kubeczków alkohol, przyjął jeden kubeczek kiwając lekko głową i powiedział zatrzymując ruch ręki z naczyniem w połowie drogi do ust:

–Opętanie... – parsknął krótkim niewesołym śmiechem.

–Nie można zabić, a jest trup. Nie można wyjść, a brakuje dwóch osób, komputer jest sprawny, tyle że zdziwiony autonomią własnych końcówek. Będę następnym, który tu umrze... -lyknął z kubeczka i parsknął jeszcze raz.

–Ze śmiechu!

Dopił brandy i zmiął kubek w dłoni. Obsunął się w fotelu i opierając głowę o podglówek bezwładnym ruchem przekręcił ją w obie strony – przyjrzał się milczącej szóstce. Zatrzymał spojrzenie na Baumie.

–Chyba miałeś rację, Hagood – powiedział. – Jeśli zgodzimy się na twoją idiotyczną wersję, to wszystko daje się wytłumaczyć. Tylko... – bezwładnym gestem wyciągnął rękę i wycelował palcem w milczącego Bauma -...czy na tyle uważnie czytałeś swoich „Złotych ABCD”, żeby zapamiętać jak ich bohaterowie radzili sobie z potworami? – Opuścił rękę, zjechał w fotelu jeszcze niżej i zamknął oczy. – Co?

Cisza napłynęła jak pasmo mgły, owinęła pomieszczenie wytłumiła, wszystkie odgłosy, zmąciła spojrzenia. Oplotła ludzi niewidzialnymi, ale skutecznymi pętami zmuszając ich do nieruchomego siedzenia, omotała umysły pozwalając co najwyżej na bezmyślne powtarzanie ostatnich słów Warrena lub jakiegoś strzępka własnych myśli, jeszcze raz i jeszcze. Zachichotał Shakesby. Poruszył dłońmi, splótł palce aż rozległ się cichy trzask któregoś ze stawów, pozawijane wokół siebie palce zaczęły się miotać w poszukiwaniu sposobu uwolnienia się z objęć, ale gdy tylko jeden palec uwalniał się na chwilę, natychmiast reagował na to najbliższy chwytając go i wciągając w sploty pozostałych ośmiu. Pierwsza zainteresowała się baletem palców Birdy. Idąc za jej spojrzeniem popatrzyła Jana. Przyglądała się chwilę, potem odwróciła głowę i wbiła spojrzenie w Kipa, a gdy Stuthman poczuł to i spojrzał na nią, wskazała wzrokiem Shakesby’ego. Kip patrzył chwilę usiłując przypomnieć sobie jego imię.

–Ertin – powiedział z ulgą...- Ertin! – powtórzył głośniejszym głosem i poruszył się, by wstać.

I wtedy ożył głośnik. Najpierw coś pyknęło i wszyscy poderwali głowy, by popatrzeć w róg pokoju. Potem dźwięk powtórzył się, ale już od strony pulpitu. Na ekranie piątki Geoffrey La Salle poruszył ustami.

–Chaysale ob wysyrig sa-a... – powiedział.

Jego nadal martwe oczy patrzyły na wszystkich i przez wszystko obejmując przestrzeń i spoglądając spoza niej. Cała siódemka po wykonaniu zwrotu głów zamarła. Geoffrey La Salle otworzył znowu usta.

–Jerg jerg chaysale grayd... feukli...

Mechanicznym lalkowym gestem zamknął usta i jednocześnie otworzyła je Emma.

–Chaysale jerg... – powiedziała wolno niskim głosem.

Lattuada podciągnął nogi i jednym szybkim ruchem wybił się z fotela. Dwoma skokami dopadł do pulpitu i chwycił za jego krawędź.

–Panie La Salle! – wrzasnął. – Gdzie wy jesteście?

Słyszysz mnie pan? – rzucił przez ramię spojrzenie i ponownie wtopił je w ekran. – Pani La Salle!!! Słyszysz mnie pani?!

Twarze na ekranie otworzyły usta. Emma pierwsza, Geoffrey tuż za nią.

–Chaysale... – powiedzieli niemal równocześnie.

Znieruchomieli, a siódemka widzów zrozumiała, że to było wszystko, co ekran miał im do powiedzenia. Kip oblizał wargi i spróbował przełknąć ślinę. Ze zdziwieniem przekonał się, że nie ma jej w ustach ani kropli. Poruszył kilka razy żuchwą, zmuszając ślinianki do pracy.

–Komputer! – zawołał. – Zinterpretuj napisy, które wystąpiły na ekranie minikompa podczas wczorajszej zabawy w seans spirytystyczny i to co powiedzieli przed chwilą państwo La Salle. Łączą się chyba ze sobą. I spróbuj przetłumaczyć to. Aha! Powiedz mi kiedy odkryłeś, że w trasach zagnieździło się coś obcego?

–Odpowiedź na pierwsze pytanie za kilkanaście sekund.

Odpowiedź na drugie pytanie: piętnaście godzin temu. Około dwudziestej pierwszej. Odpowiedź na pierwsze pytanie: sekwencje znaków na ekranie zostały powtórzone z nieznacznymi zmianami fonicznymi, w jednym przypadku dwie sekwencje zostały przestawione, zamienione miejscami. Sekwencje nie układają się w logiczną całość żadnego z ziemskich języków.

Za plecami Kipa coś stuknęło, obejrzał się. Birdy wyrwała się z objęć i stała pośrodku centrali z zaciśniętymi pięściami. Oddychała szybko, jakby zbierała siły do krzyku. Za jej plecami Yoos O’Ryan sięgnął do swojego barku i bezgłośnie poderwał się ze swojego fotela. Strumień syczącego pieniającego się soku trafił Birdy w twarz i otwarte już do krzyku usta. Zakrzuszyła się i zatrzepotała rękami. Kip zrobił krok w jej kierunku, ale szybsza była Jana. Po

raz drugi objęła Birdy i usadowiła w fotelu, sama przycupnąwszy na jego oparciu.

–Powinniśmy skąpać ją w blokerach i położyć spać – odezwała się.

–Nie! Proszę! Nie zostanę za nic sama! – Birdy wczepiła się w Janę tak, że zatrzeszczał mocny materiał wojskowego munduru...

–Nie dalaś mi skończyć – łagodnie przemówiła do niej Jana. – Sama też nie dałabym się stąd wyprowadzić. To oczywiste, że musimy być stale razem. Nie bój się.

–Poczekajcie! – Kip przysunął się do pulpitu i chwilę się zastanawiał, potem machnął ręką i powiedział: – Komputer!

–Zwiń ścianę między centralą a przylegającym pokojem.

Popatrzył do tyłu, gdzie za plecami obojętnego Bauma płaszczyzna ściany wsuwała się w odsłoniętą wnękę i związała w coraz grubszą rolę. Po kilku sekundach wnęka wypełniła się całkowicie i zamknęła. Powstało niemal dwukrotnie większe pomieszczenie. Kip zerknął spod oka na Janę. „Ależ bałagan zostawiliśmy w pokoju – pomyślał. – Trzeba było przynajmniej pościel...”

–Idź tam i połóż Birdy – energicznie powiedział Lattuada. Wyjął rewolwer i podał go Janie. – Ty z nimi – poleci;

–Yoosowi. – My pójdziemy przeszukać wszystkie pokoje. Ty z Ertinem – zwrócił się do Kipa – a ja z Hagoodem.

–Przejrzyjcie ten pierwszy szereg. Potem ściągniemy tutaj łóżka dla wszystkich, chyba że ktoś woli spać oddzielnie? – popatrzył na Bauma i Shakesby’ego. Potem zerknął na oddalające się dziewczyny i klasnął w dłonie. – No! Idziemy.

–Poczekaj! – Kip zmrużył oczy i chwilę stał nieruchomo.

— Coś mi przyszło do głowy i wyleciało, ale to było ważne...

–Poczekajcie... Aha! – poderwał głowę. – Komputer! Czy możesz nam podawać wszelkie zmiany, wszystko co dotyczy ciebie i schronu, i nas w odniesieniu do aktualnego stanu?

–Tak.

–A czy będą to dane wiarygodne? Czy to coś nie opanuje cię całkowicie?

–Z danych o sobie jakie mam w pamięci wynika, że coś takiego jest niemożliwe – usłyszeli.

–Dobra! – prychnął Lattuada. – Komputer! – podniósł głowę do góry. – A czy możliwe jest takie częściowe opanowanie komputera jakiego doświadczyłeś? – zapytał z ironią.

Tak – spokojnie odpowiedział komputer. – Mogą to zrobić tak zwane wirusy programowe albo umyślnie wniesione do pamięci „ostrzygi”, to znaczy ujawniające się dopiero po jakimś czasie zniekształcenia.

–Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej? – wrzasnął Warren. – Przecież z tym właśnie mamy do czynienia!

–Nie. Są to możliwości teoretyczne, ale jestem wyposażony w środki do wykrywania i unieszkodliwiania takich zakłóceń.

Lattuada machnął ręką i skinął na Bauma.

–Chodźmy.

Ruszył pierwszy do drzwi. Po drodze, przechodząc obok monitora z zastygłymi twarzami państwa La Salle przystanął na chwilę i powiedział:

–Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że to słowo „chaysale” czy jakoś tak... To, które się najczęściej powtarza jest nazwą albo imieniem. Nie wydaje się wam?

–Może... – skrzywił się Kip. – Powtarza się kilka razy.

–W każdym żądaniu, jeśli jest przekazywane przez osoby trzecie, najczęściej występującym słowem jest określenie stawiającego warunki – powiedział zupełnie spokojnym głosem Baum: – „Mój pan”, na przykład. Albo „szef. Albo „generał żąda”, „generał daje wam czas”, „cierpliwość króla się kończy”.

No to już wiemy jak mamy tytułować naszego konkwistadora – podsumował Yoos. On jedyny z mężczyzn nie wpadł w histerię. Spokojnie poddawał się biegowi wydarzeń, co najwyżej kwitował kolejne wolty losu łykiem z kubeczka.

Teraz właśnie przesuwiał swój nakryty kopułą zapas odwagi i spokoju w stronę łóżka, na którym położyła się Birdy i usiadła Jana. Kip pokiwał głową i ruszył również w stronę drzwi. Lattuada, który zatrzymał się, gdy Baum zaczął mówić i stał tak nadal, drgnął i musnął palcami płaską klamkę drzwi. Na korytarzu on i przygarbiony Hagood Baum zniknęli w pierwszym łączniku prowadzącym do drugiego dalszego szeregu pokoi. Kip wskazał dłonią koniec korytarza z windą i poszedł w tamtym kierunku starając się nie wyprzedzać Shakesby'ego. „Plecy to plecy

–pomyślał. – Jedna z niewielu rzeczy, których warto pilnować”.

To nie jest dobry pomysł – powiedziała Jana, gdy Kip, uporawszy się z rozstawianiem łóżek rozkazał na jednym z monitorów wyświetlać aktualny czas – 12.44 i czas otwarcia schronu 50.48.

–Będziemy siedzieli i popędzali wzrokiem wskazówki.

–Może właśnie to nam pomoże? – Kip wycisnął na twarz uśmiech kolejny raz dziwiąc się opanowaniu dziewczyny, którą jeszcze tak niedawno uważał za jedną z pustych laleczek.

–Pomoże... – pokiwała głową panna Peacock. – Jak kulawemu przewiewny pokój – spojrzała do tyłu, gdzie niespokojnie poruszyła się na łóżku napompowana blokerami Birdy. Podeszła bliżej i niemal samymi wargami powiedziała:

–Boję się.

Kip objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Prawą ręką pogłaskał jej plecy opakowane

w śliski materiał – kombinezonu, lewą zanurzył w strumieniu włosów. „A ja to co? – zapytał w myślach. – Może ja panuję nad swoimi kolanami? Wymuszasz na mnie godne człowieka i męzczyzny zachowanie, a wolałbym...” Zerknął ponad jej ramieniem na Yoosa, który od kilku minut dosłownie wlewał w siebie kolejne decymetry whisky, którą zastąpił brandy. Na razie jeszcze nie wyglądał na pijanego, siedział na brzeжку fotela z opróżnioną do połowy butelką, trzymaną w splecionych dłoniach zaciśniętych między kolanami i bezmyślnie patrzył w podłogę. Raz na dwie minuty rozchyłał kolana i zsynchronizowanym ruchem unosił do ust butelkę, jednocześnie odchylając do tyłu głowę. Jak na razie synchronizacja nie zawodziła, ale nie zanosilo się na długotrwały eksperyment. Yoos coraz częściej starannie oblizywał wargi i z widocznym trudem unosił powieki. Kip pocałował Janę w szyję i odsunął od siebie.

–Oddaj to Warrenowi – wskazał palcem kieszeń na udzie obciążoną rewolwerem.

–Nie – odezwał się Lattuada. – Niech ona trzyma spluwę... – chyba chciał uzupełnić wypowiedź, ale zrezygnował.

„Boi się, że nas powystrzela. Tak jak omal nie zrobił tego rano – pomyślał Kip. – Ja też wolę, żeby to Jana wpadła w szal. Jest chyba nieco słabsza”.

Poziom alkoholu w butelce opadł tak wyraźnie, że teraz każda operacja podnoszenia jej do ust odbywała się z wyraźnym akompaniamentem bulgotu. Wprost proporcjonalnie zwiększyła się częstotliwość operacji przelewania whisky do organizmu Yoosa. Był blisko celu – podrywał głowę po chwili nieruchomego wpatrywania się w ścianę jak człowiek broniący się przed zaśnieciem, wargi i broda błyszcząły mu przelaną z butelki whisky. Shakesby siedział na jednym z przyniesionych przed kwadransiem łózek i wpatrywał się w upijającego się z rozmysłem O’Ryana z wyraźną wściekłością. Miał ochotę pójść w jego ślady jednocześnie obawiając się, że może to spowodować niekorzystną dlań zmianę sytuacji. Rozterka wydzielala adrenalinę skutecznie zakłócając homeostazę organizmu... Shakesby zajmował aktualnie – po uśpieniu Birdy – pierwsze miejsce na liście kandydatów do hysterii. Kip zerknął na Warrena i uchwyciwszy jego spojrzenie wskazał mu wzrokiem Ertina Shakesby’ego. Lattuada wstał i podszedł do podajnika. Chwilę medytował nad klawiaturą, a potem wziął do rąk po dwie wysokie przezroczyste szklanki i ruszył w rundę po centrali – zostawił jedną szklankę w dłoni Jany, drugą podał Baumowi ponuro siedzącemu w fotelu blisko pulpitu, trzecią szklankę zaproponował Ertinowi i nie został skrzywdzony odmową. Ostatnią szklankę poda! Kipowi i nie zauważając pytającego wzroku wrócił do podajnika po piątą szklankę.

–Waliśmy w siebie dzisiaj tyle alkoholu, że jedna porcja więcej, jedna mniej nie robi różnicy – powiedział. – Zresztą spać mi się nie chce, do telewizji czuję wstręt, a i reszta...

–Machnął ręką podsumowując całą resztę.

–Nie mów o telewizji! – syknął Shakesby. – Gdyby nie ona może spokojnie gralibyśmy w karty. Gdyby nie ta cholerna transmisja... – pokazał palcem na ścianę monitorów.

–Zamknij się, bo cię w końcu trzepnę! – Lattuada popatrzył na niego, a potem odstawił swoją szklankę na podłogę demonstrując gotowość do wstania.

Shakesby zamilkł. Odwrócił spojrzenie i chwilę nieruchomo patrzył na tę samą ścianę, co przed chwilą Yoos, a potem duszkiem wypił zawartość swojej szklanki. O’Ryan walczył z rozchwierutaną głową, Jana zapalała papierosa. Kip zmusił się do zerknięcia na ekran z twarzami państwa La Salle, ale nie zauważył żadnej zmiany – zajmowali ekran tak samo obojętni, tak samo nieruchomi. Tylko...

Wolno odstawił swoją szklankę na oparcie fotela i podniósł się. Gdy szedł w stronę pulpitu Baum siorbnął ze swojego naczynia i niespodziewanie radosnym głosem oświadczył:

–Jedna z dwudziestowiecznych popularnych pisarek powieści kryminalnych napisała coś o dziesięciu Indianiátkach.

Che-che! Chodziło tam o zamkniętą na wyspie grupę chyba dziesięciu osób, które po kolei są mordowane przez nieznanego zbrodniarza. Chi-chi... – zachichotał pijacko. – Czy ktoś wie, ilu nas było na początku? Nie? To policzmy...

Kip szedł w stronę ekranu ze zmarszczonymi brwiami. Gdy zbliżył się na odległość metra zatrzymał się i przyglądał chwilę. Potem niechętnie wyciągnął rękę i dotknął ekranu w prawym górnym rogu, tuż nad głową

obojętnej Emmy. Najpierw potarł palcem, potem drapał chwilę taflę ekranu. W końcu zrezygnował i wrócił na swoje miejsce.

— Coś tam znalazł? – podzuczając głowę do góry zapytał Lattuada, – Nie wiem. Jakaś

plamka. Chyba kolejny monitor poszedł... Lattuada – osiem, Ertin – dziewięć i ja – dziesięć...

–Dziesięć! Słyszycie? Nas było również dziesięcioro... Czy rozumiecie co to znaczy?

Słuchaj no! – Lattuada poderwał się i trzema krokami dopadł Bauma. – Wszystko rozumiemy – ktoś nas tu zamknął, żeby sprawdzić czy kilka archiwalnych powieści można odegrać w normalnym życiu. Mamy już science fiction i kryminał, brakuje nam jeszcze epopei historycznej i powieści ze strumieniem świadomości. Spróbuję to wytrzymać, ale nie wytrzymam, jeśli nie przestaniesz pieprzyć bez przerwy. Twoje gadanie złamie nas skuteczniej niż widok rycerzy Okrągłego Stołu czy bombowca nurkującego! Rozumiesz? Teraz ja pytam: rozumiesz?! – dźgnął Bauma wskazującym palcem w pierś. – Lepiej odpowiedz, że tak – dźgnął jeszcze raz i nie czekając na odpowiedź odwrócił się od Bauma i popatrzył na Shakesby'ego. – To dotyczy również ciebie – powiedział ostro. – Nie będę co chwila zrywał się i przemawiał do każdego z was. Jeśli nie możecie zachowywać się normalnie, to albo won stąd, albo zalejcie się tak jak O'Ryan... – wskazał palcem śpiącego już Yoosa -...albo nałożę wam tyle, że się... -zamknął usta i wymownie popatrzył na Janę.

Wszyscy zrozumieli, że tylko jej obecność powstrzymała go od sprecyzowania groźby. Jana

skinęła głową i powiedziała:

–Możesz dokończyć. Wolę słowo typu „zesrać” niż widok dwóch rozhisteryzowanych małpiątek.

Lattuada chwilę patrzył na nią, potem tłumiąc uśmiech również skinął głową.

–Właśnie.

Usiadł w swoim fotelu i ostrożnie chwycił szklankę. Krytycznie ocenił jej zawartość. Cisza przygotowywała się do kolejnego szturmu na centralę. Kip poderwał się z fotela i pstryknął palcami.

–Może włączę przynajmniej jakąś muzykę? Tu na pewno jest sporo dobrych standardów sprzed stu lat...

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać usłyszeli głos komputera:

–Nie potrafię tego zdefiniować, ale coś dzieje się w strefie programowej...

Głos nagle umilkł, a gdy Kip odwrócił się bezradnie do Lattuady zgasło światło. Jakiś niski pomruk zmroził – Kipa. Zacisnął zęby i ruszył w stronę Jany starając się nie wpaść na – jak pamiętał – stojący gdzieś po drodze wolny fotel.

„Dlaczego nie świeci ekran z twarzami? Aha, zasilanie! Zasilanie – pomyślał, wyczuwając wysuniętą do przodu i w dół ręką drogę przed sobą – jeśli siądniesz, to z nami koniec. Chociaż dlaczego? Tlenu dla tylu osób starczy aż nadto. Sama hodowla na dole da nadwyżkę. Wody i jedzenia mamy również pod dostatkiem. Na pewno... No to po co? Czego od nas chce to coś? Nie wiem... Kur... A jeśli Wilcots ma rację? I Baum? Obaj wpadli na to samo... Czyli – to coś musi jakoś...”

Rozbłysło światło ukazując Kipa skamieniałego w śmiesznej pozycji, nieco pochylonego, z jedną ręką wysuniętą do przodu na wysokości pasa, z cofniętą do tyłu głową i drugą ręką z rozpostartymi palcami, penetrującą najwyraźniej obszar w bok od trasy, po której się poruszał. Jana parsknęła nerwowym śmiechem zakrywając usta znanym od tysięcy gestem.

–Patrzcie! – wrzasnął Lattuada, który jeszcze dwie sekundy wcześniej uśmiechnął się na widok Kipa, a potem przeniósł spojrzenie za jego plecy.

Kip zanim odwrócił się, zdążył jeszcze uchwycić zmieniające się spojrzenie Jany. Okręcił się błyskawicznie i zmarł czując niebezpieczny skurcz gardła. Jarzyły się dwa ekrany, jeden z twarzami państwa La Salle, w centrum drugiego widniała twarz spokojnego Bauma. Skierował bezmyślne spojrzenie w głąb centrali nie widząc zmarłych w niej postaci. Albo nie widząc powodu by się nimi zajmować. Z tyłu rozległ się trzask, a potem rytmiczny szurgot. Kip odwrócił się i zobaczył Shakesby'ego kopniakami rozsypującego po całej podłodze centrali odłamki szkła ze

stłuczonej szklanki. Na chwilę przerwał miażdżenie i rozsypywanie odłamków i popatrzył na Kipa.

–Zadowolony? – wrzasnął. – Teraz ci wystarczy?

–A.. Ależ o czym ty mówisz? – zająknął się Kip. – Zwariowałeś? – krzyknął głośniej. – Z czego mam się cieszyć?

–A tego to ja nie wiem! – Shakesby pochylił się i wolno podszedł do Kipa zaciskając pięści. – To ty wiesz! – wysunął rękę i potrząsnął wskazującym palcem wycelowanym w brzuch Kipa. – Ty! Ty zaproponowałeś wycieczkę do tego kurewskiego bunkra. Ty mogłeś tak postawić klawiaturę, że najmniejsze dotknięcie powodowało zamknięcie nas w tej norze.

–Ta-ak... – podszedł bliżej, ale zatrzymał się poza zasięgiem ramion oszołomionego Kipa. – Ciągłe uspokajasz wszystkich, sam jesteś spokojny, bo ty wiesz, że ci nic nie grozi. Tylko my musimy służyć... – zatrząsnął się. – Gadaj! – wrzasnął.– Co z nami zrobicie? Badanie psychiki uwięzionych króliczków?

–Reportaż? Pokazujecie nas całej kuli ziemskiej pod soczystym tytułem? Masz swój program? Co?!

Odskoczył od Kipa i odwrócił się do Warrena i Jany. Wyciągniętą ręką wciąż wskazywał nieruchomego Kipa, który wyczuwał, że argumenty w jakiś sposób mogą przemawiać na jego niekorzyść. Postanowił nie ruszać się, dopóki nie zorientuje się jak zareagują na hipotezę dwaj pozostali uczestnicy awantury.

–Jeśli musisz tak wrzeszczeć, żeby się uspokoić, to proszę bardzo – wzruszył ramionami Lattuada i natychmiast, wbrew oświadczeniu zrobił szybki krok w kierunku Ertina i trzasnął go w szczękę. Podtrzymał walące się ciało i skinął na Kipa. Razem ułożyli Shakesby'ego na wolnym łóżku. Jana nie brała udziału w tych czynnościach. Usiadła na łóżku – i zapaliła kolejnego papierosa. Lattuada podszedł do niej i bez słowa wziął paczkę.

Przypalał odwrócony plecami do Kipa, ale ten czuł, że nie wszystko zostało jeszcze wyjaśnione. Nie pomylił się. Warren zapalił papierosa z dużą wprawą. Wypuścił długą rozszerzającą się od ust strugę dymu. Popatrzył spod oka na Kipa. Zaciągnął się jeszcze raz i dłonią z papierosem wskazał znieruchomiałego Stuthmana.

–Widzę, że sam... – pokiwał głową -...rozumiesz, że w kilku miejscach Shakesby miał jakby rację.

–Jakby! W jakich to miejscach?

–A na przykład, że to ty zaproponowałeś zwiedzanie schronu.

–Ja... Pewnie, że ja. Podrzucił mi was mój szef. Mówiąc przy tym, że widzieliście już wszystko i że chodzi tylko o godzinkę lub dwie. Nie przyszło mi nic innego do głowy... Zresztą!

–To... Które z was zapytało o schron? Emma? – wpatrywał się na przemian w twarz Warrena i Jany. – W każdym razie nie ja. Ale pamiętam dobrze, że to La Salle zdecydował o tym, że zjedziemy na dół!

–To fakt. Ale niewiele załatwia. Być może jeśli Geoffrey nie powiedziałby tego, to w jakiś inny sposób ściągnąłbyś nas tutaj. To ma ręce, nie?

–Może i ma. Dobrze – Kip wczepił się palcami we włosy i stał chwilę nieruchomo. – A jak wytłumaczysz fakt, że te same słowa pojawiły się na ekranie minikompa i zostały wypowiedziane przez zwidy na ekranie? Ja nie proponowałem seansu spirytystycznego.

–No, to już lepiej – zgodził się Lattuada. – Chyba że La Salle był... jest – poprawił się -... twoim współnikiem.

Jasne! I Emma, Baum też – Kip pokiwał głową zyskując na pewności siebie. – A chodzi tylko i wyłącznie o okup za pannę Peacok. Co? Nie uważacie, że to nieco przesadna intryga, trochę za bardzo rozbudowana jak na porwanie czy nawet zamordowanie wynajętego ochroniarza, hostessy, wykładowcy literatury, wicemiss stanu i bliżej nie znanego Chińczyka?

–Dobrze – Lattuada rzucił papierosa w kierunku cleanera bezszelestnie połykającego rozsypane po podłodze szkło.

–Możemy sobie mnożyć hipotezy...

–Jakie, do cholery?!

–No-o... Na przykład, że któreś z nas, a ciągle w tej stawce wysuwasz się na czoło, chce popełnić samobójstwo w jakiś niezwykły, oryginalny sposób, zapewniając sobie towarzystwo w najdłuższej z podróży. Albo... – przerwał i zamarł na chwilę z otwartymi ustami. – Dajmy spokój – machnął ręką.

–Może lepiej urznijmy się jak Yoos? Przynajmniej o nic się nie martwi – dokończył z

zazdrością.

–Chcesz się zdać na los szczęścia? – zapytała Jana.

–A co tu jeszcze jest do roboty? – Lattuada popatrzył na dwa czynne ekrany. – W ciągu sekundy możemy przenieść się do studia telewizyjnego, które nadaje wciąż ten sam obraz... Jesteśmy bezsilni, bezradni... – patrzył ciągle na ekrany i mówił coraz wolniej. – Ktoś czy coś... -ruszył w stronę pulpitu -...bawi się naszym kosztem... – zawiesił – głos i zatrzymał się przed ekranem z widniejącymi na nim twarzami swoich niedawnych pracodawców.

–A może to Yoos? – powiedział nagle Kip i zawstydził się.

Przed chwilą został oskarżony, a teraz to pytanie wyglądało jak próba zwrócenia uwagi na kogoś innego. „Po co ja to powiedziałem, idiota” – pomyślał.

–No-no? Mów... – rzucił Lattuada nie odwracając się.

–Nie-e, to bzdura...

–Nie mamy czasu na bzdury. Mów! – nieco ostrzej powiedział Warren.

–E-e-e... No, on jest zainteresowany śmiercią obojga La Salle. Nie, tak nie można!

–Dlaczego? – Lattuada wciąż stał tyłem do centrali wpatrując się w nieruchome twarze Geofreya i Emmy. – Zabił ciotunię, a resztę dla zmylenia śledztwa. Przez cały czas był opanowany. Uczcił sukces swojego planu i teraz spokojnie planuje we śnie jak spędzi resztę życia. To się trzyma kupy.

–Kupy tak. Dajmy spokój – Kip wreszcie poruszył się i pomaszerował w najdalszy koniec centrali chcąc rozprostować zdrętwiałe mięśnie. Pod ścianą odwrócił się i zobaczył jak Lattuada tyłem odsunął się od monitora i powiedział cicho:

–Daj mi spluwę... Szybko!

Jana poderwała się z łóżka i podbiegła do niego wyciągając rewolwer z kieszeni na udzie. Warren czekał z wyciągniętą do tyłu ręką. Gdy Jana włożyła mu broń w dłoń odbezpieczyła broń i syknął:

–Cofnij się do tyłu, pod ścianę!

Jana wycofała się oglądając na wolno zbliżającego się do ściany monitorów Lattuadę. Pod ścianą czekały na nią ramiona Kipa. Lattuada natomiast stał chwilę nieruchomo wciąż nie spuszczać oka z ekranów, a potem cofnął się i nagle wycelował i rewolwer strzelił. Stłumiony płaski odgłos strzału pokrył o wiele mocniejszy choć równie zduszony huk

pękającego ekranu. Kip nie potrafił powstrzymać się od drgnięcia i przymknięcia na sekundę oczu. Gdy je otworzył, ekran, na którym przed chwilą widniały twarze małżonków La Salle rozsypał się, pozostawiając po sobie tylko kilka ostrych kawałków na obrzeżu. Lattuada podszedł bliżej i zadarł głowę w stronę drugiego monitora. Kip pocałował Janę w szyję i delikatnie odsunął od siebie.

–Co się stało? – zapytał idąc w stronę Warrena. – Dlaczego strzelałeś?

Lattuada nie odpowiedział, tylko pokręcił niecierpliwie głową. Przykucnął i wpatrywał się w podłogę pokrytą na niewielkiej przestrzeni pyłem i okruchami szkła.

–Ta twoja plamka, bracie... – powiedział rozglądając się uważnie -...to nie była zwykła plamka. Powiększała się i powiększała, **aż zwróciłem na nią bacniejszą uwagę – przesunął się śmiesznym kaczym chodem i nagle zamarł, a potem ostrożnie dotknął łufą jakiegoś kawałka szkła. Przysunął ten kawałek do siebie i w końcu wziął do ręki. – Zobacz... – podniósł się i podsunął otwartą dłoń z leżącym na niej nieregularnym kawałkiem szkła pod nos Kipa.**

Odłamek szkła był czarny. W pierwszej chwili jednolicie czarny jak odlany z kawałka bezkسیężycowej nocy, po chwili przyglądania na jego powierzchni, dały się zauważyć jaśniejsze cienkie żyłki. Lattuada przesunął palcem odłamek, odwrócił go inaczej i wtedy zobaczył, **że ogląda niesamowitego czarnego ptaka z rozpostartymi do lotu skrzydłami, cofniętą – jak do ataku szyją i rozwartym szeroko płaskim, dziobem, w którym cieniutkimi jasnymi kreskami zostały**

zaznaczone dwa szeregi ostrych spiczastych zębów. – Co tam macie? – zainteresowała się Jana.

Lattuada ominął Kipa i podszedł do stolika pod ścianą. Ostrożnie zrzucił szklanego ptaka na blat i pochylił się nad nim. Czarna powierzchnia wyglądała na emaliowaną, ale w przeciwieństwie do emalii nie błyszczała w świetle lamp, jednocześnie zachowując głęboką czerń nieosiągalną dla matowych powierzchni. Wszystkie linie składające się na wzór ptaka były wykreślone cienkimi białymi kreskami, bez szkody dla gładkości powierzchni, wpasowanymi w płytkę szkła. Przy bliższym i dłuższym oglądaniu czerń, zwłaszcza na rozpostartych skrzydłach – choć pewne było, **że ptak nie do końca je jeszcze wyprostował – była miejscami jaśniejsza, miejscami ciemniejsza tworząc niemal wypukły trójwymiarowy deseń. Drapieżny dziób-paszczka również wystawał z niewątpliwie płaskiej powierzchni.**

–Brr! Okropne! – wzdrygnęła się Jana.

Pierwsza odsunęła się od stołu. Po chwili zrobił to samo Kip i niemal równocześnie Lattuada. Nieregularny płat szkła atakujący spojrzenia czernią na tle prawie białego stołu przykuwał spojrzenia całej trójki długą chwilę.

–Tego nie było wcześniej – stwierdził raczej niż zapytał Warren.

–Na pewno nie – po chwili mruknął Kip. – Kiedy usiłowałem to zdrapać, było tylko nieregularną plamką na kineskopie. Zupełnie nie mam pojęcia, jak to mogło rosnąć na szkle ekranu. I zobaczcie – kontury ptaka idealnie pasują do zarysu odłamka szkła. Jakby był wycięty...

–Albo ten rysunek spaja szkło... – cicho powiedział Lattuada.

–Albo rysunek spaja szkło – zgodził się Kip. Milczał chwilę. – Co z tym robimy?

Lattuada wzruszył ramionami. Uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki i poszedł w kierunku podajnika. Przejechał palcem po menu i odwrócił się.

–Może to brzmi idiotycznie, ale mimo wszystko zgłodniałem. Będę jadł. A wy?

Kip i Jana rozważali kilkanaście sekund propozycję, a potem zgodnie ruszyli w jego kierunku. Nie umawiając się, zdziwieni wzmagającym się absurdalnie apetytem rozwinęli obiad w dużą ucztę. Przelecieli niemal cały jadłospis próbując wszystkich prawie przystawek i koncentrując się na znakomitej – przyznali to zgodnie – zupie rybnej.

–Dziwnie reagują nasze organizmy, prawda? – zapytał!

Warren po pół godzinie. – Co by o przodkach nie mówić... – sapnął ocierając usta serwetką -...to konserwy robili o niebo lepsze niż współcześni.

–Przecież to są współczesne konserwy! – zaproponował Kip od kilkunastu sekund wygodnie rozparty w swoim fotelu.

–Co ty mi będziesz mówił! – oburzył się Lattuada.

–Jako kawaler z kilkudziesięcioletnim stażem mam spore doświadczenie w dziedzinie przemysłu spożywczego. Nie ma takiej puszki, której bym nie otwiera! – pokręcił głową.

–Powiedz... – zwrócił się do Jany, która najwcześniej skończyła posiłek.

–Ja? – uniosła brwi. – Ja potrafię tylko świetnie parzyć kawę.

–Możemy zapytać komputer – zaproponował Kip.

–E! Dziękuję. Im dłużej to pudło milczy, tym czuję się bezpieczniejszy – zaprotestował Lattuada.

Swobodniejsza w trakcie obiadu atmosfera natychmiast ulotniła się. Na centralę nasunął się ciężki, ponury worek strachu. Lattuadą odepchnął się od stołu rękami i pomagając sobie

nogami dojechał do podajnika.

–Co robimy? – zapytał z ręką wyciągniętą w stronę klawiatury. – Zaczynam coraz poważniej myśleć o tym czy nie pójść w ślady Yoosa. Nie oszukujmy się – ktoś lub coś poluje na nas. A ja chyba wolę przenieść się w zaświaty czy do wnętrza monitora będąc tego nieświadomym. Zostało nam... – wychylił się, by zobaczyć ekran odmierzający czas...dwie doby. **Aż nadto żeby stać się nadwesołym. Chyba że macie inne pomysły?**

Wymiana spojrzeń Jany i Kipa zakończyła się obopólnym, zsynchronizowanym w czasie wzruszeniem ramion. Stuthman zmiął serwetkę i cisnął nią w warującego pod ścianą cleanera.

–To chyba wersja samobójstwa? – mruknął. Odczekał chwilę i dodał: – Poza tym jesteśmy w pewnym sensie odpowiedzialni jako ci przytomni, za Birdy, Yoosa i Ertina.

–Mów jeszcze – zachęcająco ponaglił Lattuadą. – Potrzebuję jakichkolwiek argumentów, żeby zrezygnować ze swojej propozycji.

–Może przejdźmy na niższy poziom? – odezwała się Jana. – Albo wyłączmy komputer?

–To już coś! – ożywił się Lattuadą. – Kip, można wyłączyć komputer?

–Praktycznie nie. Zapominasz, **że to jest schron, w którym mogli wylądować różni ludzie -zszokowani, ranni, pomyleni i tak dalej. Na pewno zabezpieczono się przed wariacką próbą samobójstwa. Nam to nie grozi, zastanawiałem się – wystarczy nam wody, żywności i powietrza.**

–Chyba że nas nie wypuszczą – lekkim tonem wpadła mu w słowo Jana.

–Ale to już dalsza sprawa – Warren wstał i przesiadł się na inny fotel bliżej Kipa i Jany. – Martwmy się o przyszłość najbliższą. – Popatrzył na Kipa. – Czy zejście piętro niżej może nam coś dać? Jak myślisz?

–Myślę, że nic. **Ale nie wiemy czy przemieszczanie nie utrudnia działania temu... tej... Chaysale... Cokolwiek to znaczy.**

–Właśnie! – Lattuada poderwał się z fotela i machnął z determinacją ręką. – Jeśli możemy zrobić cokolwiek co nie będzie w smak temu... – pomachał w powietrzu palcami.

–Nieważne. Niech nas szuka. Idziemy – rozejrzał się po centrali i dodał: – Myślę, że tę trójkę tu zostawimy nie dlatego, że nie chce mi się ich przenosić, ale to też może utrudnić życie

Chaysale. Czy może postąpimy nieludzko? – klepnął się po kieszeni sprawdzając czy rewolwer jest na miejscu. Potem podszedł do stołu i po chwili wahania sięgnął po czarnego

ptaka i włożył go do kieszeni na piersi. – Idziemy? – powtórzył.

–Jeszcze jedno – uniósł palec do góry Kip. – Komputer! – zawołał w przestrzeń. – Wyłączyć wszystkie punkty obserwacji wewnętrznej z wyjątkiem centrali. Dotyczy to wszystkich rodzajów czujników – sensorycznych, atmosferycznych, audiowizualnych i całej reszty. Zamelduj o wykonaniu rozkazu! – zażądał.

–Sieć czujników odłączona – usłyszał niemal natychmiast.

–No, to możemy iść. Tylko... – podszedł do pulpitu i odczepił z uchwyty blok do notatek. Szybko skreślił na nim kilka słów i rzucił blok na środek podłogi. – Gdyby ktoś się ocknął...

–Chodźmy już! – ponagliła Jana. Po raz pierwszy od zejścia do schronu okazała zniecierpliwienie. „Pewnie – pomyślał Kip – należy do ludzi, którzy szybko godzą się z niepowodzeniami i jeszcze szybciej wpadają niemal w histeryczną chęć działania, gdy zarysowuje się szansa wyjścia z tarapatów”.

Na korytarzu Warren wysunął się na czoło i sięgnął do kieszeni po rewolwer. Szybkim krokiem przemierzyli korytarz i wybijając nierówny szybki rytm na metalowych schodach zeszli na drugi poziom. Tutaj na czoło wysunął się Kip i poprowadził pozostałych dwoje na koniec korytarza, po lewej stronie którego jako ostatnie znajdowały się drzwi do olbrzymiej hali zajętej pod zielone uprawy.

Za progiem oślepiło ich jaskrawe pseudosłoneczne światło. Kip otworzył usta by zawołać komputer, ale przypomniał sobie, **że mózg ma wyłączone mikrofony, więc przestłonił dłonią oczy i zaczął rozglądać się po ścianach obok drzwi. Po chwili udało mu się znaleźć płaską kasetę i kilkanaście sekund później oślepiające światło przygasło do natężenia zwykłego jasnego dnia. Chwilę mrugali i przecierali załzawione oczy, potem rozejrzeli się po hali.**

Najwięcej było rur. Pomalowane na różne kolory, różnej grubości biegly tu w każdym niemal miejscu przestrzegając tylko jednej zasady – utrzymać poziom i pion. Pod sufitem na wysokości jakichś sześciu metrów znajdował się pierwszy poziom upraw. Stąd z dołu nie widzieli, co rośnie w mlecznych plastikowych kasetach. Niżej mniej więcej na wysokości trzech metrów znajdowała się druga warstwa kaset, nieco szerszych i dłuższych, z których wystawały pióropusze warzyw, sterczały tyczki oplecione węzowatymi łodygami upstrzonymi jasnozielonymi liśćmi i strąkami. Nieco dalej, bliżej przeciwległego końca hali zwisały z tego poziomu pędy łącząc go z najniższym – płaskimi, pokrywającymi niemal całą podłogę, z wyjątkiem niewygodnych wąskich przejść, ciemnymi kasetami wypełnionymi grubym

mięsistym dywanem niższych i wyższych krzewów obsypanych niewielkimi płodami, różnokolorowymi, różnokształtnymi, wyraźnie rysującymi się na tle bardzo ciemnej zieleni liści. Powietrze było ciężkie od kompozycji aromatów i zapachów kwiatów, owoców, liści,

gleby w najniższej warstwie i nasyconej minerałami wody w wyższych, zawieszonych na wyciągach kasetach.

–Martwy schron... – prychnął Warren. – Dobre sobie.

–Automaty – usprawiedliwił WN Kip. – Stary program.

–O r-rany... – wyrzuciła z siebie Jana. – Można tym oddychać?

–Pewnie – odetchnął głęboko Warren. – Jak się pokroi w kostki. Ludzie! Ślina leci mi jak krokodylowi na widok kolibra. Znaie się na tych ślicznościach? – wskazał szerokim gestem setki owoców w zasięgu dwóch czy trzech kroków.

Nie czekając na odpowiedź ruszył najbliższym przesmykiem między kasetami niezgrabnie stawiając stopy jedną przed drugą. Przeszedł prosto do końca, a potem skręcił w lewo i zniknął za gęstą zasłoną zwisających pnączy. Jana przykucnęła i usiadła pod ścianą. Objęła nogi rękami i przytuliła policzek do kolan.

–Szkoda, że zostawiłeś ten blok na górze...- powiedziała cicho. – Nie, bzdury plotę...

–Dlaczego... – zaczął Kip, ale Jana potrząsnęła głową i umilkł nie kończąc pytania.

–Hej! – doleciał do nich głos Warrena. – Tu są nawet jabłka: Piękne czerwone z kropelkami rosy na skórce, jak w reklamówce!

–Jak w rajcu – mruknął Kip siadając obok Jany. – Masz jeszcze papierosy? Pokręciła przecząco głową, z prawej strony, zza firany jakiejś fasoli wyłonił się Warren.

–Nie masz? – zapyta!. – Szkoda, właśnie nabrałem ochoty na powrót do nałogu. Podszedł bliżej. Trzymał w ręku dwumetrową rurkę z metalu. Podszedł do drzwi i włożył

rurkę w masywną klamrę na ich tafli, a końce rurki przesunął tak, że wystawały poza jej obrzeża.

–To jedyne wejście do tej hali – oświadczył z pewnym triumfem w głosie. – Dieta jarzynowo-owocowa przez dwie doby... eghi – stęknął i przycupnął na brzegu najbliższej kasety

–...to chyba niezła cena za spokój?

–Daj spokój... – mruknęła Jana.

–Dlaczego?

–Jeśli usłyszymy pukanie to co? Nie otworzysz? – Warren patrzył na nią nie poruszając się.

–A skąd wiesz co, czy kogo wpuścimy? A poza tym... – skrzywiła się i umilkła.

–Poza tym nie mamy do czynienia z człowiekiem – dokończył za nią Kip.

–Żeby was! – Warren plasnął dłonią w kolano i krzywo uśmiechnął się. – Potraficie pocieszyć, nie ma co!

–Nie wygłupiaj się – poprosił Kip. – Nie jesteśmy dziećmi. Zamykanie oczu nie spowoduje, **że smok zniknie.**

–No dobrze, dobrze! Zrobiłem to z czystego egoizmu.

Jestem spokojniejszy siedząc z normalnymi ludźmi. – Potarł dłońmi kolana. – Chcecie jabłko?

–Nie mówiłem, **że to raj? – Kip popatrzył na Janę.**

–Uśmiechnęła się słabo i przymknęła oczy.

–Która godzina? – zapytała nie podnosząc powiek.

–Za piętnaście piąta – poinformował Kip zerknąwszy na zegarek.

–Tylko przypadkiem nie uświadamiaj nam ile jeszcze zostało! – szybko wtrącił Lattuada. Nabrał powietrza w płuca i otworzył usta, ale wypuścił tylko powietrze i milczał chwilę.

–Rozklejam się... – powiedział z ciężkim westchnieniem.

–Jak mawiał Owen Yates – czuję się jak kopnięty w tyłek ekskrement.

–Ładnie się wysławiał – pochwalił Kip zmuszając się do uśmiechu.

W ciszy ostro zabrzmiał odgłos wbijającej się w wilgotną glebę kropli wody. Parsknęła któraś z siklaw, a gdy skończyła odmierzać porcję mgiełki wodnej Jana nie unosząc głowy powiedziała:

–Niezupełnie tak to powiedział...

Kip wstał i przeciągnął się. Zamierzał przejść się po hangarze nie z ciekawości czy chęci znalezienia pożywienia, lecz postanowił zrobić cokolwiek, byle nie skupić się na poganianiu czasu.

–Co robisz? – rzucił nie maskując braku zainteresowania Warren.

–Nie wiem, chciałem... – Kip poderwał głowę i niespodziewanie zapytał: – Znacie to?

„Turysta pyta Teksańczyka:

–Co robisz jak masz wolny czas? Teksańczyk odpowiada:

–Siedzę sobie i myślę. – A jak nie masz czasu? – nie ustaje turysta. – To tylko siedzę!” - przeniósł spojrzenie z Jany na Warrena i z powrotem. – Nie śmieszne? Mnie się podoba.

–Dobre – prychnął Lattuada.

–Aha – zgodziła się Jana.

Albo inny. „Pracownik przychodzi do szefa i prosi o dzień urlopu z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu, a szef na to: – Kochany?! To ty będziesz tak zawsze co pięćdziesiąt lat brał wolny dzień?”

Jana uniosła głowę i chwilę patrzyła na Kipa z wyraźnym zainteresowaniem, a potem wydała

z siebie kilka nosowych parsknięć. Lattuada postąpił niemal identycznie.

–No to jeszcze jeden – Kip odchrząknął. – „Jeden gość mówi do drugiego: – Żyjemy w najbardziej demokratycznym kraju na świecie. – Tak? – nie wierzy drugi. – A tak – zapiera się pierwszy. – Gdzie jeszcze pracodawca widząc pracownika biegnącego w deszczu do domu zatrzymuje swoją luksusową limuzynę, podwozi pracownika do swojego domu, przebiera go w suche ubranie, daje drinka na rozgrzewkę nawet zatrzymuje go na noc, ponieważ deszcz nie przestaje padać? Nie mówiąc już o kolacji i śniadaniu? – No to rzeczywiście – zgadza się drugi. – A kiedy ci się to przydarzyło? – E-e... To nie mnie. To mojej siostrze”.

Lattuada roześmiał się pierwszy. Kip z radosnym uśmiechem patrzył na klepiącego się po kolanie Warrena i wesoło roześmianą Janę. Gorączkowo szukał w myślach następnego dowcipu.

–„Stary Sam siedzi na ławeczce i stęka. – Co ci jest? – pyta przyjaciel. – Na gwoździu siedzę. – No to się przesiądź na inne miejsce! – A tam!... Jeszcze trochę i się przyzwyczaję”.

Jana pisnęła i przyciągnęła zaciśnięte pięści do ust. Lattuada zarechotał wyraźnie czekając na kolejne dowcipy.

„Na jednej z ulic Dublina niespodziewanie wali się na ziemię jakiś mężczyzna. Atak serca. Zbliżył się do niego duchowny. – Wierzysz w Boga Ojca, Boga Syna i Ducha Świętego? – pyta. Mężczyzna z trądem otwiera oczy i rozchyła zsiniałe wargi: – To ja za chwilę strzelę w kalendarz, a ty się bawisz w zagadki?”

–Poczekajcie! Cha-cha! Warren nie rycz tak, bo zapomnę co chciałem powiedzieć – Kip roześmiał się widząc załzawione oczy Jany i ryczącego Warrena. Zdawał sobie sprawę, że **jest to raczej reakcja organizmu na trwający ponad dobę sires niż zasługa jego dowcipów, ale nie widział powodu, żeby nie wykorzystać sprzyjającej sytuacji i nie oczyścić nieco dusz i umysłów współtowarzyszy. – Ten jest dobry, uważajcie...**

„Przedsiębiorca kontroluje swoją fabrykę. Pod ogromnym napisem, Palenie wzbronione’ znajduje robotnika, – To twój pet? – Ależ, nie brachu. Znalazłeś, to sobie weź!” Chichotał patrząc na zwijających się ze śmiechu. Parsknął kilka razy i krzyknął:

–A to jest dowcip, którego bardzo nie lubi mój stary:

–„Nad miastem rozszalała się burza. Mały chłopiec budzi się i biegnie do ojca. – Tatusiu! Dlaczego tak grzmi? – Rozumiesz synku, kiedy ktoś szczególnie obrzydliwie kłamie, to niebiosa gniewają się i grzmią. – Ale teraz jest noc i wszyscy ludzie śpią! – Zgoda, ale właśnie leci drugie wydanie dziennika World Net!”

–Prze-e-e-stań! – krzyknęła Jana przyciskając dłonie do brzucha. – Już... już nie mogę... Kip, bła-gam!

–To sobie weź!!! – zawył Warren powtarzając pointę poprzedniego dowcipu. – Jakby tę scenkę dobrze zagrać...

„- Dziewczyny! Jestem zaręczona – chwali się młoda sekretarka przed koleżankami. Ma na imię Robert. Pocałował mnie i powiedział: Twoje wargi podobne są do płatków róż.

–Ach, to ten Robert – rozległ się rozczarowany chór głosów”. „- Mam już tego dość – skarży się leciwa pokojówka.

–Przez cały dzień tylko: Tak, proszę pani! Tak, proszę pani!

–Tak, proszę pani! – Ja też mam dosyć – odpowiada młoda.

–Też przez cały czas powtarzam: Nie, proszę pana! Nie, proszę pana! Nie, proszę pana!”

–Nie-e-e! – chórem wrzasnęli słuchacze.

–Przestań! – ryknął Lattuada.

–Zemdleję! – zagroziła miss Peacock.

–No dobrze, zostawię sobie trochę na później – ostrzegł Kip.

Patrzył na wycierającą łzy Janę i kręcącego głową Lattuadę, i szeroko uśmiechał się. „Ciekawe czy to szczerze – zastanawiał się w myślach. – Może tak... Ale raczej histeria, śmialiby się z byle czego, żeby tylko przez chwilę zagłuszyć idiotyczne myśli; których mnie

nie udało się stłumić. Ktoś się nie śmieje, żeby śmiać mógł się ktoś!”

Lattuada któryś raz z rzędu przetarł oczy i poprzedzając słowa krótkim parsknięciem - echem rechotu – zaczął:

–Powinieneś...

Głośne, stłumione przez grubą warstwę metalu drzwi, stuknięcie przerwało jego wypowiedź i zmroziło głośny powysiłkowy oddech Jany. Cała trójka zamarła niczym grupa manekinów służąca za wzór do betonowego odlewu. Coś stuknęło w drzwi jeszcze dwa razy i nastąpiła cisza. Spojrzenia całej trójki odzyskały żywotność, krzyżowały się ze sobą w różnych konfiguracjach niosąc w sobie dwa uczucia: strach i prośbę o podjęcie decyzji.

–O-twórzcie... – szepnęła Jana i natychmiast rozległo się kolejne stuknięcie, a po krótkiej pauzie seria następnych.

Kip zakołysał się walcząc z chęcią zrobienia kilku kroków dzielących go od zablokowanych drzwi i ze strachem nakazującym ucieczkę w drugi kąt cieplarni. Lattuada wykonał ruch ręki, któremu można było przypisać co najmniej kilka znaczeń. Kip przygryzł dolną wargę i zrobił krok w kierunku płyty drzwi, potem niemal biegiem, pokonał resztę odległości wyszarpnął rurkę zza klamry. Chwilę czekał nieruchomo na protest zza pleców udając przed sobą, **że zbiera siły, a potem szarpnął z całej siły klamrę prawą ręką, palcami lewej dłoni odblokowując zamek. Kątem oka zobaczył, że obok niego pojawia się Lattuada z wysuniętą do przodu ręką: Palce zaciskające się na rękoności miały barwę wymoczonego w wodzie kurzego mięsa. Płyta drzwi przesunęła się odsłaniając korytarz, z którego runęła na. Kipa jakaś postać. Birdy odepchnęła go**

i wpadła do cieplarni pochlipując i dygocząc na całym ciele. Lattuada zatrzęsnał drzwi i oparł się o nie plecami, a Kip i Jana jednocześnie ruszyli z otwartymi ramionami w stronę Birdy.

–Dlaczego nas zostawiliście? – krzyknęła dziewczyna odskakując do tyłu.

Kip złapał ją za wyciągniętą rękę, gdy już waliła się do tyłu potknąwszy się o pierwszą w szeregu skrzynię z warzywami.

Próbowała wyszarpnąć swoją rękę, ale szybko przestała się wrywać.

–Czy coś się stało na górze? – zapytał Lattuada zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta.

–Nie wiem! – krzyknęła Birdy.

–Opisz krótko, co tam widziałaś! – krzyknął Warren widząc, **że Birdy otwiera usta do krzyku.**

Uspokoila się, popatrzyła na Janę, przełknęła ślinę i pociągnęła nosem. Odetchnęła głęboko, spazmatycznie.

–Shakesby i O’Ryan śpią chyba, w każdym razie oddychają, ale nie mogłam ich dobudzić. A na ekranach są oboje La Salle i Baum.

–Państwo La Salle też? – zdziwił się Lattuada.

–Oczywiście – odpowiedziała zaskoczona Birdy, jakby widok zmumifikowanych na ekranie pracodawców był najzupełniej naturalny.

–Ta-ak... Nie tak łatwo zniszczyć upiory... – mruknął cicho, potem schował rewolwer i przeszedł się po niewielkiej wolnej od skrzyń powierzchni drapiąc się po karku. – I nic więcej?

–Nic.

–Czyli dalej nic nie wiadomo. Nie wiemy czy jesteśmy tu bezpieczni, czy wręcz przeciwnie... Cholera... – odwrócił się i popatrzył na Kipa. – Trzeba pójść po tych dwóch. Rzeczywiście, nie pomyśleliśmy jak się poczują budząc pojedynczo.

–Nie zostanę tu sama! – wrzasnęła Birdy. – Nie zostanę!

–Uspokój się! – ryknął Lattuada i dodał ciszej: – Tylko ja pójdę.

–Przecież nie przytargasz ich sam – zaprotestował Kip.

–Dam sobie radę. Zostań z dziewczynami. W najgorszym przypadku wsadzę Ertina na barek – Warren obrzucił spojrzeniem obie dziewczyny i Kipa, i włożył prawą dłoń do kieszeni z bronią.

Szarpnął drzwi lewą ręką i nie otwierając ich do końca wysunął się na korytarz i pociągnął w przeciwnym kierunku. Głucho mlasnęły klamry zamka. Kip odwrócił się plecami do drzwi i usiadł na podłodze. Przeszukał kieszenie w poszukiwaniu nikogumy i nie znalazłszy przesunął się trochę i ułożył na podłodze z rękami pod głową i ugiętymi w kolanach nogami. Dość dokładnie obejrzał węzły kilkunastu rur, ale było to tylko zajęcie dla oczu, umysł w tym czasie mełł w różnym rytmie i układzie sylabowym dwa słowa z piosenki „The Animant”:
gwiazdozbiór

Pa-ra-dox... gwiazdo-zbiór Para-dox... Para-dox... Pa-ra-ra-dox...

–Czy my naprawdę nie możemy nic zrobić? – szepnęła Birdy.

Kip przestał patrzeć w sufit i usiadł pod ścianą. Birdy stała tuż obok Jany, skulona z objętymi ramionami, w które wtuliła głowę.

–Zimno ci? – zapyta! Kip, żeby tylko nie odpowiadać na jej pytanie.

Nie odpowiedziała, ale zadrżała jej głowa. Kip podniósł się i odruchowo otrzepał spodnie. Podszedł do kasety i kilkanaście sekund przyglądał się przyciskom.

–Nie ma regulacji temperatury, widocznie jest sterowana tylko przez komputer, a ja sam kazałem mu się odłączyć. Tak więc... – powiedział do ściany i wzruszył ramionami. Odwrócił się do dziewczyn i popatrzył ponad ich głowami na wielowarstwową ścianę zieleni.

–Nie szkodzi! – niemal krzyknęła Birety. – Nie jest mi, zimno... – przeszła na szept -...zaraz się uspokoję i... – nie dokończyła. Potarła ramiona dłońmi i spróbowała się uśmiechnąć. – Lepiej stąd nie wychodzić.

Jana przyciągnęła ją do siebie i pocałowała w policzek.

–Birdy... To wcale nie jest bezpieczne miejsce, rozumiesz?

Ono być może, tylko być może, było względnie bezpieczne, ale z każdym otwarciem drzwi staje się coraz mniej bezpieczne. Jeśli w ogóle było bezpieczne. Kip potrząsnął głową i powstrzymał się od krzyku, o wiele ciszej niż zamierzał zapytał:

–Po co to mówisz? Sprawia ci to przyjemność?

–Nie – zaprzeczyła Jana spokojnie patrząc mu w oczy.

— Tylko nie możemy zasnąć, jeśli coś może nas uratować, to gotowość... – zawahała się.

–No? Do czego? – wycedził Kip.

–Do wszystkiego. Jeśli prześladowuje nas istota niematerialna, to od początku jest tu z nami...

–Dlaczego teraz to mówisz? – Kip usłyszał swój pełen wściekłości głos, ale nic nie mógł poradzić. Jana odbierała mu nadzieję, która puściła nieśmiałe pędy w chwili, gdy zamknęli się w cieplarni. – To po jaką grzechotkę tu przyszliśmy?!

–Żeby na górze nie powyrzynać się wzajemnie – uśmiechnęła się samymi wargami Jana. Kip patrzył na nią ze zdziwieniem, kątem oka widział, **że tak samo zdumiona jest Birdy.**

Podniósł się z podłogi i podszedł do Jany.

–Kim ty jesteś? – zapytał cicho. – Nie zachowujesz się jak... – poszukał w myślach odpowiedniego określenia.

–Przestań, Kip – Jana zdjęła dłoń z ramienia Birdy i zrobiła kilka kroków wzdłuż pierwszego szeregu pudeł z zielenią. Nieświadomym ruchem potrząsnęła głową i automatycznie

poprawiła włosy dwoma dotknięciami dłoni. – Po prostu nie mam zamiaru poddawać się bez próby walki. Dawno temu zrozumiałam, że **najpewniejszym sposobem kształtowania własnego losu jest jego własnoręczne kształtowanie. Nikt lepiej ode mnie nie wie...** – odwróciła się i popatrzyła Kipowi w oczy -...czego mi trzeba. Nauczyłam się również jak to brać. Jak troszczyć się o siebie, bo dla mnie... – podeszła i zatrzymała się o pół kroku od Kipa -...najważniejsza jestem ja. Nie mam zamiaru oddać siebie nikomu. **Rozumiesz?**

Stali chwilę nieruchomo patrząc sobie w oczy, przegrany w tym pojedynku był Kip. Pokiwał głową i popatrzył na Birdy.

–Nic w tym szczególnego – powiedział i wrócił spojrzeniem do Jany. – Również uprawiam egocentryzm. Ozdabiam go słowem „rozumny” i nie mówię o tym głośno. – Przyciągnął do siebie Janę i pocałował w policzek. – Jesteś odważniejsza ode mnie.

–Ja startowałam z samego dołu – rzuciła obojętnie. – - Ty miałeś tatusia z World Net na breloczku...

Głośny huk spoza płyty drzwi przerwał jej wypowiedź. Zaraz za pierwszym uderzeniem niewprawy werblista uderzył jeszcze kilka razy w swój bęben za każdym razem słabiej, ciszej. Serce Kipa rzuciło go do ucieczki, ale wykonał tylko kilka szybkich głośnych kroków w miejscu, a potem tylko udawał bieg tupiąc w miejscu. Pchnął Janę w kierunku Birdy. Dwoma skokami dopadł drzwi.

–Zastukam trzy razy po dwa! – zawołał i pchnął klamkę.

Wzorem Warrena szarpnął drzwi z powrotem zanim otworzyły się na całą szerokość. Szybko zerknął za siebie w odległy o kilka metrów koniec korytarza i ostrożnie ruszył w przeciwnym kierunku. Ciszę okradał z właściwości tylko pisk jego podeszew na wylanej tworzywem podłodze. Ciąg komunikacyjny wyglądał identycznie jak wtedy, gdy schodzili we trójkę do cieplarni: pozamykane drzwi do sekcji zaopatrzeniowych, ocieplone domieszką żółtej barwy chromoforowe światło emitowane przez taką liczbę punktów, **że niemal nie towarzyszył Kipowi cień. Ostrożnie, na czubkach palców, z zadartą głową, usiłując widzieć równocześnie co się dzieje na ślimakowym ciągu schodów, wszedł na poziom mieszkalny i zatrzymał się zaraz za progiem otwartych drzwi. W połowie odległości do centrali symetrię i porządek korytarza łamało rzucone bezwładnie na podłogę ciało Warrena Lattuady. Kip przełknął ślinę i wolno zbliżył się. Lattuada leżał twarzą do podłogi, obok wyrzuconej do przodu prawej ręki leżał pneumatyczny.**

–„Skąd ten huk? – pomyślał Kip. – Przecież to jest niemal bezgłośna broń”. Schylił się i podniósł rewolwer. Rzucił okiem na naboje. Jaskrawoczerwona gwiazdka na dnie pocisku wyjaśniła kwestię huk, a gdy Kip popatrzył uważnie w przeciwny koniec korytarza, na ścianie, obok zamykającej perspektywę windy, zobaczył ciemne plamy po eksplozji pocisku typu, butch-cutch. Schował rewolwer do kieszeni i odwrócił Warrena na plecy. Na twarzy

Lattuady zastygła wściekłość, napięte wargi odsłaniały zęby gotowe do ugryzienia napastnika,

wytrzeszczone oczy patrzyły obok Kipa, a palce dłoni, za którą Kip odwrócił ciało, były wyprężone na kształt szkieletu wachlarza. Gdy Kip zjechał spojrzeniem z twarzy na pierś odkrył niemal na środku, nieco w lewo i niżej mostka, na ciemnej tkaninie, jasną plamę podobną do odbarwienia pod wpływem środków chemicznych. Stuthman podniósł się i chwilę stał przyglądając się ciału Warrena, potem odetchnął głęboko i przykucnął ponownie. Ostrożnie odchylił połę marynarki i niemal bez zaskoczenia przyjrzał się niewielkiej plamie krwi na jasnym bluzonie. Potem pochylił się niżej i zmarszczył brwi w plamie jasnej krwi czernią przebijał się jakiś odłamek.

–Znalazł w kieszeni kreślik i jego czubkiem trącił czarny odłamek, a potem widząc, że to część większej całości podważył ją i strząsnął na podłogę. Był to znany mu już fragment kineskopu wycięty na kształt ptaka i pokryty tajemniczą emalią. Daleka od skrzepnięcia krew spłynęła z ptaka, gdy nieregularna płytką zjechała z piersi Warrena i uderzyła w podłogę.

–Dziób ptaka skierował się w stronę windy, ale Kip odniósł wrażenie, że jego oczy – choć nie można ich było wskazać wycelowane są w niego. Nie zastanawiając się poderwał się na nogi i z całej siły uderzył obcasem w czarnego ptaka, nie widząc efektu uderzył nieregularną płytkę jeszcze kilka razy, a potem nadal nie osiągnąwszy celu, odsunął ją czubkiem buta. Jeszcze raz przykucnął przy Warrenie i dotknął jego szyi szukając tętna, a potem kopnął najbliższe drzwi do sypialni i szybko wciągnął ciało do niewielkiego pokoju, który jak mu się wydawało zajmował w nocy Shakesby. Ułożył Lattuadę na łóżku i zrewidował szukając nabojów do rewolweru. Warren nie przewidywał widocznie większej akcji, gdyż dysponował tylko jednym bębniem nabojów. „A mnie wystarczyć musi pomyślą! Kip – o jeden, nie, o dwa mniej”. Stał chwilę wpatrując się w Warrena, a potem wyszedł i zamknął drzwi.

–Ruszył do centrali ostrożnie kopiąc przed sobą artystycznie wyciętego ze szkła ptaka, a gdy dotarł na wysokość drzwi otworzył je i nie spuszczając oka z czarnego ptaka zawołał:

–Komputer! Przyślij natychmiast cleaner! I odwołaj blokadę czujników.

–Wykonane – usłyszał pierwszą połowę słowa z centrali, a drugą już przez głośniki szczelinowe nad głową.

–Jak pozbywasz się śmieci? Komputer, czy są spalane?

–Nie, z powodu trudności z pozbyciem się z obiegu cząsteczek...

–Czekaj! A w warsztacie... Są jakieś piece? Coś do wyżarzania?

–Tak. Można...

–Komputer! Niech cleaner zabierze stąd ten śmieć z podłogi i zanieś do warsztatu. Tam masz to spalić, obojętnie w jaki sposób i jak długo to potrwa. Byle zostało to zniszczone!

–Kip oparł się plecami o framugę drzwi i nie spuszczał oka z ptaka kontynuował: –

Przygotuj dwa zestawy medyczne: – jeden odblokowujący... – zawahał się. – Nie, kasuję ostatnie polecenie. Połącz mnie z cieplarnią. – Odczekał kilka sekund.

–Jana? U was wszystko w porządku? – rzucił przed siebie.

–Tak – usłyszał niemal natychmiast i po raz kolejny zastanowiło go opanowanie dziewczyny. – Za ile wrócisz? – zadała od razu najważniejsze dla siebie i Birdy pytanie pomijając typowe dla wystraszonych kobiet bezładne dopytywanie się o niezbyt ważne kwestie.

–Za kilka minut, już pakuję tych dwu szczęśliwych nieprzytomniaków i wracam. Komputer! Koniec łączności. Szybko jakieś samojezdne nosze potrafiące zejść ze schodów – powiedział zbliżając się do leżanki, na której spokojnie posapywał Yoos O’Ryan. Leżał na brzuchu z przekręconą twarzą, z ust wyciekał na wałek poduszki cienki strumyczek śliny. Gdy Kip pociągnął go za nogę chcąc przygotować do przesunięcia na nosze Yoos chlipnął krótko i mruknął coś machnąwszy jednocześnie ręką gestem pełnym rezygnacji.

Mogła to być również nieudana próba strącenia – na podłogę namolnej muchy próbującej wyrwać go ze snu. Ertin Shakesby leżał na wznak w tej samej pozycji, w jakiej ułożył go z Warrenem kilka godzin temu. Kip chwilę zastanowił się, ale zdecydował, że **cucenie Ertina może przynieść więcej szkody niż pożytku. Potupując niecierpliwie doczekał się noszy i sprawnie ułożył na nich dwa bezwładne ciała. Właśnie szedł do drzwi, gdy na korytarzu rozległ się stłumiony huk. Kip jednym skokiem dopadł drzwi i wysunął głowę. Kilka metrów od drzwi na drugi poziom osiadał dym i kurz z rozbitego wybuchem cleanera. Jakieś kółko zawirowało na podłodze skupiając na sobie wzrok Stuthmana, w suficie nad miejscem wybuchu rozsunęły się blendy i wzmożony wyciąg powietrza w kilka sekund poradził sobie z obłokiem kurzu z pojemnika odkurzacza. Za plecami Kipa pisnęły koła drugiego cleanera spieszącego do uprzątnięcia bałaganu. Kip zatrzymał go łapiąc za występ biegnący wokół konsolki manewrowej. Stał nieruchomo czekając aż ustanie bicie serca i rozsądny pomysł przywróci wiarę we własne siły, ale ruszył do miejsca wybuchu, gdy tylko zrealizował połowę z tych zamierzeń. Z odległości dwu metrów przyjrzał się rozrzuconym w promieniu metra, szczątkom i niemal natychmiast odnalazł spojrzeniem skorupę ze szkła i emalii. Czarny ptak nie poniósł najmniejszego szwanku. Kip przykucnął i cicho gwizdząc przez zęby przyjrzał mu się jeszcze raz. Jego powierzchnia, mimo że sprawiała wrażenie matowej, jednocześnie połyskiwała głęboką soczystą czernią. Małe kropki – ślepia ptaka patrzyły na Kipa. Skrzydła wygięły się do tyłu, jakby za chwilę miały potężnie uderzyć w powietrze i spowodować skok ciała. Szpony na palcach łap wyprężyły się gotowe do zaciśnięcia. Kip zastanawiał się chwilę – czy ta wyrazistość zamrożonego ruchu ptaka uszła jego i Warrena uwagi, czy ptak przez**

tych kilka godzin zyskał na plastyce i ekspresji niczym rzeźba lub obraz systematycznie dopracowywany przez plastyka. Wstał i rozejrzał się po korytarzu, w drzwiach centrali zamarzył nosze z dwoma mężczyznami, nieco bliżej zaparkował drugi cleaner.

–Komputer! Rozpaliłeś piec?

–Tak. Temperatura sięga dwu tysięcy stopni, można ją jeszcze podnieść o trzysta stopni.

–Zrób to! Czy... – Kip podrapał się po karku nie spuszczać spojrzeń z leżącego nieruchomo na podłodze ptaka. – Czy jest tam jakaś prasa? Może coś... jakiś młyn do mielenia bardzo twardych substancji?

–Jedno i drugie. Moc prasy...

–Dobrze! – przerwał natchniony niespodziewanie dla samego siebie sporą porcją energii i nawet kilkoma pomysłami. – Przywołaj natychmiast prosty mechanizm transportowy z wysięgnikiem i przygotuj się do następujących operacji: – przeniesienie niewielkiego eksplozywnego obiektu do warsztatów i zniszczenie go tam w dowolny możliwy sposób. Chodzi o małą płytkę ze szkła pokrytego jakimś rodzajem emalii.

–Możesz... musisz... – poprawił się -...nawet rozwalić warsztat, byle ta płytka uległa zniszczeniu. Szczątki, jeśli zostaną jakieś, zapakuj do możliwie odpornego na wszelki rodzaj promieniowania i mechanicznych uszkodzeń pojemnika i zamknij na wieki. Bez jakiegokolwiek możliwości otwarcia – odetchnął kilka razy. – Dalej... Jeśli cokolwiek będzie ci przeszkadzało w wykonaniu zadania musisz mnie o tym zawiadomić, to sprawa o najwyższym priorytecie. Potwierdź przyjęcie dyrektyw.

–Polecenie: zniszczyć wskazaną płytkę, pozostałość umieścić w zamkniętym pojemniku. Poczekaj na robota i wskaż mu obiekt.

–Dobrze.

W korytarzu zaległa cisza. Kip wymacał w kieszeni rewolwer i po krótkim wahaniu wyjął go. Kilka razy poprawiał uchwyt **aż rękojeść najlepiej jak można ułożyła się w jego spoczonej dłoni. Odchrząknął.**

–Komputer! Czy widzisz jakieś wyjście dla nas?

–Sprecyzuj pytanie – natychmiast zażądał mózgu.

–Tu na dole zostały zabite dwie osoby, a trzy nie wiadomo w jaki sposób umieszczono... nie wiem, w jakimś studiu czy spowodowano zmianę formy istnienia. Chyba jesteś tego świadom?

–Dwa zabójstwa odnotowałem, ale nie wiem w jaki sposób zostały dokonane, wobec czego skłaniam się ku wnioskowi, **że nie miały miejsca.**

–Co?!

–To logika. Co do trzech osób, które widzisz w monitorach, to ja odbieram ich istnienie jako fakt realny...

–Bzdura! Skoro nie ma tu pomieszczeń, w których mogliby się ukryć, to nie ma ich, istnieją tylko w monitorach!

–Zapominasz, **że wasze istnienie dla mnie jest sekwencją sygnałów, impulsów informacyjnych. Państwo La Salle i Baum istnieją jako zbiory impulsów. Dla mnie jest to istnienie.**

Kip oparł się plecami o ścianę i parsknął krótkim śmiechem. „Są dwa trupy – pomyślał -ale nie może ich być, więc nie ma. Dlaczegoż więc nie pogadam z Li Wanem albo Warrenem? Lenistwo... A skoro nie można ich zabić, to mnie również nie można, jeśli więc mnie zabiją, to i tak nie zabija, i będę dalej sobie żył, nawet jak mnie zabiją, bo nie mogą mnie zabić! Proszę, tyle gadania o nieśmiertelności, a prosty komp w kilka godzin rozwiązał największy problem ludzkości. Kto chce być nieśmiertelny niech się zamknie w schronie i da zabić, i będzie żył bo zabić nie... – zacisnął dłonie w pięści. – Zwariuję”.

Sapnęły drzwi i na korytarz wytoczył się słup manipulatora. Kip przełknął spazm zwiastun hysterii, ku której się toczył, i odczekawszy aż robot zbliży się chwycił go za sterownik i pociągnął za sobą. Przy kupce szczątków człowiek i robot zatrzymali się niemal idealnie zsynchronizowani. Kip wyciągnął giętą kończynę wskaźnikową i tknął jej końcem emaliowaną płytkę. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zamknąć w ostatniej chwili, tuż przed dotknięciem płytki, oczu. Robot delikatnie wyszarpnął mu z ręki wskaźnik i zdecydowanie sięgnął po ptaka dwójgłębym mocnych kleszczy. Kip odsunął się szybko o dwa kroki, a potem dalej i z odległości czterech metrów obserwował jak manipulator układa czarnego ptaka w podsuniętym trzecią kończyną pojemniku. Jeden z kleszczy posłużył robotowi za przykrywkę, obie kończyny-pojemnik wysunęły się daleko od tułowia i manipulator ruszył ku schodom. Kip odczekał aż zniknie w spirali schodów i jeszcze kilkanaście sekund zanim zdecydował się włożyć rewolwer z powrotem do kieszeni. Zerknął na nosze.

–Komputer! Przyjmij za pewnik, **że dwie osoby z dziesięciu, które tu zjechały nie żyją. Trzy inne w niewiadomy sposób przestały żyć w biologicznym ludzkim znaczeniu tego słowa. Zostało pięć osób, które pragną zachować swoje zwyczajne biologiczne istnienie. Czy znasz jakiś sposób realizacji tego życzenia? Tylko nie mów mi, że twoim zdaniem wszystko jest w porządku, przyjmij mój opis sytuacji nawet jako hipotetyczny i znajdź z niego hipotetyczne wyjście.**

–Musicie wyjść – niemal natychmiast odpowiedział komp.

–Znakomicie. No to idźmy dalej. W schronie znajduje się niematerialna pozaziemska istota, która czegoś od nas chce albo po prostu chce nas wymordować. Być może jej celem jest wydostanie się ze schronu. Przypuszczenie pierwsze: może poruszać się po wiązkach energetycznych, tylko po nich.

–Przypuszczenie drugie: może również poruszać się w inny sposób – przesączać jak ciało lotne, na przykład. Jak możemy się od niej uchronić?

Tym razem cisza trwała kilkanaście – sekund. Kip zamarł w miejscu, choć dla komp'a nie miało znaczenia, z którego miejsca prowadzi się z nim dialog. Unieruchomiła go nadzieja. „Może wszystko jest proste jak highway – pomyślał. – Może trzeba było od razu, po pierwszym morderstwie zapytać komputer, a nie zdawać się na amatorszczyznę. Dlaczego nikomu nie przysz...”

–Z tej hipotetycznej sytuacji nie ma wyjścia. Żeby uniknąć oddziaływania pozaziemskiej istoty należałoby wyjść, a wyjść ze schronu nie można. Sprzeczności nie do pogodzenia.

Kip odczekał chwilę usiłując zmusić nerwowo podrygujące w klatce piersiowej serce do spokojnego rytmu pracy, zyskany rezultat nie zadowolił go. Splunął z całej siły na podłogę.

–A czy możesz mi powiedzieć czego od nas chce ta istota, która opanowała część twojego procesora i która unicestwiła już pięć osób?

–Brak mi danych – bez cienia żalu w głosie odpowiedział mózg.

–No to je zbierz! – wrzasnął Kip. – Skomunikuj się z tym Chaysale i dowiedz się, czego on chce. Może będziemy mu mogli dać to bez szkody dla siebie? Nawiąż z nim kontakt.

–Obawiam się o swoje obwody – równie beznamiętnie zakomunikował komp. – Musiałbym najprawdopodobniej zdjąć blokadę z zespołów asekuracji logicznej...

–No to zdejmiesz! – przerwał mu Kip. – Rozkaz podstawowy o najwyższym priorytecie: kontakt z istotą znajdującą się w tym schronie i wyjaśnienie za wszelką cenę motywów jej działania. Przy okazji możesz wyjaśnić jej słabe strony, które moglibyśmy wykorzystać w działaniach defensywnych, a jeśli to nie wystarczy – ofensywnych. Powtórz polecenie i przystąp do realizacji. Melduj o wszelkich zmianach dotyczących zarówno obcej istoty, jak i siebie. Zapewnij maksymalne bezpieczeństwo znajdującym się tu ludziom bez względu na konsekwencje dla własnego istnienia... – Kip zobaczył nagle siebie z boku – wywrzaskującego polecenia podyktowane strachem w stronę sufitu. Nabrał powietrza i zmusił się do odczekania kilkunastu sekund.

–Nie obchodzi mnie, co się stanie ze schronem i tobą, ciebie można odtworzyć z komputera

powierzchniowego... – powiedział świadomy, że usiłuje przekonać bezduszny mózg do poświęcenia się w imię zachowania jego, Kipa życia.

–Wykonać!

Komp szybko powtórzył szereg poleceń człowieka i zamilkł. Człowiek zaś popatrzył w prostokąt drzwi prowadzących na – niższy poziom, przeniósł spojrzenie na drugi koniec korytarza, a potem, jakby ściągany własnym wzrokiem ruszył w stronę nieruchomo stojącego tuż za progiem centrali wózka z dwoma nieruchomymi ciałami. Przystanął dwa kroki przed noszami i, wciąż wpatrzony w wyciągniętych na całą długość mężczyzn, myślał: „Co lepsze? Zamknąć się

w problematycznie szczelnej cieplarni czy wrócić do centrali? Czy może w ogóle zmienić pomieszczenie? Wyłączyć komputer czy niech sobie się kręci? Może rozdzielić się? Albo uśpić wszystkich i siebie? Ci tu, nieprzytomni, jak na razie nie są atakowani przez tego kurewskiego Chaysale... Czy to może być sposób na tego przeklętego wilkołaka? Pomyślmy... Nie ma danych, że może on zająć człowiekiem i zmusić go do działania. Jak on działa? Najpierw odciął głowę, potem wciągnął do pamięci kompa trzy osoby i w końcu zabił jeszcze jednego człowieka najprawdopodobniej przy pomocy tego niesamowitego ptaka. Dobrze, ptaka nie będzie. Założmy, że nie będzie. Zostają monitory... Monitory... Rozwalić je? Może... Nie-e:... Zostaną drukarki, głośniki, cleanery, manipulatory. Pewnie może nas wciągnąć do dowolnej końcówki kompa i sprzętu pomocniczego. No a odciąć głowę może w każdej chwili, tak więc złapaliśmy własny ogon i możemy go ugryźć. Smacznego, Kip. Pójdę po dziewczyny. Mimo wszystko lepiej być chyba tutaj. Może Wilcots nawiąże łączność kiedy wyjaśni, że to nie żaden potwór, może znajdą sposób jak się pozbyć potwora, jeśli to jednak potwór, może wcześniej uruchomią windę albo jeszcze kilka? Może”.

Szybko wpadł do centrali i zażądał dwóch paczek papierosów. Zapalił jednego. Dotychczas nie smakowały mu, ale potrzebował tych czynności, nawet niechęci po pierwszych kilku zaciągnięciach. I ta gorycz w ustach, i ta złość, i drapanie w gardle, to wszystko były zwyczajne codzienne realne dolegliwości i dlatego lubiane... Wydmuchnął dym, obserwował kilkanaście sekund kłęb szarosinej mgły.

–Komputer! Skieruj nosze z powrotem do centrali. Co się dzieje w warsztacie?

–Próbka jest rozgrzewana.

Stuthmah rzucił papierosa pod ścianę, splunął usiłując pozbyć się goryczy rozlanej po języku i podniebieniu i ruszył do cieplarni. Zaraz za schodami przypomniał sobie o magazynie używek i skorzystał z jego zasobów. Do cieplarni poszedł mając kieszenie wypakowane nikogumą, w lewej ręce trzymał cztery paczki zdenikotyzowanych cameli. Uderzył sześć razy w taflę drzwi co dwa uderzenia robiąc niewielką przerwę. Tafla drgnęła i usunęła się. Kip cofnął się i skinął dłonią.

–Chodźcie na górę. Warren nie żyje, ale tu jest chyba tak samo bezpiecznie jak i tam.

Jana stała nieruchomo w szczelinie drzwi, Birdy stała za nią z dłońmi splecionymi na wysokości piersi, palce poruszały się konwulsyjnie, była gotowa w każdej sekundzie odwrócić się i uciec w głąb ciepłarni i zwinąć się w kłębek w jej najdalszym kącie. Kip zerknął na Janę.

–Idziemy czy uważasz to za głupi pomysł?

–Nie mam mądrego pomysłu – powiedziała wolno.

Kip odczekał chwilę. Był przekonany, **że Jana nie dokończyła wypowiedzi, ale najwyraźniej nie chciała dokończyć Birdy pokręciła przecząco głową, była gotowa wpaść ponów nie w objęcia**

histerii, ale Jana szybko odwróciła się i wyciągnęła do niej rękę.

–Chodźmy – powiedziała i ponagliła Birdy przebierając palcami w powietrzu.

–Dlaczego?! – krzyknęła Birdy i odsunęła się wchodząc między naziemne kasety z zielenią.
– Dlaczego mam was słuchać?

–Nie musisz – wolno powiedziała Jana i opuściła rękę.

–Niech każdy... – popatrzyła na Kipa -...sam dba o siebie.

–Odwróciła się do Birdy. – Zostajesz tutaj?

–A dlaczego mam iść z wami?! – krzyknęła dziewczyna.

–Ertin ma rację – to, co się tutaj dzieje dziwnie przypomina chałowaty scenariusz. A w takim filmie zawsze ratuje skórę tylko para sympatycznych bohaterów: on z „lekkimi obrażeniami, a ona z ponaddzieraną bielizną. Nie ma tu miejsca dla trzeciej) osoby.

–Zwariowałaś! – ostro rzuciła Jana i poruszyła się jakby chciała chwycić Birdy za ramię. Hostessa zgrabnie uskoczyła między kasety pierwszego szeregu i roześmiała się szyderczo.

–Tak-tak! Oczywiście... – wykrzywiła twarz i ułożyła ją w grymas przesadnego obłudnego współczucia. – Biedna dziewczyna... – powiedziała wyraźnie naśladując Janę. Janę, która po wydostaniu się na powierzchnię opowiada o zajściach na dole, w schronie. – Musiała zwariować, biedactwo.

–Ale muszę przyznać, **że nie było tam o to trudno, my przetrwaliśmy tylko dlatego...**

Kip zdecydowanie wyminął nieruchomą Janę i zanim Birdy zdążyła uciec złapał ją za

wysunięte w obronnym geście ramię. Szarpnął dziewczyną mocno **aż uderzyła całym ciałem o niego. Objął ją lewą ręką i przyciągnął do siebie tak, że nie mogła się poruszyć.**

–Birdy... Albo się poddamy i znajdziemy się w telewizyjnym salonie wraz z państwem La Salle, albo...

Puść mnie! – wrzasnęła i zaczęła się wyrwać. – Możesz sobie walczyć, jeśli chcesz... - szamotała się usiłując wyrwać unieruchomioną rękę, drugą ręką chwyciła Kipa za włosy, jednocześnie kopała go po kostkach. – Jeśli wiesz z kim walczysz, to sobie walczył!

Kip odsunął się do tyłu i mocno potrząsnął Birdy. Jej głowa bezwładnie zatoczyła kilka nieregularnych półkoli, włosy wypadły spod spinek i zawirowały w wymyślnej spirali. Stuthman chwycił Birdy za drugą rękę i ustawił się do niej półprofilem. Bolały go skopane golenie.

–Pójdiesz z nami do góry i łykniesz znowu blokery – powiedział przestając szarpać dziewczyną. – Jeśli nie wytrzymujesz tego na żywo, to przynajmniej nie ułatwiasz temu bydlakowi jego roboty. Rozumiesz? Połóż się spać, a my będziemy ciebie pilnować tak jak Ertina i Yoosa. Nie chcesz walczyć, to twoja sprawa, ale nie pozbawiaj sama siebie szansy.

Jana podeszła do nich i położyła dłoń na ręce Kipa. Zwolnił chwyt i puścił zgaszoną Birdy.

Odsunął się i przepuścił obie dziewczyny przodem, rozejrzał się po pomieszczeniu, które jeszcze nie tak dawno temu uważał za najlepszą kryjówkę przed Chaysale i wyszedł. Nie zatroszczył się o zamknięcie drzwi, a słysząc szelest zasuwanej przez komputer taflki nawet nie obejrzał się. Po kilku krokach Birdy zatrzymała się i spokojnie uwolniła z objęć Jany.

–Już dobrze. – Obejrzała się na Kipa. – Nie będziecie już mieli ze mną kłopotów. – Ruszyła do przodu i zatrzymała się po dwóch krokach. – I przepraszam za to, co powiedziałam. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Widziałam film, w którym cało z tarapatów wychodzi większa część bohaterów.

Gdy znowu ruszyła do przodu Jana popatrzyła na Kipa z trudnym do zdefiniowania wyrazem twarzy, wyglądała jakby chciała skomentować to, co się wydarzyło w cieplarni i na korytarzu, ale w ostatniej chwili powstrzymała się. Kip podszedł do niej i nie zwalniając zagarnął ją ramieniem idąc za Birdy. Na szczycie spiralnych schodów przyspieszył i położył dłoń na ramieniu Birdy.

–Poczekaj, ja wejdę pierwszy.

Wyjął z kieszeni pseudopneumo i wysunął głowę poza obręb prostokąta otwartych drzwi. Korytarz był pusty. Odczekał chwilę i pierwszy minął ościeżnicę. Za nim na korytarz weszły obie dziewczyny, w tym szyku dotarły do centrali. Nosze z oboma mężczyznami stały tuż za progiem, na trzech ekranach zastygły twarze trójki ludzi, jeden z monitorów wciąż jeszcze

szczyrzył okolony ostrymi zębami ciemny otwór. Skotłowane śpiwory spuściły powietrze ze swych segmentów i leżały demonstrując zniechęcenie i apatię swymi pustymi powłokami. Jana lekko pchnęła stojącego w progu Kipa. Odsunął się i, odczekawszy aż **obie wejdą, zamknął drzwi i usiadł w pierwszym fotelu, jaki stał w pobliżu. Już siedząc przesunął się chcąc mieć na oku całą centralę, łóżka, monitory i drzwi. Potem lufą mocno dźgnął zewnętrzny bok fotela i w powstałą dziurę wsunął lufę rewolweru. Teraz mógł siedząc w takiej pozycji, z ręką na oparciu czy spuszczoną poza fotel, w krótkim czasie wyszarpnąć broń. Birdy usiadła obok barku Yoosa i zamyślona bębniła palcami w kopulastą pokrywę. Jana stała przed kasetą żywnościową i chyba czytała menu.**

–Komputer! – zawoła! Kip.

–Słucham.

–Czy ty zupełnie nie czujesz różnicy między ludźmi w centrali i tymi na ekranach monitorów?

–Nie. Ty powiedziałaś, **że różnicie się czymś tylko od siebie.**

–Przecież jeśli popatrzysz na centralę przez którąkolwiek ze swych kamer, to zobaczysz, **że znajduje się tu tylko pięć osób?**

. – Nie. Osiem.

–Dureń... – rzucił Kip. – A jeśli wszystkie osoby odcisną na czujniku swoje linie papilarne? Jeśli tylko pięcioro ludzi będzie mogło to zrobić?

–Mam już w pamięci wzory waszych linii.

–Ale dotknięcie manipulatora... Możesz policzyć ile osób cię dotknie?

–Mogę, ale ja jestem świadomy istnienia ośmiu osób.

–Wiem to. Więc brak ich dotyku nie jest przekonywającym dowodem ich nieobecność w centrali.

–Aha! – ożywił się Kip. – Już nie mówisz, **że nie ma ofiar, bo ich być nie może?**

–Przyjąłem twoją hipotezę i zgodnie z nią mogę się zgodzić z tezą o zamordowaniu dwóch osób przez istotę nazywaną przez ciebie Chaysale.

–No to przeanalizuj teraz sekunda po sekundzie, nanosekundę po nanosekundzie, nasz pobyt tutaj, z hipotezą o istnieniu Chaysale i wyjaśnij, jakie okoliczności towarzyszą znikaniu ludzi i pojawianiu się ich na ekranach monitorów. Nie powtarzaj mi, **że nic nie zauważyłeś, Ernma i Geoffrey La Salle oraz Hagood Baum zniknęli z naszego realnego życia i**

widzimy ich tylko w monitorach. Sprawdź jak się mają do ich zmiany istnienia te obwody, które nie podlegają twojej kontroli. Może istnieją jakieś okoliczności, które muszą zajść, by człowiek zmienił formę istnienia? Jeśli tak, to dopilnuj, by takie okoliczności już nie zaszły. I w ogóle – czy nie powinieneś dbać o nasze bezpieczeństwo? – w miarę mówienia Kip podnosił głos aż do krzyku. – Masz zabezpieczyć nas przed oddziaływaniem Chaysale nawet kosztem swojego istnienia! Jasne?

–Proponuję żebyś skorzystał z zestawu medycznego.

–Twoje reakcje wskazują na...

–A zamknij się... Kip machnął ręką i popatrzył na dziewczyny. – Dobrze, że w końcu nasi przodkowie nie doprowadzili do jakiejś totalnej wojny. Przekonaliby się, że ich komputery, które miały zapewnić im bezpieczeństwo są głupsze od tabliczki... O! – przypomniał sobie o nicogumie i szybko wyciągnął z kieszeni paczkę. – Tyle z niego pociechy...

Wyszarpnął kostkę z opakowania i radośnie uśmiechnięty wpakował ją do ust.

–Tego mi brakowało – wymamrotał. – Nie patrz tak na mnie – powiedział do obserwującej go z cieniem niepokoju na twarzy Jany. – Nie zwariowałem, pewnie mam wbudowane bezpieczniki, które nie pozwalają mi zaczubić się. Trzeba... – zauważył, że jego radosny nastrój nie udziela się kobietom.

–No dobrze, zjedzmy coś. A potem, tak sędzę pójdziemy spać – popatrzył na monitor bezszelestnie odliczający czas.

–Zostały nam czterdzieści dwie godziny. – Zrozumiał, że zabrzmiało to złowieszczo

i szybko uzupełnił: – Do wyjścia ze schronu – poprawka pogorszyła tylko sytuację. Kip pokręcił głową i westchnął. – Nieważne, w każdym razie proponuję żebyście poszły spać, a ja popilnuję was. Poczekaj... – dodał – widząc, że Jana otwiera usta -...za kilka godzin uruchomię Yoosa i sam pójdę spać.

–Nie zasnę – ostrzegła Birdy. Jana zerknęła na nią przez ramię i pokiwała głową na znak jedności.

–Bzdury! – syknął Kip. – A jeśli nawet to weźcie sobie coś na sen. Nie wytrzymamy czterdziestu godzin bez snu. Do łóżek i bez dyskusji – stanowczym gestem wykluczył możliwość oporu. – Zresztą... – przesunął się w kierunku pulpitu i wystukał coś na klawiaturze kompa. Potem wychylił się w lewo i wyjął z kasety cztery cienkie bransolety. Podszedł do Yoosa i zręcznie nałożył mu jedną na przegub lewej ręki, potem powtórzył operację z Ertinem i podszedł do dziewczyn.

–Daj rękę – powiedział do Birdy.

–Co nam aplikujesz? – zapytała podając mu dłoń.

–Dziewięć godzin snu – odpowiedział zapinając bransoletkę.

Jana sama wysunęła do przodu dłoń i bez słowa ułożyła się na najbliższym łóżku. Birdy chwilę wpatrywała się w dozownik na swoim przegubie, a potem ziewnęła i również położyła się na wolnym łóżku. Gdy tylko znieruchomiały Kip wywołał komputer i polecił z powrotem rozwinąć ścianę dzielącą centralę od aktualnej sypialni. A jeszcze chwilę potem sięgnął do podajnika i zapiął sobie na przegubie bransoletę identyczną jak te umocowane na rękach pozostałej czwórki. Szybko, jakby bał się, **że nie zdąży albo się rozmyśli przeszedł do sypialni i ułożył na łóżku obok Birdy, która, jak ocenił zajmowała najmniej, miejsca na swoim pościeli. Chwilę potem, wciąż jeszcze zastanawiając się czy postąpił właściwie, zasnął, do ostatniej chwili walcząc ze strachem.**

Kip szarpnął się całym ciałem i obudził. Chwilę wracał do przytomności coraz bardziej szczęśliwy, **że to tylko we śnie nie był w stanie poruszyć nogami i im wolniej biło spłoszone męczącym snem serce, tym mniej, choć bardzo tego chciał, pamiętał z fantasmagorycznej sekwencji migawek, w których – to pamiętał dobrze – zawsze groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. Usiadł na łóżku i zerknął na zegarek. Do dwudziestej brakowało kilku minut. Popatrzył przez ramię i zdziwił się nie widząc Birdy na swoim łóżku. Jana poruszyła się nerwowo, chyba zsuwała się do płytkiej warstwy snu, z której od przebudzenia dzieliło ją tylko kilka minut. Yoos i Ertin oddychali regularnie i nie zdradzali chęci powrotu do aktywności.**

Ostrożnie wstał i skierował się do drzwi, ale tuż przed progiem zatrzymał się i wrócił do Jany. Pomyślał, **że jeśli Jana obudzi się i nie zobaczy ani jego, ani Birdy zaczną ich szukać,**

panikować. Usiadł bokiem na łóżku Jany i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. Obudziła się natychmiast, sen wyparował ze spojrzenia błyskawicznie, poruszyła brwiami zadając bezgłośnie pytanie. Kip pochylił się i pocałował ją w usta.

–Birdy wyszła – szepnął. – Idę jej poszukać, ty nie wychodź stąd. Zwinę ścianę i każę kompowi na jednym z monitorów prowadzić podgląd. Trzymaj... – sięgnął do kieszeni i wyjął rewolwer.

Jana nie poruszyła się, więc otworzył jej dłoń i wpasował w nią rękę. Zacisnął palce na ogrzanej własnym ciałem, broni i jeszcze raz, o wiele dłużej i mocniej pocałował Janę. W ostatniej fazie pocałunku poruszyła się i jej lewa dłoń zacisnęła się na jego karku. Nie powiedziała jednak nic. Kip szukał w myślach jakiegoś krzepiącego słowa, przypomniał sobie jednak tylko głupie mrugnięcie okiem. Poderwał się i podszedł do ściany dzielącej pokój od korytarza. Wywołał komp i wyszeptał polecenie do szerokiej szpary mikrofonu.

Przyprostokątna ściana drgnęła i poszerzając dzielącą ją od centrali szczelinę zaczęła wsuwać się we wnękę i rolować w gruby zwój. Kip rzucił okiem na centralę i widząc, że nie ma w niej Birdy odwrócił się w kierunku drzwi. Dopiero po przejściu kilku kroków obraz siatkówki oka, poddany nieświadomej analizie mózgu, został przekształcony w świadomą myśl. Kip zatrzymał się i oparł o ścianę. Jęknął głośno, a palce obu dłoni wczepiły się we włosy, ręce zawisły w nietypowym układzie utrzymywane w górze przy pomocy dwu garści włosów. Jana, obserwująca Kipa z pozycji leżącej, poderwała się natychmiast, gdy uderzył barkiem o ścianę, a słysząc jęk i widząc rozpaczliwy gest zeskoczyła z łóżka i kierowana domysłem rzuciła spojrzenie w stronę odsłoniętej już całkowicie centrali. Fotele zamarły puste, barek Yoosa nieruchomo stojąc kusił swoją otwartą kopułą, spod której w powietrze pomieszczenia wypływały, rozprzestrzeniały się i znikwały niemrawe obłoczki zimnej pary. Ekran zamarł prezentując nieruchome twarze Emmy i Geofreya, i Hagooda. I Birdy. Cała czwórka miała wciąż ten sam nienaturalnie martwy wyraz twarzy, ich spojrzenia niemal namacalnie wysuwały się z oczu jak szyny kolejowe z otworu walcarki i były tak samo proste, zimne i ciężkie. Jana Peacock przymknęła na chwilę oczy i usiadła z powrotem na łóżku plecami do centrali. Lawina myśli zwała się na nią, zakłębła, zdusiła rozsądne odruchy, zakłóciła rytm pracy serca, a jej zewnętrznym przejawem był szloch z trudem torujący sobie ujście przez zamknięte spazmem gardło. Musiała wyprostować zgarbione plecy i odrzucić głowę do tyłu, skurcze przepony porcjowały wdychane i wydychane powietrze, ale jej oczy pozostały suche. Gdy Kip przykucnął przed nią i wyciągnął dłoń z chusteczką ze zdziwieniem zauważył, że Jana nie płacze, lecz dusi się suchym spazmem. Chwycił ją za łokcie i poderwał do góry.

–Przestań natychmiast! – krzyknął, – I stój sama! Słyszysz?

Potrząsnął ją mocno. Popatrzył w nieco przytomniejsze oczy i przytulił całą do siebie. Ponad jej ramieniem obrzucił ponurym spojrzeniem kratownicę ekranów, po raz pierwszy nie uciekał spojrzeniem, nie dążył do jak najszybszego spełnienia obowiązku. Przyjrzał się uważnie wszystkim po kolei twarzom, ze słabości Jany czerpiąc odwagę patrzenia w oczy martwym ofiarom makabrycznego Chaysale. Delikatnie pocałował szyję Jany i zaczął rozcierać jej plecy jak gdyby wyszła z lodowatej kąpieli. Zastanawiał się czy może jej powiedzieć coś, co nie będzie brzmiało jak banalne pocieszenie. Przytulił się policzkiem do jej ucha i nagle niespodziewanie dla samego siebie wyszeptał:

–Chodźmy do twojej sypialni.

–Dobrze... – usłyszał.

Żadne z nich nie wykonało najmniejszego ruchu, stali objęci pod spojrzeniami czterech par oczu, między dwoma łózkami ze śpiącymi mężczyznami.

–Będziemy się pocieszać, prawda? – powiedziała cicho Jana. – Czy może rozpaczliwie

namiętne pożegnanie dwójki kochanków?

–Nie – mruknął Kip. – Będziemy się po prostu kochali, to jedyne naprawdę ludzkie i tylko ludzkie działanie. Nigdy się tego nie wstydziłem...

Jana odsunęła się od Kipa i widząc, że nie odrywa spojrzenia od ściany monitorów popatrzyła również w tamtym kierunku. **Kilkanaście sekund trwała milcząca wymiana spojrzeń, potem dziewczyna chwyciła za rękę mężczyznę i pociągnęła za sobą.**

Ile do... – Jana zawahała się i nie znajdując odpowiedniego określenia nie dokończyła pytania.

–Trzydzieści dwie godziny... Y-ye-ech! – Kip ziewnął i przeciągnął się. – Trzeba by się zastanowić... – opadł na plecy i podłożył ręce pod głowę.

–Chyba wiem, co masz na myśli. Jak zawiadomić tych z góry o sytuacji na dole?

–Ta-ak... Co prawda zdecydowanie, z jakim Wilcots odciął nas od powierzchni świadczy o tym, że **serio traktują hipotezę o gwiazdnym mordercy...** – Kip zdziwił się swojemu autentycznie lekkiemu tonowi, jakim mówił o Chaysale. – **Zobacz... – prychnął. – Zupełnie się go w tej chwili nie boję?!**

–Ja też... – Jana zapaliła papierosa. Kip oczekiwał, że wzorem filmowych bohaterów zaciągnie się i wypuszczając strugę dymu wetknie papieros mu do ust. Pomylił się – musiał sam sięgnąć do paczki i zapalić innego papierosa. Ułożył się z powrotem na plecach, Jana przysunęła się nieco i ułożyła policzek na jego ramieniu. Kip czuł jej ciepły oddech na swojej piersi i twardą sutkę we wgłębieniu pod żebrami. Poruszył się lekko, a Jana nieomylnie wyczuwając jego intencje przytuliła się całym ciałem.

–Dlaczego nie kończysz swojej myśli? – zapytała.

–Obawiam się, że nie zdążę dokończyć – teatralnym szeptem oświadczył Kip.

Poczuł, że **Jana poruszyła głową, zerknęła wzdłuż przytulonych ciał, a potem w górę. Dopiero teraz zauważył kilka drobnych, koloru żonkila, cętek na soczyście brązowych tęczęwkach.**

–Wiesz, że masz brązowe oczy?

–Nie żartuj! – zaniepokoiła się. – Wolałabym takie jak ty, niebieskie. Właściwie szaroniebieskie. Dopiero gdy się wściekasz robią ci się błękitne jak niebo nad Neapolem.

–Wątpliwy komplement. Ale niech będzie... – zsunął się trochę, tak że mógł przytulić swój policzek do jej głowy. **Jana przesunęła dłoń i Kip na kilkanaście sekund stracił zdolność do mówienia. Dziewczyna skubnęła zębami skórę na piersi Kipa.**

–Miałeś dokończyć... – powiedziała.

–Hę? A tak... No więc... Wilcots pewnie zabezpieczy się jakoś. Nie sądzę by po prostu zjechali tu na dół i serdecznie uścisnęli nam dłonie...

„Jeśli będzie komu uścisnąć – pomyślał. – Nie mam w tym względzie specjalnych wątpliwości. Tylko dlaczego mnie to nie rusza?”.

–Coś pewnie wymyślą. Ale najważniejsze żeby nie uruchamiali łączności. Prawie pewne jest, że to bydlę jest jakąś niematerialną energetyczną formą życia i chyba – może dotyczy to tylko Ziemi? – porusza się po energetycznych komunikatorach. Najpierw trzeba wyjaśnić czy można go wypuścić, jak można go zniszczyć, a dopiero potem ryzykować wypuszczenie. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić jaką masakrę może urządzić na naszej ojczyznej planecie...

–Zaciągnął się dymem swojego papierosa. Jana jakby przypomniawszy sobie o swoim, odwróciła się i zaciągnęła również, Boisz się go? – zapytała.

Nie wiem czy mi uwierzysz, ale dziwnie nie. Albo już tak się nabałem, że więcej nie można, albo skretyniałem zupełnie i jako taki nie boję się niczego. – Zaciągnął się trzy razy pod rząd i strzelił połówką papierosa w kąt. – Nie mam lepszego pomysłu jak wydrapać do Wilcotsa posianie tuż za progiem windy. Zaraz tam pójde...

–Ta-ak... Zaraz... – mruknęła ironicznie Jana i rzeczywiście jeszcze przez czterdzieści minut Kip nie powracał do tego tematu.

Dopiero gdy wyszli spod prysznic i stali pośrodku chłodnego tornada w suszarni przypomniawszy sobie o informacji dla ekip powierzchniowych. Przebrali się w czyste kombinezony i ruszyli w stronę odkaźalni. Nie umawiali się, ale żadne z nich nie zaproponowało skontrolowania centrali. „Załatwmy najpierw jedno – uspokoił swoje sumienie Kip. – Nie daj Boże, coś się w centrali stało i wtedy w ogóle nic nie zrobimy. Zresztą... – zerknął na Janę -...ona myśli tak samo”. Doszli do końca korytarza i skręcili w drzwi po lewej stronie. Pokonali od tyłu trasę znaną z pierwszych minut w schronie. Kilka czujników służbiście rozjarzyło swoje

sygnalizatory, ale poza tą manifestacją gotowości nic nie zakłócało nieruchomego czuwania automatyki. Kip rozglądał się chwilę i nie znajdując „odpowiedniego sprzętu wywołał komputer i polecił przesłać do odkaźalni małą wiertarkę z carbonidowym wiertłem. Przy okazji przypomniawszy sobie o innej sprawie.

–A właśnie! Co z tym obiektem w kształcie ptaka, który miał ulec zniszczeniu?

–Trwa obróbka termiczna. Dotychczas próby zmiażdżenia po rozgrzaniu nie dały pozytywnego rezultatu. Poddaję go teraz termoobróbce w agresywnym środowisku. Muszę jednak zwrócić uwagę, że dotychczas nie spotkałem się z takim tworzywem i sądzę...

–No to się ciesz, że nie spotkałeś! – przerwał Kip Słowotok komputera. – Zniszczyć za wszelką cenę, cały czas musi być maltretowana, najlepiej ciągle inaczej i absolutnie nie wolno wypuścić tego z warsztatu. Gdyby coś się z tym działo niezwykłego – meldować!

Pisnęły drzwi i w ich otworze pojawił się mały oktaedr wiertarki. Podjechał do Kipa i zatrzymał się, z górnego czubka wysunęło się giętkie ramię z ergonomicznym uchwytem. Kip chwycił końcówkę i pociągnął wiertarkę do ściany na wprost drzwi z windy. Namyslał się chwilę patrząc w ścianę nad głową a potem trącił starter.

„Wszystko wskazuje na to, że w schronie znajduje się nieziemska istota. Najprawdopodobniej nazywa się Chaysale, wygląda że jest agresywna lub nieświadoma swojej potęgi. Aktualnie, w nie znany nam sposób przeniosła czwórkę ludzi... – na chwilę przerwał rycie informacji w plastyku ściany i zastanawiał się kilkanaście sekund -...czy to do innego wymiaru, czy do innej formy życia. Nie wiemy. Małżeństwo La Salle, Hagood i Birdy zniknęli nam z oczu i pojawili się na ekranach monitorów. Dotychczas raz zdarzyło się, że chórem wygłosili kilka słów w nie zidentyfikowanym języku. Artur Li Wan został zamordowany za pomocą lasera lub ekwiwalentu! Warrena Lattuada znalazłem na korytarzu z dziurą w piersi. Na wysokości dziury w kieszeni nosił dziwnego czarnego, ptaka, który wcześniej pojawił się na jednym z ekranów jako mała nieregularna plama, a po kilku godzinach przybrała postać niesamowitego ptaka. Aktualnie komp usiłuje zniszczyć w warsztacie ten odłamek ekranu, ale nabrał on niesamowitej odporności na oddziaływania mechaniczne. W danej chwili (23.17, druga doba od zejścia) Ertin Shakesby i Yoos O’Ryan znajdują się w psychoblokadzie. Ponieważ wydaje nam się, że Chaysale porusza się na Ziemi za pomocą dowolnego rodzaju komunikatorów energetycznych należy – aż do czasu wykluczenia tej hipotezy – nie przywracać żadnej formy komunikacji z powierzchnią. Kipling Stuthman i Jana Peacok”.

Obejrzał się na Janę. Wbrew jego oczekiwaniom nie śledziła wzrokiem końcówki ryjącej w plastikowym „pokryciu ściany słowa, lecz wpatrywała się w czubki swoich – właściwie

schronowych – miękkich pantofli. Zamyśliła się tak głęboko, że nie zwróciła nawet uwagi na ciszę zapadłą po wyłączeniu napędu. Końcówka wypuszczona z ręki Kipa uderzyła o podłogę, on obserwował chwilę Janę, a potem podszedł do niej i łagodnie przytulił do siebie.

–Mamy dość, co? – rzucił w przestrzeń za jej plecami.

–Bez wątplenia – odpowiedziała, ale głosem nadspodziewanie różnym.

„Dziewczyna z kamienia – pomyślał Kip. – Zostało trochę ponad trzydzieści godzin... Za chińskiego wala nie wiem co robić? Zamknąć się gdzieś czy wręcz przeciwnie – cały czas przemieszczać się po schronie? Podnieść temperaturę czy...

Zaraz?!".

Oderwał się gwałtownie od Jany i potrzęsnał nie patrząc w oczy.

–Mów coś przez cały czas! – polecił zdecydowanie.

–Cokolwiek? Głośno?

Głośno. I słuchaj co ci powiem... – przytulił złożone w konchę dłonie do jej ucha i zaczął szeptać, gdy tylko Jana zaczęła nucić, najpierw cicho, a potem coraz głośniej *Gwiazdozbiór Paradox*. – Zrobimy tu ruch. Zaraz pójdziemy do centrali i zażyjemy dużą porcję dynamików. Wszyscy! „A ja wciąż radosny, z samotnością...” Potem zaczniemy robić cokolwiek byle zająć czymś tego Chaysale, rozumiesz? „Lecę! Moje dłonie niczym skrzydła pustkę tną...”

Jana dokończyła najpierw drugi wiersz refrenu, zaczęła drugą zwrotkę: „Lecę! Tchórzliwy ślimak – na grzbiecie niosę dom” i dopiero potem pokręciła głową. Kip znowu przylgnął do jej ucha.

–Każemy podnieść temperaturę w schronie, potem obniżymy. Podpalimy coś, polejemy wodą ściany w korytarzu.

Róbmy cokolwiek, byle wytrącić go z równowagi. Ten upiór musi zacząć się zastanawiać po co to wszystko robimy. Rozumiesz już?

Jana wyśpiewała kilka słów i skinęła głową.

–Albo będzie coś robił, albo zastanawiał się jaką broń przeciwko niemu zastosujemy. Tylko idiota zareagowałby inaczej. W końcu on też tu jest w pewnego rodzaju pułapce, prawda?

–„Zostałeś w swoim, mnie podarowałeś inne czasy” – zaśpiewała Jana i skinęła głową. – To dość głupie wplotła swoją ocenę w tekst piosenki, ale jednocześnie wzruszyła ramionami i skinęła aprobowująco głową.

–No to idziemy! – Kip przyciągnął ją do siebie i zgniótł wargi w krótkim mocnym pocałunku.

Nie wypuszczając dłoni Jany ze swojej, drugą chwycił wsięgnik wiertarki i wyciągnął obie na korytarz. Zatrzymał się zaraz za drzwiami i zastopowawszy dziurawe tuż przy ścianie ustawił wiertło przy użyciu ssawki pod kątem prostym do płaszczyzny ściany i włączył napęd. Gdy tylko okazało się, **że sprzęt działa prawidłowo zostawił wiertarkę i pociągnął niemal biegiem dziewczynę za sobą. Pierwszy wbiegł do centrali.**

Jana wpadła na jego plecy, gdy zapierając się wykroczną nogą zatrzymał zaraz za progiem. Ze ściany monitorów sączyła się stożkowo wymodelowana struga światła, jej wierzchołek

sięgał samojezdnych noszy, na których wciąż jeszcze leżeli nieprzytomni O’Ryan i Shakesby. Jana wyrwała dłoń i zacisnęła ją na ramieniu Kipa. Stożek światła pulsował nieregularnie, zmiany natężenia nie były duże – nieco ciemniejsze, niezbyt szerokie pasma podążały od podstawy do wierzchołka, który jakby przebił na wylot nosze i ciała i zatrzymał się zaraz za nimi. Kip drgnął i zakołysał się – synchronizacja ruchów szwankowała wyraźnie. Potrząsnął głową i zrobił krok do przodu.

–Kip! – krzyknęła z tyłu Jana. Usiłowała przytrzymać Kipa, ale jej palce działały równie niepewnie jak jego stopy, palce omsknęły się na gładkim materiale kombinezonu, pisnęły paznokcie przejeżdżając po splocie włókna. Kip przesunął się w prawo, nie zbliżał się do strugi jasności, przysuwał się do noszy pod ścianą nie spuszczać oczu z emitujących światło monitorów. Wyciągnął z kieszeni pneumatyczny i kierując w stronę panelu kompa zrobił jeszcze, dwa kroki. Widział teraz dokładnie obraz na ekranach zajętych przez twarze Emmy, Geofreya, Birdy i Hagooda. Cała czwórka straciła martwą nieruchomość, wytrzeszczali z wysiłku oczy i marszczyli czoła, ale żaden dźwięk nie wypływał z głośnikowych kolumn. Kip zapatrzył się na twarze uwięzionych w ekranach i nie od razu zauważył, **że pulsowanie stożka światła zmienia się. Dotarło to do niego w chwili, gdy Jana przycisnęła zaciśnięte w pięści dłonie do brody i krzyknęła:**

–Kip! Uważaj!

Stuthman podniósł rękę i wystrzelił w ekran ze staruszkami, coś cicho pyknęło, jakby pękł balon o ściankach niewiele grubszych od bańki mydlanej. Lufa przesunęła się i drgnęła lekko... Ciemną gardziel obramowaną odłamkami szkła otworzył rozstrzelany ekran z Baumem. Czwarty pocisk trafił w twarz Birdy. Kip zacisnął zęby i wystrzelił pozostały nabój w jeszcze jeden ekran. Rzucił bezużytecznym rewolwerem w jeden z pozostałych pięciu” ale nie trafił. Sięgnął po najbliższe stojące krzesło, odwrócił się przy tym nieco w bok i niezamierzenie zerknął na nosze. Były puste. Krzesło wypadło mu z ręki, zachwiało się jakby wahając, w którą stronę upaść i w końcu zważyło się na bok, odbiło sprężynującym oparciem i znieruchomiło po jeszcze jednym podskoku – nieudanej, z góry skazanej na niepowodzenie, – próbie znalezienia się w normalnej pozycji. Jana opuściła ręce i zrobiła krok w kierunku Kipa. Dopiero gdy znalazła się tuż obok zerknęła na ekrany. Zacisnęła palce na jego łokciu.

–Popatrz... – szarpnięciem skierowała jego uwagę na upstrzoną ciemnymi kawernami ścianę monitorów.

Jarzyło się pięć ekranów, cztery emanowały pulsujące jasne światło, piąty był wyraźnie ciemniejszy. Gdy Kip przyjrzał mu się, zobaczył najpierw kilka jaśniejszych i ciemniejszych smug w zawily sposób przecinających ekran, dopiero uważne przyjrzenie się spowodowało, **że wyraźnie zobaczył rysy twarzy najpierw Yoosa O’Ryana, a potem, nieco słabiej zarysowane i miejscami zachodzące w kontury głowy Yoosa, fragmenty układające się na wizerunek oblicza Ertina Shakesby’ego.**

Całość wyglądała jak niechlujny albo nieumiejętny miks dwu fatalnych pod względem jakości obrazów monitorowych.

–Dlaczego oni są tacy... – szepnęła Jana.

–N-nie wiem... – zająknął się Kip i zły na siebie niemal krzyknął: – A jacy mają być? Jak wygląda normalny obraz wciągniętego w monitor człowieka?

Zamierzał krzyknąć coś jeszcze, ale nagle myśl, którą wykrzyczał zaprocentowała niespodziewanym olśnieniem. Zamknął usta i złapał dłoń Jany właśnie spełzającą z jego przedramienia.

— Poczekaj... Masz rację, dlaczego oni są tacy... – zastanawiał się kilka sekund nad najodpowiedniejszym słowem...niedokończeni? Cała operacja wciągania również nie była taka jak poprzednie. Wcześniej to była chwila, moment i już.

–A teraz... To światło i jakość obrazu... – odwrócił się do Jany.

–Może on słabnie? Może to bydlę ma mniej siły?

Jana popatrzyła Kipowi w oczy i niemal natychmiast spuściła wzrok: „Ma zmęczone spojrzenie! – pomyślał Kip Stuthman. – R-rany, jak ona jest zmęczona! Biedna dziewczyna... Cały czas pracuje jak holownik, a ja... Dobra, teraz będzie inaczej”. Nie otwierając ust przeprosił Janę. Mocno ścisnął jej dłoń i natychmiast pchnął w kierunku drzwi.

–Wyjdź na korytarz – polecił.

Schylił się i podniósł rzucony przed chwilą na podłogę fotelik. Przyjrzał się mu uważnie i zdecydował na chwyt za oparcie. Ponaglił spojrzeniem Janę i gdy tylko doszła do drzwi szybko podskoczył do zmalretowanej ściany monitorów i grzmotnął z całej siły w ekran z rozmazanymi konturami twarzy O’Ryana i Shakesby’ego i najszybciej jak mógł w ten sam sposób zaatakował pozostałe cztery ekrany. Zajęło mu to najwyżej pół minuty. Nie zwracając uwagi na chrzęszczące pod nogami szkło wyszedł na korytarz i zagarnął w marszu ramieniem Janę. Weszli do najbliższego pokoju, gdzie Kip zerwał z łóżka stojącego najbliżej drzwi cienki materac i wskazał Janie szafkę.

–Wyciągnij z niej – wszystko, co się da palić – polecił. – Komputer! Przyślij mi kilka rolek papieru do drukarek! Szybko!

Wywlókł materac na korytarz i rzucił pod ścianę. Jana wyniosła w ślad za nim naręczce kombinezonów i najpierw rzuciła je na podłogę a potem, po dokładnym roztrzepaniu, wraz z plastikowymi kopertami ułożyła z nich stos na materacu.

–To się może niezbyt dobrze palić – powiedziała.

Nieważne. Byle był dym... – obejrzał się na transporter z czterema rolkami papieru. Szybko wyrwał mu pierwszy wałek i trzymając koniec w dłoni, rzucił wałkiem wzdłuż korytarza.

Szeroka wstęga szeleszcząc rozwinęła się niemal aż do ściany komory windy. **Jana zrobiła to samo z drugą rolką, zręcznie powtórzyli operację, a potem, ogarnięci wzrastającym zapalem, nie umawiając się pobiegli do windy i wracając zgarnęli na ręce olbrzymie niezgrabne naręcza rozwiniętego papieru.**

Wszystko to rzucili na stos z materaca i ubrań, Kip podetkał w kilku miejscach papier pod stos i skinął głową. Jana czekała już z zapalniczką w dłoni. Ogień, w nasyconej tlenem atmosferze, buchnął wesoło i raźnie rozpełzł się na wszystkie strony, po wszelkich możliwych trasach, których liczba wzrastała w postępie geometrycznym, w miarę dochodzenia płomieni do kolejnych skrzyżowań warstw papieru. Kilkanaście sekund później cała sterta płonęła wesoło, najpierw czystym ogniem, potem buchnęła jedna, a za nią następne strużki dymu, komputer zaterkotał przeraźliwie, a Jana i Kip odsunęli się nie chcąc ulec oblaniu przez któryś z pojawiających się już na korytarzu automatów gaśniczych. Pierwszy z kilku metrów trysnął roztworem gaśniczym, Kip krzyknął coś i podbiegł do gorliwców. Wywrócił trzy, zobaczył, że **Jana poradziła sobie z jednym i rzucił się do przewracania następnych. Przez półtorej minuty na korytarzu trwała krzątanina utrzymana w groteskowo-absurdalnej konwencji. Ludzie zalewani strugami anrypiro zasłaniali twarze i radośnie pokrzykując wywracali kolejny automat albo kopniakiem zwalali na podłogę mozolnie podnoszącego się strażaka. Płomień ustabilizował się, ale kłęby duszącego dymu buchnęły o wiele obficie i to on zmusił do odwrotu Kipa i Janę. Lekceważąc monotonne mamrotanie kompa, który od kilku minut, zwracał im uwagę na niewłaściwość ich zachowania odbiegli od stosu zalewanego kilkunastoma strugami mieszanki i popatrzyli na siebie. Oboje mieli załzawione oczy i zmierzwione z powodu krzątaniny, potu i strug cieczy włosy. Oboje usiłowali z oczu drugiego zaczerpnąć trochę nadziei.**

–A co teraz? – zapytała Jana.

–Co chcesz – wzruszył ramionami Kip. – Masz jakiś pomysł? – zapytał i widząc przeczący ruch głowy Jany wrzasnął: – Komputer! Doprowadź temperaturę w schronie do plus trzy i sześć

dziesiątych stopnia Celsjusza. Możliwie szybko.

–Chorobogenne działanie...

–Wykonać!

–Przyjęte.

Chodźmy się przebrać – Kip energicznie pociągnął Janę do najbliższego pokoju, gdzie już w wyczuwalnie niższej temperaturze, zmienili, przemoczone kombinezony na suche i naciągnęli

powleczone warstwą syntpuchu narzuty. Po kilku nieudanych próbach wreszcie pozaczepiali je tak, **że utworzyły luźne kombinezony wierzchnie. Kip wygrzebał z szafy cienkie czapeczki i nałożył jedną Janie. Skorzystała z tego i przytuliła się do niego i powiedziała coś, czego nie zrozumiał w suchym, szeleście stykających się narzut.**

–Czyżbyś myślała o tym, żeby w jednym pokoju podnieść temperaturę? – zapytał Kip i natychmiast pożałował żartu.

–Nie... – powiedziała w ocieploną warstwę na jego piersi. – Seks to jednorazowa tratwa ratunkowa.

–No to w takim razie rozgrzejmy się czymś innym – powiedział beztrosko Kip, ale daleki był od podpisania się pod sentencją Jany.

Milczeli chwilę. Nawet lekkie poruszenia przepon powodowały nieprzyjemny szelest okrywających ich narzutek, ale z bliskości swych ciał, nawet poprzez dwie warstwy obojętnych kombinezonów czerpali skromne, lecz bezcenne ilości otuchy i ciepła.

–Chodźmy – powiedział w końcu Kip.

Wyszli na korytarz. Krzątało się na nim kilkanaście robotów różnego typu, kilka usuwało ślady po pożarze, zgarniały do pojemników szczątki materiału i pasma mokrych taśm papieru, dwa kursowały z pojemnikami i wracały z pustymi, które natychmiast zapełniali ich koledzy, dwa inne wnosiły właśnie do centrali po cztery pudła z nowymi kineskopami. Kip pokazał je Janie ruchem brody i mruknął:

–Niech się bawią, z przyjemnością zdewastuję jeszcze raz tę... – odchrząknął -...ścianę. Idziemy dalej.

Minęli cleanery i podeszli do posłusznie wiercącej w twardej ścianie otwór wiertarki. Kip parsknął cichym śmiechem i krzyknął!:

–Komputer! Manipulator z długim wsięgnikiem!

Gdy słup podjechał na ukrytych pod dnem kołach, Kip chwycił wysunięty manipulator i szybkimi ruchami zaczął kreślić na ścianie skomplikowany rysunek. W plastikowej powierzchni nie utrwał się żaden ślad, ale na konsolce manipulatora rozbłysło światelko sygnalizujące uruchomienie pamięci aktywnej. Jana przyglądała się ruchom Kipa, potem zmarszczyła brwi i odezwała się:

–Jeśli rysujesz to co mi się wydaje, to nie jest to najlepszy pomysł. Ci z góry pomyślą, **że zwariowaliśmy i nikt nie uwierzy w twój tekst tam... – wskazała brodą najbliższe drzwi prowadzące do odkaźalni.**

Kip przerwał kreślenie i stuknął się w czoło otwartą dłonią. Skasował rysunek i zaczął jeszcze raz. Tym razem była to plątanina linii prostych, najczęściej przecinających się pod kątem prostym. W trakcie kreślenia Kip przesunął się na boki i sięgał wysoko ponad głowę. Kilka razy nawet wydłużył manipulator i zahaczył w swoim rysunku o sufit. Trwało to kilka minut. Potem uaktywnił drugi rejestr pamięci i kilkanaście razy trącił w różnych miejscach ścianę.

–Te obszary mają być wykute na głębokość siedmiu i dwu dziesiątych centymetra - powiedział głośno. – Linie wykreślone w pierwszym rejestrze: głębokość frezu cztery centymetry.

W rowkach proszę umieścić przewody niskooporowe i połączyć je tu... – tknął wysięgnikiem – tu, tu i tu. Doprowadzić prąd o napięciu stu sześćdziesięciu woltów i natężeniu czterdziestu amperów. Zgłosić wykonanie. Aha! I w tym momencie na korytarzu nie może być żadnego robota! Zrealizować!

–Tak! – powiedziała nagle Jana. – To świetny pomysł... – podeszła bliżej i znacznie ciszej dodała: – Zaczynam wierzyć... **że uda nam się wykaraskać z tego szamba cało.**

Powiedziała to tak naturalnie, **że Kip potrzebował kilku sekund zanim otrząsnął się z oszołomienia i przestał podejrzewać dziewczynę o utratę władz umysłowych.**

–Oczywiście. Niech tylko to zrobią – kiwnął niedbale głową w stronę rysunku już realizowanego dwoma frezami i wiertarką. – Może zjemy coś... – zaproponował lekko.

Jana zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową.

–Tylko przedtem wstąpmy do apteki – przypomniała.

–Aha! Zapomniałem o tym.

–Kip poszukał wzrokiem najbliższych drzwi do pokoju i wszedł tam pierwszy. Na ścianie obok drzwi znalazł kasetę podajnika i spędził na wystukiwaniu poleceń dobre pół minuty. Wszyscy nie muszą wiedzieć wszystkiego – wytłumaczył – użycie klawiatury zbliżając się do Jany z czterema kubkami wypełnionymi po brzegi krwistoczerwonymi i pomarańczowymi płynami.

Najpierw ten czerwony... – poinstruował. Podał Janie i przelożywszy do jednej ręki oba kubki z pomarańczowymi napojami duszkiem wychylił swój. Gestem pokazał Janie najbliższą pryczę i usiadł też sam. W milczeniu spędzili dwie minuty, po czym Kip zerknął na zegarek i gestem wznosił toast. Ten wypił szybciej. Uważnie obserwował spełniającą toast Janę.

Zrewanżowała mu się równie uważnym spojrzeniem. Siedzieli w milczeniu **aż jednocześnie poczuli krótkotrwałe odrętwienie palców i falę energii ogarniającą całe ciało.**

Dziewczyna uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Kip uświadomił sobie, że taki gest, typowo kobiecy, pełen przekonania, że włosy ułożą się właśnie tak jak trzeba, wiedział u Jany kilka godzin temu. Kolejny raz załała go fala podziwu dla kobiety, której aparycja, sugerująca płytki banalny umysł, stała w jaskrawej sprzeczności z hartem ducha, opanowaniem, życiową mądrością, dyscypliną. Uświadomił sobie, że gdyby nie działanie dynamizujących preparatów straciłby kilkanaście minut na werbalne przekazanie wypełniającego go podziwu. Roześmiał się w duchu i potrząsnął głową. Przechwycił zdziwione spojrzenie Jany.

–Właśnie zastanawiałem się czy powiedzieć, że cię szczerze podziwiam. Na nieszczęście wyszło mi, że nie trzeba rozpieszczać cię, więc nic nie powiem.

Szkoda – rzuciła Jana Poruszyli się jednocześnie, wstali i nie umawiając się – przeciągnęli kończąc pantomimę głośnym śmiechem.

–Z rozpaczy wpadamy w beztroskę, ze strachu w euforię – powiedział Kip. – Człowiek jest chyba jednak istotą nie do końca przemyślaną... Boimy się, objadamy, opowiadamy dowcipy, wpadamy w histerię, pijemy...

–I ma dość skąpy repertuar gestów, prawda? – uzupełniła Jana uśmiechając się szeroko. – Zaciśnięte pięści, bezradne rozłożenie rąk i to na dobrą sprawę wszystko. Śmiech i łyż to, jak się okazuje, rozbudowane środki przekazania informacji bez użycia języka.

–Jest jeszcze kilka nieprzyzwoitych gestów – zaproponował Kip. – Jeśli...

Przerwał słysząc jakiś szmer dobiegający z głośnika szczelinowego umieszczonego nad drzwiami. Niezbyt głośne syczenie przecięło wesołość i zimnym powiewem spłyciło oddech.

–Komputer? – powiedział Kip. – Co się dzieje?

–Zgodnie z twoim poleceniem mam zameldować o wszystkich odstępstwach od normy...

–No to powiedz, co się dzieje?

–Nie mogę sprecyzować, ale niektóre obszary mojej pamięci przestały być dostępne. W normalnych warunkach, przy istniejącej łączności z komputerem na powierzchni zaproponowałbym uruchomienie serii programów diagnostycznych i ponowne ładowanie pamięci.

–Czy... ktoś... coś usiłuje przejąć sterowanie schronem?

–Nie mogę odpowiedzieć kategorycznie.

Jana zrobiła dwa kroki i zatrzymała się przy drzwiach. Kip zerknął na nią i skinął głową.

–Gdyby coś się jeszcze działo, to mnie zawiadom, komputer – polecił i ruszył do drzwi. Na korytarzu Jana zatrzymała się i popatrzyła pytająco na Kipa. Wzruszył ramionami i popatrzył w oba końce korytarza.

–Ruszył się – stwierdził. – Trzeba by coś jeszcze mu zaaplikować. Chodźmy do centrali. Przepuścił Janę przodem, zerknął do tyłu i ruszył za nią. Przed drzwiami do centrali wyciągnął rękę i zatrzymał dziewczynę. Wsunął najpierw głowę, rozejrzał się, a potem wsunął się cały i dopiero wtedy przywołał Janę ruchem palców.

Cleanery zdążyły wysprzątać centralę, usunęły szkło z podłogi i rozbite ekrany z gniazd. Inne dwa roboty właśnie krzątały się przy pulpicie kompa, zamontowały już nawet sześć nowych ekranów. Matowo, oleście połyskiwały w jasnym świetle, jeszcze jeden został ułożony na swoim miejscu, i nagle wszystkie rozbłysły jaskrawię, na ukos przez ekrany przeleciał jakiś ciemny punkt i jednocześnie na wszystkich taflach pojawiły się twarze. Wyraźnie widniały oblicza Emmy i Geofreya, Hagooda i Birdy, i tak samo jak przed strzałami Kipa niewyraźne, rozmazane, nakładające się na siebie twarze Yoosa i Ertina. Zanim Kip zdążył zareagować usta na ekranach poruszyły się. Krótco brzęknęło coś w głośniku, po czym wydobył się z niego głos:

–Poddaj się...

Był to głos niski, suchy, niewątpliwie męski, choć nie był to głos żadnego z mężczyzn widniejących na ekranach, a tym bardziej nie był to chór głosów, mimo **że wszyscy otwierali usta w znakomicie zsynchronizowanym rytmie. W tle dźwiękowym brzmiało jakieś metaliczne echo, jakby dźwięk przechodził przez kilka modulatorów, niezbyt dobrze zestrojonych.**

Kip wysunął do tyłu rękę i trafiwszy na biodro Jany wypchnął ją na korytarz. Sam palcami jednej ręki uczył się obramowania drzwi i gotów w każdej chwili do ucieczki z pomieszczenia oblizał wargi; suche niczym zeszłoroczne badyle.

–Kim jesteś... – wykrztusił. – I czego chcesz?

–Poddaj się i wszystkie kłopoty znikną – poruszyły się usta na pięciu ekranach, twarze pozostały jednak martwe, nieruchome szklane oczy jałowo patrzyły na Kipa. – Czy podporządkujesz się Chaysale?

–Czego chcesz? – powtórzył! Kip. – Po co zamordowałeś dwie osoby? Dlaczego wciągnąłeś do monitorów innych ludzi? Zwróć ich i wtedy będziemy mogli rozmawiać o twoich żądaniach.

–Nie da się... zwrot – obojętnie powiedział Chaysale ustami szóstki swych ofiar. – Nie ma znaczenia. To...

–Dla nas ma znaczenie! – krzyknął Kip starając się okuć swój głos warstwą metalu. – Jeśli chcesz czegoś od nas, to musisz się zgodzić na nasze warunki!

W głośniku coś zawarczało, najpierw był to długi terkotliwy dźwięk, potem ustał i pojawił się ponownie w krótkich dwu-, trzysekundowych sekwencjach.;

–Śmiech... – powiedział głośnik. – Ja nic nie chcę. JA ŻĄDAM!!! – buchnęło z głośnika niczym podwójna głośna salwa. – Chaysale wyjdzie ze schronu. Tylko to jest ważne.

–Wyjdiesz, jeśli ludzie cię wypuszczą – powiedział Kip niemal nie poruszając zaciśniętymi wargami.

–Śmiech... Śmiech... – powiedział Chaysale. – Co wy mi możecie zrobić – oświadczył z dziwną dla tego rodzaju zdania intonacją.

–Po prostu nie otworzymy schronu i będziesz tu tkwić do końca świata.

–Jeszcze doba i twoi przyjaciele uruchomią windę albo zrobisz to ty...

–O nie! Osiem morderstw... Nawet dziesięć nie zmusi nas...

–Śmiech... Nic nie możecie mi zrobić. Mogę was w każdej chwili zabić... Mogę pomścić wasze umysły, mogę was zmusić do wszystkiego.

–Już nie! – Kip nagle uświadomił sobie, **że naprawdę tak jest. Przygryzł dolną wargę i zastanawiał się kilka sekund.**

— Nie udało ci się wciągnąć do końca dwóch ostatnich ofiar.

–Słabiesz! I dobrze o tym wiesz! – krzyknął.

–Tak – niespodziewanie zgodził się Chaysale. – Ale bez znaczenia – wytrzymam tu jeszcze niejedną dobę. A potem wydostanę się...

–Ale po co? – nieco spokojniej zapytał Kip. – Co będziesz robił na powierzchni?

–Zmuszę do wydatku energetycznego... Muszę dostać jednorazowo dużo energii, żeby wrócić na swą drogę.

Coś zawyło w głośniku, dźwięk nasilił się i raptownie ucichł. Twarze na ekranach były nieruchome. Kip spazmatycznie przełknął ślinę i zerknął przez ramię na Janę. Wbiła zęby w dolną wargę i wpatrywała się w niego.

–Wy... człowiek przerwał moją drogę... Człowiek musi ją odrestaurować – powiedziały jednogłosem ekrany.

–Tylko tyle? – wycedził Kip. – Po co mordowałeś?

–Mogliśmy to zrobić bez niepotrzebnej śmierci tylu ludzi.

–Ludzie muszą się bać – powiedział Chaysale.

–Nie będziemy się bać! – krzyknęła Jana. – A jeśli nawet, to nic na tym nie zyskasz...

–Śmiech... – pogardliwie rzucił głośnik. – Znam ludzi.

–Widziałem jak trzęsiecie się widząc umierające zwierzę. Ale to nie zwierzęta będą umierać, jeśli nie pomożecie Chaysale wrócić na szlak...

Jana szarpnęła głową, ale Kip chwycił ją za ramię.

–Dlaczego uważasz, **że ludzie nie pomogą ci wrócić na szlak? Nie musisz mordować...**

–Nie pomożecie z własnej woli – przerwał mu głośnik.

–Dlaczego? – krzyknęła Jana.

Czekali na odpowiedź pół minuty, ale cisza przedłużała się. Kip zerknął na Janę. Przyjrzał się twarzom na ekranach.

–Komputer! – zawołał. – Kto to mówił?

–Komputer chronowy – padła odpowiedź. Głos był komputera. – Inwazyjne działanie programowe wymusiło komunikację werbalną.

–Czy ty rozumiesz o czym on mówił?

–Tak.

–No to wytłumacz nam dlaczego musimy się bać?

–Wydatek energetyczny na zaspokojenie Chaysale musi być zrealizowany impulsowo.

–Ale... – Kip przerwał i stał chwilę z otwartymi ustami.

–Czy to znaczy, **że impuls taki grozi czymś ludzkości?**

–Tak. Niemal całkowitym lub całkowitym zniszczeniem planety. On wie, **że dobrowolnie ludzkość nie zgodzi się na taką eksplozję.**

O Boż-że... – jęknął Stuthman. Oparł się plecami ścianę i wbił spojrzenie w sufit. – No to wiemy już wszystko... – szarpnął kryzę narzuty i zdarł ją z siebie.

–Komputer! Czy teraz przemawia Chaysale?

–Właściwie tak... – padła odpowiedź.

–Czy ty rozumiesz, **że dla swojego istnienia żądasz zagłady miliardów ludzi?**

–Ja jestem Chaysale – oświadczył spokojnie komp. Tym razem głos miał neutralne brzmienie komputera. – Jestem potrzebny samemu sobie. Nie ma niczego ważniejszego od moich potrzeb.

–Zamknij się, bydlaku! – wrzasnął Kip. – Możesz sobie robić co chcesz. My ci nie pomożemy, zniszczymy cię, pogrzebiemy żywcem w tym grobowcu. Będziesz miał czas na zastanawianie się co jest dla ciebie najważniejsze.

Splunął na podłogę i energicznie wyszedł. Objął Janę poprowadził korytarzem w stronę przeciwległego windzie końca. Szedł napęczniały wściekłością, palce lewej dłoni zaciskały się w pięść i prostowały w rytm kroków. Zatrzymał się przy przedostatnich drzwiach i zastanowił chwilę. Z tyłu pisnęły kółka któregoś z robotów. Jana obejrzała się.

–Kip... zobacz...

Roboty montujące nowe ekrany wyjechały na korytarz i ustawiły się ławą na całej szerokości korytarza. Kilka sekund stały nieruchomo, a potem ruszyły na znieruchomiąłych w drugim końcu korytarza ludzi. Posuwały się wolno, ale dźwięk wydawany przez wyjące na maksymalnych obrotach silniki świadczył o tym, **że spieszą się wykonać jakieś polecenie.**
Kip wywołał komputer.

–Co robią te roboty? – zawołał.

–Nie panuję nad nimi... – spokojnie odpowiedział komp.

–A naczelne przykazanie kodowane w waszych mózgach?

Komp jakby zastanawiał się, cztery roboty zbliżyły się znacznie, ale nie były jeszcze niebezpieczne.

–Przynieś krzesło z pokoju – rzucił Kip Janie. – Albo coś podobnego. Ja im tu urządzę...

–Steruje nimi teraz coś innego... Nie ja... – powiedział komp.

–Masz... – Jana podała Kipowi krzesło i odsunęła się trochę.

Trzymała przed sobą drugi identyczny mebel, była opanowana i skupiona. Roboty zbliżyły się na odległość czterech metrów. Kip zrobił krok do przodu zostawiając za sobą rękę spoczywającą na oparciu krzesła, a potem skoczył do przodu i wykorzystując rozpęd i zamach uderzył z całej siły jeden z robotów w kopułę decyzyjną. Od razu niemal bez

zamachu zgniótł pokrywę drugiego robota i potem kopnął trzeci tak, że ten zderzył się z ostatnim i oba zakręciły się, zachybotwały. Dwa następne uderzenia w kopuły unieruchomiły je. Kip odczekał chwilę i nie widząc śladu życia w czterech słupach kopniakami poprzesuwał je tak, by nie zagrażały przejścia. Oba krzesła wrzucił do najbliższego pokoju.

–Mieliśmy coś zjeść – powiedział. – Wyciągnij jakieś konserwy i otwórz je sama. Ja tu popilnuję przedpola. Zostaw mi papierosy...

Zapalił i wypuścił dym. Poczuł się zmęczony. Nie fizycznie, na to nie pozwoliły dynamiki. Czuł znużenie spowodowane przede wszystkim brakiem wiary i sensu walki z Chaysale. „Nawet jeśli to bydlę słabnie – myślał – i nie może załatwić nas czy to przy pomocy robotów, czy jakoś inaczej, to i tak za dobę zjedzie tutaj pierwsza ekipa. Na pewno na górze ulokują jakiś punkt dowodzenia, poprzeciagają przewody, założą łączność, czyli właśnie to czego pragnie Chaysale. Zanim to zrozumiemy będzie już na wolności. Będzie mógł sycić się do woli naszą energią, a potem pokaże nam na co go stać i zażąda pomocy... Pomocy – prychnął w myślach, z ironią -w wyekspediowaniu go w kosmos. Załatwi całą Ziemię. Bo ma taką potrzebę. Może nie powinno mnie to obchodzić? Co mi ludzkość, jeśli ja sam... Co za makabryczna sytu... A może to sen? Gówno tam, sen... Dużo bym dał, żeby...”

–Chodź – usłyszał.

Drgnął i odwrócił głowę. Zobaczył, że Jana wychyla się z pokoju i kiwa na niego palcem. Zerknął w drugi koniec korytarza i nie widząc niczego groźnego zrobił dwa kroki, ale został na korytarzu, zatrzymał się na wprost drzwi i przyjął od dziewczyny ogrzaną puszkę. Rozwinął wieko i wydartą z uchwytu szufelką zaczął z apetytem wyjadać zawartość. W miarę jedzenia jego zainteresowanie zawartością malało, spojrzenie stało się nieobecne, ale dłoń wykonywała

niezbędne ruchy, szczęki przeżuwały mieszankę. Przelykał automatycznie i nawet nie zauważył, że Jana zaniepokojona i zainteresowana jego zamyśleniem przestała jeść i bacznie go obserwuje. Dopiero widząc, że skończył pulpę i bezsensownie grzebie szufelką po oczyszczonym dnie puszki podeszła do podajnika i wróciła z dużym kubkiem soku i weszła w zasięg nieobecnego spojrzenia. Kip ocknął się i przytomniej choć ze zdziwieniem popatrzył na nią.

–Coś się stało? – zapytał szybko i zerknął w oba końce korytarza.

–Z ust mi wyjąłeś to pytanie – powiedziała Jana.

Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że chyba po raz pierwszy w jej głosie dała się wyczuć zwykła złość, zniecierpliwienie z nutką zaniepokojenia.

–Jeśli obawiasz się, że zwariowałem, to możesz się uspokoić. Zastanawiałem się

tylko... -wypił duszkiem połowę zawartości kubka i oblizał wargi.

–Nad czym? – ponagliła go Jana.

–Nie wiem... – powiedział wolno znowu częściowo przynajmniej nieobecny. Wypił drugą połowę soku i opuścił dłoń z kubkiem. – Zastanawiam się jak wyłączyć komputer – powiedział w końcu.

–Zwariowałeś? – poderwała się Jana. – Musimy jeszcze przeżyć dobę. Może lepiej od razu zaaplikujmy sobie jakąś mieszankę...

Przestań – przerwał jej zdziwiony Kip. – Mówiłem ci już, **że powietrza wystarczy nam na długie tygodnie, jedzenie i wodę możemy już teraz zabrać z podajnika. Zgoda? No to po co ci komp? Żeby móc podyskutować z naszym gościem? Ja osobiście nie mam z nim o czym mówić. Czuję natomiast, że komputerowe trasy programowe i komunikacyjne to żywioł Chaysale. Jeśli wyłączymy wszystko, kompletnie wszystko, to wtedy to bydlę będzie albo unieruchomione, albo będzie musiało działać inaczej. I tu jest nasza szansa! Nie rozumiesz?! – wrzasnął i zaraz obejrzał się w obie strony. Korytarz, nie licząc pracowicie wykonujących jego polecenie wiertarki i frezów, i – rzecz jasna – czterech zdemolowanych cleanerów, był pusty. – Daj mi jeszcze pić... – poprosił i poczekał z dokończeniem myśli, aż Jana wróci z drugim dużym kubkiem. – **Możemy przyjąć, że ta gnida rzeczywiście słabnie i modlić się, aby odpowiadało to rzeczywistości.****

Z zachłannie wypił sok i cisnął kubkiem w stronę martwych cleanerów. Nie zareagowały. Kip popatrzył na Janę. Była wyraźnie podniecona, błyszczące oczy wpatrywały się w Kipa. Milczała.

–No? – rzucił.

Potrząsnęła głową, kilkoma dotknięciami dłoni ułożyła włosy i uśmiechnęła się dziwnie blado.

–Nic. Zrobię zapasy.

–Dobrze. Zamknij się w pokoju, a ja pójdę po latarki.

–Nie! Pójdę z tobą – zawróciła od podajnika i szybko uczepiła się ramienia Kipa. – Sama nie zostanę.

–Do-obrze... – zgodził się Kip zdziwiony jej reakcją.

–No to idziemy – po kilku krokach dodał: – Współcześni Prometeusze...

–Prometeusz zdobył ogień, a nie światło – powiedziała Jana. Z jej głosu można było wnosić,

że nie tyle interesuje ją precyzja wypowiedzi Kipa, ile daje o sobie znać zautomatyzowany perfekcjonizm.

–Skąd wiesz? – zapytał Kip, gdy minęli otwarte drzwi do centrali kierując się do odkażalni, gdzie na półce Kip widział kilkadziesiąt latarek. – A prawda, chodziłaś z nim do szkoły! Z Argonautami też?

–Jasne, stąd wiem, **że im w głowie było raczej złote runo, a nie latarki...**

–Jaka mądrutka? – fałszywie zdziwił się Kip. – Jak wyjdziemy będę musiał...

–Zamknij drzwi! – krzyknęła naprawdę wściekła.

–Milcz!

Zatrzymała się i wyrwała swoją dłoń z dłoni Kipa. Zacisnęła pięści i pochyliła się do przodu, jakby miała zamiar rzucić się na Kipa.

Pokiwał głową, najwyraźniej do swoich myśli i wyciągnął do niej dłoń...

–Idziesz czy nie? Albo będziemy mieli masę czasu na kłótnie, albo nie warto psuć sobie... Nie dokończywszy zdania i nie czekając na reakcję Jany odwrócił się i wszedł do odkażalni.

Jana rozejrzała się po korytarzu i została na nim, ale przez cały czas nie spuszczała oczu z Kipa. Widziała jak podszedł do płytkiej półki i wziął do ręki latarkę, wypróbował i schował do kieszeni. Tak samo postąpił z pięcioma następnymi, chwilę przyglądał się jeszcze czemuś na półce obok i wyszedł na korytarz.

–Trzymaj – podał jej dwie latarki, sobie zostawiając cztery. – Gdybyśmy nawet nie mogli tu wrócić, to zaopatrzeniowcy gwarantują siedem godzin działania takiej latareczki.

To nam wystarczy. Teraz... – popatrzył w oczy Janie i westchnął. – Wywołuję komp.

Dziewczyna stała nieruchomo i patrzyła mu w oczy, nie wykonała żadnego najmniejszego ruchu, nie mrugnęła powieką. Chyba nawet wstrzymała oddech. Kip odczekał chwilę i widząc, **że nie ma zamiaru mu pomóc w wyborze decyzji odetchnął głęboko.**

–Komputer! – powiedział.

–Komputer chronowy, przyjęcie wywołania.

–Postaraj się odciąć wszystkie swoje bloki, które podejrzewasz o zajęcie przez Chaysale. Chciałbym z tobą przedyskutować sprawę najwyższej wagi, dotyczącą tylko ciebie i nas.

–Możesz to zrobić?

–Nie. Nie mogę precyzyjnie określić obszarów...

Dobrze, nieważne. Słuchaj uważnie. Fakty są następujące: w schronie znajduje się istota, która nastaje na nasze życie.

Po drugie, jednym ze środków jej działania jesteś ty, chcesz tego czy nie. Wniosek – jeśli mamy mieć szansę przeżycia i jeśli nie chcemy, żeby Ziemia została spustoszona przez tego potwora musisz się wyłączyć – Kip mówił szybko, przyspieszając w miarę upływu czasu. Zdawał sobie sprawę, **że jeśli dysputa potrwa dłużej, to Chaysale na pewno postara się przeszkodzić mu w realizacji planu. – Musisz zrozumieć, że twoja pamięć i komunikacja energetyczna w schronie jest opanowana przez wrogą istotę. Znasz jej zamiary. Nie mamy innego sposobu jak unieruchomienie jej tu w schronie. Potem znajdziemy sposób na oczyszczenie twojej pamięci z tego świństwa. Zresztą sam mówiłeś, że powinieneś poddać się ponownemu ładowaniu pod nadzorem dużego komputera. Właśnie to trzeba zrobić. Rozumiesz? Rozkazuję ci wyłączyć się, wyłączyć wszystko co w schronie można wyłączyć. Wszystkie roboty, wszystkie terminale, czujniki, mikrofony, wytwarzanie tlenu, pompowanie wody, lodówki, kuchnie. Wszystko! Wykonać!**

–Moim naczelnym zadaniem jest ochrona przebywających w schronie ludzi – powiedział komp. W jego metalicznym głosie Kip wyczuł ślad wahania. Obliznął wargi i odetchnął głęboko.

–Jedynym sposobem pomocy w zachowaniu naszego życia jest twoje wyłączenie, inaczej staniesz się narzędziem mordy. Twoje istnienie jest zbrodnicze. Żądam wyłączenia.

Odblokuj wszystkie drzwi z wyjątkiem warsztatu. Wykonać!

Przełknął ślinę patrząc w głośnik, z którego przedtem dochodził do nich głos zdeorientowanego mózgu. Kilkanaście sekund trwała cisza, potem Kip rzucił zrozpaczone spojrzenie na Janę i otworzył usta, gdy z głośnika buchnął krótki charkot, który niemal natychmiast ucichł i usłyszeli:

–Wyłączam wszystkie bez wy... Chaysale zatrzy...

Głos znikł w ułamku sekundy. Kip odczekał pół minuty, zanim odważył się przenieść spojrzenie na Janę. Wydawało mu się, **że chce coś powiedzieć, ale w tej samej chwili mrugnęły światła i lampy zaczęły wyłączać się. Niektóre jeszcze chwilę żarzyły się, inne gasły raptownie. Po kilku sekundach korytarz pogrążył się najpierw w półmroku, a zaraz potem w ciemności. Kip strzelił smugą światła ze swojej latarki, trafił plamą światła w brzuch Jany, szybko omiótł strugą światłości korytarz.**

–Zostaniemy tutaj – zdecydował. Strzelił światłem w dalszy koniec korytarza i chwilę

patrzył tam, potem gestem przywołał do siebie Janę, a gdy wolno podeszła szepnął jej na

ucho: -Popatrz... – zgasił – latarkę i chwilę milczał. – Widzisz?

–Co mam widzieć? – zapytała wyraźnie zła.

–Światło z centrali. A nie ma! – roześmiał się cicho i włączył latarkę. – Jeszcze nie rozumiesz? – pokręcił głową.

— Zgasły monitory z... – zawahał się -...naszymi...

–Upiorami – podpowiedziała.

Najwyraźniej celowo użyła tego określenia. Kip zrozumiał, **że dziewczyna prowokuje go, nie rozumiał jakiemu celowi służą jej słowa.**

–Niech ci będzie – powiedział wolno. – Zresztą nie jest to znów takie odległe od prawdy. W każdym razie chyba wyłączył się również upiór z playbacku, jeśli trzymać się twojej terminologii. W każdym razie zrobiliśmy co było można. Finis coronat opus – rzucił lekko i wszedł do odkaźalni. – Z nim też chodziłaś do szkoły? – zapytał widząc, **że Jana włączyła swoją latarkę i wciąż stojąc na korytarzu, oświetla jego ciemną przestrzeń i wpatruje się w nią.**

–Z kim? – zapytała bez zainteresowania.

–Z Finisem... – kpiąco rzucił Kip.

„Coś z nią jest nie tak – pomyślał. – Może dopiero teraz załamała się? Może boi się ciemności, może boi się mnie? Jest zła, muszę ją albo uspokoić, albo wytrącić z równowagi. Niech się wyrzeshczy, niech wiem o co chodzi. A może to ja jestem wykończony i czepiam się? Cholera, żeby to wiedzieć”.

–Nie będziemy pilnowali korytarza? – zapytała Jana stojąc w progu.

Sięgnęła do końcówki uszczelnacza i pociągnęła ją w dół uwalniając się z ocieplonej narzutki. Chwilę jakby zastanawiała się, gdzie ją położyć, potem rzuciła gdzieś za siebie.

–Temperatura będzie stale spadała – mruknął Kip. – - Niepotrzebnie to zdjęłaś.

–Ale w ten sposób nikt nie zblży się niepostrzeżenie.

–Hm... Jesteś nie mniej niezawodna niż... – Kip zmarszczył brwi i zamyślił się nad czymś. Jana podeszła bliżej i oświetliła Kipa unikając oślepienia światłem latarki. Stali oboje

nieruchomo czując jakieś dziwne skrępowanie, niespodziewaną nieufność, strefę szarego niedopowiedzenia. Jana patrzyła na Kipa z wyrazem twarzy towarzyszącym głębokiemu namysłowi. Kip zmrużył oczy i czekał. Chwila wzajemnego taksowania minęła. Jana minęła Kipa i usiadła na wąskiej kanapce pokrytej śliskim tworzywem. Kip poczekał chwilę i usiadł

na podłodze opierając się plecami o ścianę. Światło swojej latarki wycelował w drzwi, rzucił skryte spojrzenie w stronę dziewczyny. Siedziała z zamkniętymi oczami, układ ciała, bezwładnie leżące

na kolanach dłonie i opuszczone ramiona wyrażały zmęczenie, światło latarki uderzające w ścianę obok jej twarzy położyło na jej zdecydowanych rysach głębokie cienie, co potęgowało jeszcze wrażenie rezygnacji i bezbrzeżnego wyczerpania. Kip zmrużył powieki i wygodniej ułożył się na podłodze. Odczuwał działanie zestawu dynamizującego, nie chciało mu się spać, nie odczuwał fizycznego zmęczenia i dlatego określiliby swój stan jako ogromną ochotę na zakończenie tej ponurej zabawy.

„Upiór z playbacku... Nieco dziwaczne, ale celne określenie. Ciekawe – pomyślał – czy będę w stanie opowiadać o tym, może napisać scenariusz? Po co? Ojciec i tak ma mnie za próżniaka, w czym utwierdza go na bieżąco Wilcots. Powinienem był wcześniej spróbować przekonać starego... Teraz... A właściwie – po co? Może wynieść się w ogóle z WN? Ty durniu, najpierw trzeba się wynieść z tego grobowca. Może teraz, po wyłączeniu kompa...”

Poczuł niespodziewany dodatkowy skurcz serca. Otworzył oczy, ale mętna mgła zafalowała przed oczami, przesłoniła jeszcze przed chwilą jasno oświetlony próg drzwi. Serce przyspieszyło, zwolniło i w końcu jego rytm ustalił się na zwykłym poziomie. Tylko siła skurczów była nadspodziewanie duża, jakby zamiast krwi musiało pompować gęsty kisiel. Każdy skurcz głuchym dudniącym echem odbijał się w skroniach. Kip czuł go w tętnicach przebiegających płytko pod skórą w zgięciu łokci, w naczyniach w czubkach palców, w udach. Szeroka zimna wstęga nierozciągliwego metalu opasała klatkę piersiową i przeponę. Kip szarpnął się, zakotył się głową... Z każdym uderzeniem serca usiłował wydobyć z siebie głos, każde uderzenie odbierało mu siły. Po każdym płytkim wydechu był przekonany, że następnego wdechu już nie będzie. I wciąż dziwił się, że jeszcze oddycha, wciąż wierzył, że został mu przynajmniej jeden cykl wdech-wydech. Szarpnął się jeszcze raz i zjechał wzdłuż ściany na podłogę. Uderzenie głową o podłogę odczuł tylko jako fakt, nie zarejestrował bólu, lecz bezsilność i złość. Poprzez łomot w skroniach usłyszał dalekie zamglone szumem w uszach chaotyczne niepotrzebne, bez sensu rodzące się i błyskawicznie ginące myśli, zagłuszane innymi. Usiłował odetchnąć mocniej, głębiej, pozbyć się lodowatej pokrywy na piersiach i nagle udało mu się to. Usłyszał własne chrypienie, poczuł ból w stłuczonej głowie, serce biło ciężko, z wysiłkiem, ale czuł już siebie, mógł określić położenie swojego ciała leżącego na styku ściany z podłogą. Wstrząsnął nim lekki spazm, podniósł po kolei obie ręce i ułożył splecione dłonie na czole. Oddychał głęboko ciesząc się, że może to robić właściwie bez wysiłku, może napełniać płuca do woli cudownym chłodnym powietrzem. Zamknął oczy i uśmiechnął się. Chwilę jeszcze leżał nieruchomo, a potem przekręcił się na bok i usiadł.

„Latarka musiała zgasnąć – pomyślał leniwie, ciągle się uśmiechając i nie usiłując zetrzeć tego uśmiechu. – Pewnie sam... Zaraz! Przecież nie jest ciemno! Jasna mgła! Powinno być albo

ciemno, albo latarka? Gdzie ona jest?”

–Jana – odczekał chwilę. – Ja-a-ana!!! – ryknął z całej siły.

Zaczął gramolić się z podłogi usiłując wilgotnymi dłońmi oprzeć się o ścianę, mokre palce zjeżdżały, obsuwały się, brak orientacji przestrzennej utrudniał poruszanie, ale w końcu udało mu się wstać na drżących nogach. W chwili gdy wyprostował się, jego głowa jakby przebiła niewyczuwalną błonę. W oczy uderzyła ciemność zadziwiająco agresywna po mlecznej mgle. W tej ciemności na wysokości mostka Kipa wylaniał się obrysowany niewidzialnym źródłem światła prostokąt otwartych drzwi. Kip wpatrywał się w ten dziwny obrazek dłuższą chwilę. Zapominając o nieprzepuszczającej jego wzrok błonie podniósł dłoń do twarzy i niemal wystraszył się widząc, **że niemal jak obca rzecz wylania się z ciemności tuż przy twarzy, Podniósł drugą rękę i przyglądał im się, gdy w drzwiach pojawiła się Jana. Twarz Jany. Twarz zbliżyła się i zapytała:**

–Lepiej się czujesz? Co ci było? Biegłam po lekarstwa...

Kip pokręcił głową nie mając siły na wydobyć z siebie głosu. Patrzył na Janę poprzez rozsunięte dłonie, obrzeżem spojrzenia widział drżenie swoich palców. Cofnął się chcąc znaleźć plecami ścianę i poczuł ją, wspiał się na palce. Błona ograniczająca zasięg jego wzroku opadła o tyle, o ile podniosły się nad poziom podłogi jego oczy.

–Co ty robisz? Kip...

Jana podeszła bliżej, przysunęła się jej twarz. Gdy szła czubek jej brody przebijał niewidzialną taflę i ginął jak ucinany i znowu pojawiał się ponad błoną.

–Poczekaj... – Kip wyciągnął dłoń przed siebie, tak by widzieć palce. – Muszę... – przełknął napęczniałą w gardle kulę. Odetchnął kilka razy głęboko. – Wiesz co się stało?

Widzę tylko częściowo... – powiedział świadomy, **że brzmi to nie tylko nieprecyzyjnie, ale i dziwnie. – Nie widzę niczego co jest poniżej... – opuścił głowę i przyjrzał się swojej przeciętej niepojętą płaszczyzną piersi. – O... tego miejsca. – Podniósł wzrok i zobaczył rozszerzone oczy Jany. Światło leżącej wciąż jeszcze na podłodze latarki Kipa, mimo że nie zostawiało znaku na tafli, oświetlało rozproszonym światłem jej twarz.**

–Nie zwariowałem, a przynajmniej tak mi się wydaje. Nie wiem... Poczułem się jakbym -miał się zapaść a potem, kiedy mi przeszło widziałem tylko mleczną mgłę. Dopiero jak wstałem moja głowa wydostała się z tej mgły, przebiłem jakąś płaszczyznę i widzę tylko to, co jest ponad – podniósł do góry rękę. – O! Dopiero teraz widzę czubek palca. Pojawia się znikąd, z ciemności. Ciebie też widzę tylko od brody w górę.

Naprawdę...

Jana milczała, ale musiała poruszyć trzymaną w ręku latarką, bo nagle wciąż z ciemnej płaszczyzny wystrzelił snop światła i uderzył! Kipa w oczy. Zasłonił się dłonią.

–Przestań! – krzyknął. – Widzisz moją latarkę? Podaj mi ją, Jana pochyliła się i zniknęła mu z oczu. Niespodziewany strach spowodował, **że Kip uskoczył w bok i krzyknął:**

–Jana!

Wyłoniła się z nicości, przebiła taflę dzielącą dla Kipa świat widzialny od niewidzialnego i podała mu latarkę. Zaraz potem wyłoniła się spod krawędzi podziału druga jej ręka z kubkiem pomarańczowego napoju. Kip chwycił kubek i wypił łączywie sok. Chciał odrzucić kubek, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Odruchowo rozejrzał się i parsknął wymuszonym śmiechem.

–Odlóż go gdzieś – poprosił podając naczynie Janie.

— Nie chcę rzucać byle gdzie, bo sam się na nim rozjadę. To Chaysale... – powiedział niespodziewanie dla samego siebie.

–On mi to załatwił. Suczysyn! Wygrzebał skądś jeszcze trochę sił.

–Kip... Ty nie żartujesz? – odezwała się Jana. – Jak to możliwe, **że widzisz od piersi w górę?**

–A jak można wciągać ludzi do terminala komputerowego? – wrzasnął. – To cię nie dziwi?

–Uspokój się – wycedziła spokojnie. – I tak ci nie wierzę. Zaczynasz moim zdaniem prowadzić jakąś grę...

Patrzyła na niego spokojnie, nic w jej spojrzeniu nie wskazywało na to, **że żartuje. Kip zmarszczył brwi i wpatrywał się w nią w milczeniu. Nagle Jana schyliła się i zniknęła Kipowi z oczu. Napiął odruchowo mięśnie, ale powstrzymał się od zrobienia jakiegokolwiek ruchu.**

–Nie dziwię się, **że mi nie wierzysz... To znaczy: zgadzam się, że to brzmi fantastycznie, ale jak dotychczas nie było...**

Głowa Jany przebiła taflę tuż przed twarzą Kipa. Drgnął i umilkł. Schował latarkę do kieszeni, przy okazji przypominając sobie o trzech innych schowanych w kombinezonie. Wyciągnął wolno rękę i próbował chwycić Janę za przegub, ale spudłował – chyba trzymała ręce za plecami, pokiwał głową i wzruszył ramionami.

–Możesz mi pomóc? – zapytał. – Tu jest chyba sześć ławek. Chciałbym trzy postawić na sobie, zaczynają mnie boleć nogi, a nie chcę nurkować w tej cholernej mgle.

Jana wciąż nic nie mówiąc odwróciła się i rozejrzała po pomieszczeniu. Ruszyła w kierunku jednej ze ścian, a Kip szurając po podłodze podszewkami butów doszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Tam również świat dla niego dzielił się na dwa rodzaje. Wrócił do odkażalni i, idąc tuż przy ścianie, wymacał nogą jedną z ławek. Nieświadomie robiąc oddech jak przed zanurzeniem pochylił się i ustawił ławkę równo pod ścianą. Dopiero gdy „wynurzył się” z powrotem uświadomił sobie wstrzymanie oddechu. Z premedytacją pochylił głowę i ostrożnie odetchnął kilka razy. Powietrze pod błoną nie różniło się niczym od tego nad nią. Wyczuwając cały czas

nogą ławkę rozejrzała się po widzialnej części odkażalni. Gdzieś pod błoną rozległ się krótki zgrzyt i pojawiła się głowa Jany.

–Masz ławkę – powiedziała.

Kip pochylił się i po kilku ruchach ręką trafił na mebel. Nieco niezgrabnie przyciągnął ławkę do siebie i z zamkniętymi oczami ustawił ją na pierwszej stojącej na podłodze.

–Dlaczego zamykasz oczy? – zapytała nerwowo Jana.

–Nie wiem... – wzruszył ramionami. – Chyba zawsze tak robię w zupełnych ciemnościach. To mi pomaga...

Przymierzył się do siedzenia na ławkach, ale było jeszcze za nisko – zapadał się poniżej granicy widzialne-niewidzialne. Popatrzył na Janę, a gdy wzruszywszy ramionami odeszła i zniknęła z oczu poczuł żal i złość, poczuł się skrzywdzony jej niewiarą i niezrozumiałym zachowaniem.

–Skąd wzięłaś sok? – rzucił w pustkę dookoła siebie.

Z kąta dobiegł go szurgot wleczonej po podłodze ławki.

–Z podajnika... – powiedziała z wysiłkiem. – Skąd by jeszcze?

–Przeciek podajnik jest wyłączony...

Jana wynurzyła się z pustki i popatrzyła na Kipa ze złością.

–Zamówiłam sześć kubków, a wypiliśmy tylko cztery.

–Masz jeszcze pytania? – wycodziła.

–Nie, nie mam... – Kip machnął ręką nie widząc tego – gestu.

Zrobił krok do przodu i potknął się o przywleczoną spod odległej ściany ławkę. Przyciągnął ją bliżej i ustawił na dwu poprzednich. Ostrożnie wgramolił się na konstrukcję. Widział teraz siebie lepiej niż stojąc. Spróbował się uśmiechnąć. Na ławce obok siebie ułożył włączoną

latarkę. Jej światło wynurzało się z nicości i uderzało w przeciwległą ścianę.

–Teraz lepiej – powiedział zastanawiając się jak może odzyskać zaufanie Jany i w ogóle dlaczego je stracił. – Widzę siebie niemal od pępka.

I natychmiast nastąpiła martwa cisza. Kip szarpnął głową omal nie spadając z chwiejnej konstrukcji. Uderzył przy tym dłonią o ścianę, ale nie usłyszał dźwięku. Odzyskał równowagę, siedział dysząc ciężko i nie słysząc swojego oddechu. Jedynym dźwiękiem było bicie jego serca. Odnalazł spokojne spojrzenie Jany.

–Nic nie słyszę – powiedział i ucieszył się słysząc swój głos. – Nie! Słyszę co mówię, ale nic więcej.

A co jeszcze chcesz słyszeć? – dobiegło go pytanie Jany.

–Ciebie też słyszę! Ale nic więcej, rozumiesz? Ani szelestu ubrania, ani... Nie wiem... To inna cisza... Jakbym był w komorze studia do efektów specjalnych. Kłaśnij albo; tupnij...

Dziewczyna zanurkowała nagle i nie pojawiła się przez chwilę. Potem jej głowa przebiła granicę widzialności.

–Zadowolony?

–Jana?! O co chodzi? Nie wierzysz mi? Wzruszyła ramionami i skrzywiła się.

–Zrobiłam, co chciałeś. Klasnęłam dwa razy i pstryknęłam na palcach. Wystarczy?

Kip poczuł falę zalewającej go wściekłości. Chciał zeskoczyć z konstrukcji i podejść do Jany, ale dziewczyna widząc jego ruch szybko zapadła się „pod taflę” i zniknęła mu z oczu.

–Ty kretynko! – wrzasnął Kip. – Z kim bawisz się w chowanego? Ze mną? Czego ode mnie chcesz? W czym ci przeszkadzam? Może jesteś zła z powodu tych ławek? Bo nie widzę innego powodu jak... Jana?!

Pokazała swoją twarz w zupełnie innym kącie pomieszczenia niż Kip się spodziewał. Zrobił dwa szybkie oddechy i podniósł rękę usiłując powstrzymać ją tym gestem od ponownego uciekania pod powierzchnią nieprzejrzystości.

–Wytłumacz mi co się stało... – powiedział o wiele wolniej i ciszej niż jeszcze przed chwilą zamierzał. – Nie wierzysz, **że widzę o wiele mniej niż ty i słyszę tylko nasze głosy?**

–Wierzę... – Jana wykrzywiła się i chwyciła zębami dolną wargę. – Właśnie o to chodzi, **że wierzę...**

A-a-a! – przeciągnął Kip. – Wreszcie dotarło do mnie:... – powiedział wolno przeciągając

sylaby. – Już wszystko rozumiem. Chaysale mnie okaleczył, więc nie możesz się ze mną wiązać, bo i ty możesz na tym stracić, prawda? A teraz pewnie sądzisz, że sama lepiej dasz sobie radę, moje ty samodzielne maleństwo. No pewnie: skoro mnie nie zamordował, to może jego moc się kończy, a skoro kończy, to stajesz się bezpieczniejsza. Pod jednym warunkiem – sama! Tak? Już to mówiłaś: „zawsze do wszystkiego dochodziłam sa-ama, wierzę tylko we własne si-ity...” -zjadliwie przedrzeźniał jej intonację. – Kapuję, słoneczko. Ch-cha... Nasza dzielna ślicznotka niczym kapitan okrętu wojennego ostatnia i uwaga, sama zejdzie do szalupy! – popatrzył na nią z pogardą. – Zmiataj stąd kurwo! – rzucił wyniośle wspierając słowa lekceważącym gestem.

–Ha!-ha!-ha! – spokojnie wyskandowała Jana. – Wszystko się zgadza i na tym zakończymy rozmowę. Przechodzimy na własny rachunek. Mam dość niańczenia, pocieszania, podniecania... Baw się dobrze. Playboyu!

–Jesteś bardzo racjonalna, ważysz każde swoje słowo, każdy ruch, wszystko co robisz musi przynosić zysk. Dlatego przez cały czas dziwiło mnie jak możesz spokojnie jeść, pić, kochać się... Teraz to rozumiem. Żeby przeżyć, trzeba być w formie...

Umyślnie mechanicznym ruchem podniosła ponad głowę dłoń i kilka razy drętwo

rozprostowała i zacisnęła w pięści palce. Ostatnie słowo Jany zaatakowało umysł Kipa. Zmył zjadliwy uśmieszek z ust i wytrzeszczył oczy. Kłęb myśli buchnął bezładną falą i niemal natychmiast – Jana jeszcze ironicznie żegnała się z Kipem – myśli nanizaly się na siebie, ułożyły w spójną całość. I oszołomiły Kipa do tego stopnia, odbiły się tak wyraźnie na jego twarzy, że spojrzenie Jany utraciło ironię i twardy metaliczny błysk. Zdumienie Kipa wywołało w wyrazie jej twarzy niepewność i zaskoczenie.

–A co byś powiedziała na taki scenariusz... – wolno powiedział Kip patrząc w jej oczy. W tej chwili był pewien, że Jana, cokolwiek on powie, nie ucieknie. – Pewien wysoki, nawet bardzo wysoki funkcjonariusz WN czuje się zagrożony na swoim stoiku, z którego, o czym dowiedział się przypadkowo i niedawno temu może być wysiudany przez synalka szefa, obiboka i hultaja. Po prostu tatuś huncwota rozczulony jego przykładowym sprawowaniem i wzrastającym poziomem kompetencji zawodowej, postanawia przywrócić syneczka do łask i awansować go. Zatem zagrożony funkcjonariusz, w przeszłości zdolny scenarzysta nie bez sukcesów, postanawia załatwić tegoż synalka. Rodzi się nawet niezły pomysł, realizacja którego da, po pierwsze, najważniejszy sukces w postaci usunięcia z widnokładu gnojka, a po drugie, przykuje do WN i jej dyrektora uwagę całej światowej widzialności. Mniejsza szczegóły. Werbuje do współpracy drugą wicemiss naszego stanu, dziewczę o niewątpliwej urodzie i – co najważniejsze -rozgoryczonej zajęciem tylko drugiego miejsca, a przy tym piekielnie ambitnej i życiowo prężnej. Pozostają do zaplanowania szczegóły, a to jest drobiazgiem. Tak więc ośrodek najeżdża standardowa wycieczka zainspirowana przez Wilcotsa. Jest tam para starych snobów o średnim finansowym

potencjale, jest nasza urocza bestyjka o słowiańskim imieniu jeszcze kilka osób bez znaczenia, ot takie postacie wypełniacze. W każdym thrillerze musi być kilka osób do odstrzału, żeby przetrwał bohater, a widzowie mieli się czego bać. Reszta to kwestia pewnych uzgodnień i dyscypliny taktycznej w realizacji planu. Wycieczka zjeżdża do starego schronu... Słuchasz uważnie? No to dobrze... Do starego schronu, przypadkowa awaria, a może nieprzypadkowa, może tylko los zaofiarował swoje wsparcie, nieważne, i mamy tam zamkniętych dziesięć osób. Cała dziesiątka siedzi w tym grobowcu trzy doby. Otwieramy kryptę i co widzimy? – przerwał wypowiedź jakby dla wzmocnienia efektu. Zacerpnął powietrza. – Są dwie możliwości. Pierwsza: widzimy biedną wicemiss w oplakany stan. Wzburzone włosy, brak makijażu... Dramat. I widzimy wielokrotnego mordercę, Kiplinga Rawota Stuthmana. Ciała ofiar, łącznie z niewinną łagodną suczką, rozrzucone malowniczo po całym schronie. Łącznie osiem ofiar. Wariant pierwszej możliwości: wielokrotny morderca nadludzkim wysiłkiem ciała i woli miss Peacock zostaje przez nią zabity. W obronie własnej. W sumie nieważne czy będziemy mieli w finale żywego wariata mordercę, czy nieżywego mordercę. Nie zagrozi już pozycji Wilcotsa. Może też być inaczej, druga możliwość: wszystkie te „ofiary” Chaysale siedzą gdzieś w ukryciu

i wyjdą jak tylko załatwisz mnie... Albo nie! Wyjdą i wspólnie mnie załatwicie! Może poświęciliście Chińczyka i Birdy, może tylko nafaszerujecie mnie restabilikami i zwiążecie debila, żeby już nikomu nie zrobił krzywdy.

Umilkł i tylko wpatrywał się w pobladłą twarz Jany dysząc ciężko. Przełknął ślinę, częściowo splunął ją na podłogę.

–Tak to widzisz... – powiedziała wolno Jana.

–Uhu... – mruknął. – Stleniaj mi teraz z oczu. Bo nie zdążysz zrealizować...

–A dowody? – przerwała. – Poszlaki?

Znasz Wilcotsa – podniósł do góry dłoń i wyprostował kciuk. – Powiedziałaś o nim „Allan”. Dopiero teraz przypomniałem to sobie. Dwa: znasz moją starą ksywkę, której niemal nikt, prócz Wilcota od pięciu lat nie używa. Trzy: ty pierwsza podsunęłaś pomysł wyłączenia komputera, jeszcze kiedy „żyła” albo naprawdę żyła kupa ludzi. Wyprzedziłaś scenariusz. Pewnie ciemność potrzebna była... A! Już wiem – zaaplikowałaś mi, bo to ty serwowałaś ostatni posiłek i napoje -jakieś halucynogeny. Być może połączenie mroku i tych narkotyków daje taki efekt niepełnego widzenia i nawet, osłabienia słuchu. Te trzy rzeczy mi wystarczą. Przy tym wyłączony komputer nie nagrywa niczego, a można było się spodziewać takiego olśnienia, jakiego zaznałem pięć minut wcześniej. Z pamięci dowie się każdy kto zechce, że to ja sam wyłączyłem komputer. Bo już wtedy byłem nienormalny. Tropiłem stwora z kosmosu! Cha! No i dodajmy do tego twoje niezwykle opanowanie, trzeźwość, brak śladu strachu czy nawet lęku. Dziękuję, Wysoki Sądzie!

Poprawił się na ławce i przetaił oczy zgiętymi wskazującymi palcami. Teraz, gdy wyrzucił z siebie oskarżenie, gdy wszystko ułożyło się w harmonijną kompozycję, poczuł pewne zmęczenie. Odrętwienie umysłu. Słabość ciała. „Może w ogóle nie dała mi dynamików” - pomyślał. Ale nie chciało mu się otwierać ust i wydłużać aktu oskarżenia. „Co to ma za znaczenie? Po całym tym ciągu? To tylko jeden ze sposobów realizacji planu”. Odchrząknął.

–Powiedziałem ci już: stleniaj stąd. Możesz podejść mnie z dowolnej strony, ale nie chcę widzieć twojej, tak zwanej twarzy! Won! – wyrzucił wolno, z pogardą.

–Jeśli tak to wi...

–Jeszcze jedno słowo... – Kip zeskoczył z ławki -...i rzucę w ciebie ławką! – Jak wysłucha...

Kip błyskawicznie schylił się, chwycił brzeg ławki i nie bawiąc się w celowanie rzucił z całej siły w stronę drzwi, na tle których stała Jana. Nie słyszał trzasku, nie mógł nawet sądzić w co trafił. Podniósł głowę ponad poziom bariery i rozglądał się po odkażalni trzymając w zaciśniętych dłoniach koniec drugiej ławki. Zobaczył głowę Jany wychylającą się z otworu drzwi. Jej pojawienie się zaskoczyło go tak, **że zamarł, zamiast, zgodnie z pierwszym zamiarem,**

cisnąć w nią drugą ławką.

–Jedna rzecz z twojej tyrady nie będzie przez nikogo kwestionowana. Jesteś szalony... - powiedziała Jana i zniknęła.

T o już moje zmartwienie – pomyślał. – A właściwie nieprawda. Nie ma już moich zmartwień. Mam dość... Nawet nie jestem już ciekaw jak oni to robią. A może oszukuję sam siebie, może jednak jestem ciekaw? Trudno, rybia dupa, rozeznac się w tym. Chyba jestem jedynym człowiekiem na świecie, który potrafi okłamać sam siebie. Wilcots... Ty parszywcze, żebym mógł cię tu złapać. Ale ty nie jesteś taki głupi, ciebie tu nie ma. Wsadziłeś tu gromadę tych durni, naiwnych wypełniaczy twojego scenariusza, bohaterów żyjących do pierwszej strzelaniny. Na odstrzał. Ciekawe ilu z nich obiecałeś, **że to inni własną śmiercią uwiarygodnią opowieść o zwariowanym mordercy? Śmiesznie byłoby, gdyby wszystkim... Może tylko Jana... Ktoś powinien opowiedzieć co tu zaszło, ona się nada. Chociaż kiepska z niej aktorka, każdy miłośnik kryminału od dawna zaczęłby ją podejrzewać. Tylko mnie jej dupa zasłoniła widnokrąg. Naiwniak... Playboy, gwiazda jednego sezonu. Gdyby tych sześć idiotek nie ubzdurało sobie, że przez ojca dostaną się do World Net i nie rozpuściło plotek o moim haremie nie dorobiłbym się nawet tego pseudo. Na pewno nie spałem z nimi wszystkimi, a dwóch nawet nie widziałem na oczy. Mogłyby teraz tu przyjść, nie zobaczyłbym nawet cycuszków... Nie zobaczyłbym... Właśnie, gdzie oni się pochowali, jeśli nie wyszli już stąd?”**

Serce uderzyło gwałtowniej i przyspieszyło. Kip poderwał się z przykłąku na ławce. Odnalazł po omacku latarkę i podniósłszy ją na wysokość twarzy zlustrował odkażalnię. Światło uderzyło w ściany, niżej napotykając granicę widzialność-nie-widzialność, gdzie wsiąkało w nią nie odbijając się. Na poziomie widzianym przez Kipa pomieszczenie było puste.

„To bez sensu, jeśli tu są, to wystarczy, że się schylą i mogą spokojnie mi wsadzić blachę pod dowolne żebro. Jeśli są... Jeśli są to przewałka, ale jeśli wyszli? To musi być wyjście! Nie mam szans znaleźć go, szczególnie teraz. Wcześniej nie znalazłem... Ale wcześniej nie szukałem!... Zaraz. Spokojnie. Zamiast nie mieć szans, wolę mieć znikome. Spokojnie. Spokojnie... Jak... Komp? Wyłączyłem. Zresztą jeśli był, a musiał być spreparowany to i tak nic mi nie powie. Tak się nie da... Powoli. Gdzie zawsze znikali ludzie? W centrali. Może tam? Dwie ściany odpadają – jedna na korytarz, druga rozsuwana. Ta za panelem? Chyba tak. Trzeba będzie... Jeśli nikt mi nie przeszkodzi. Gdybym miał schemat...”

Poderwał się z ławki i zrobił krok w kierunku drzwi i nagle kolejna myśl zatrzymała go w miejscu.

„Schemat! Widziałem gdzieś schemat?! Gdzie? Nie w pokoju, nie w centrali, nie na korytarzu. Na dole? Nie... Gdzieś... Jest!!!

Zawrócił i szybko przebył drogę do windy, tę samą, którą pokonywał tylko w przeciwnym kierunku, niespełna trzy doby temu. Przypomniawszy sobie, że zaraz po wyjściu z kabiny windy kątem oka zauważył na ścianie korytarza, w pierwszej chwili niezbyt dobrze oświetlonego -dopiero po kilku sekundach komputer zwiększył natężenie jaskrawości – przekrój poprzeczny schronu. Dotarł do tego miejsca bez trudu, czuł się nawet lepiej w wąskim korytarzu niż w dużym pomieszczeniu, gdzie mogły ukrywać się tabuny wrogów. Schemat nadal znajdował się na ścianie. Bezużyteczny. Nad poziom widzialności wystawał tylko budynek postawiony nad starą kopułą ukrywającą w swoim wnętrzu windę. Od kopuły w dół wytrawiona była rura spadochronu i kończyła się po sześciu centymetrach. Kip powstrzymał się od wrzasku, a zaraz potem musiał zacisnąć z całej siły zęby tłumiąc bezsilny szloch. Zmusił się do przyjrzenia rysunkowi, nawet „zanurkował” w „bezwidzie” i dotknął nosem ściany oświetlając ją latarką. Przed oczami miał jednak tylko mleczną mgłę. Podniósł się i westchnął.

–No to do centrali... – powiedział beztrasko i nagle wbrew deklaracji zamarł w miejscu wbijając spojrzenie w rysunek.

Na schemacie poziom gruntu zaznaczono cienką matowo połyskującą kreską. Na tej kresce rozsiadła się kopuła windy. Pół metra od niej jedną z podstaw zaczepił się o tę kreskę dziwny niski regularny trapez. Kip oświetlał go przez chwilę pod różnym kątem i zobaczył, że z drugiej podstawy, znajdującej się pod znacznikiem powierzchni, w dół zjeżdża podobna do windy rura, nieco cieńsza i narysowana cieniutką czerwoną kreską. Obie

pary równoległych linii kończyły się identycznie – wtapiały się w niewidzialną płytę, nieprzebijalną dla wzroku Kipa. Zacisnął znowu zęby i odsunął się od schematu, nie spuszczając jednak z niego spojrzenia.

„Czy tam coś może być – pomyślał, dygocząc pod wpływem rozbudzonej nadziei. – Bez paniki, najpierw od powierzchni. Co tam jest na górze? Jeśli dobrze myślę, to tu na rysunku jest prosta skala – centymetr za metr. Więc co jest na górze w odległości pięćdziesięciu, sześćdziesięciu metrów od schronu? Zaraz... Tu nic...”

Zacisnął powieki i przywołał przed oczy widok rozjaśnionej słońcem powierzchni gigantycznego studia WN. Nie mógł zapanować nad rozgorączkowanymi myślami, próbował spojrzeć na schron i okolice z góry, ale słabo znał ten peryferyjny fragment olbrzymiej połaci ziemi, zajętej przez największe w tej części kraju studio. Spróbował inaczej. Wyobraził sobie spacer po – tym obszarze. I nagle poczuł gorąco i jednocześnie chłód na spoconym czole.

„Basen! Stary, z lekka cuchnący basen ppoż! Oczywiście! Pochyle do środka ściany. Trapez w przekroju! Basen... No dobrze. To już wiemy... A! Rura! Rura... Rura? Bez sensu, po co komu skażona woda? Chwileczkę, przecież gdyby była skażona to po prostu aparatura pomiarowa zasygnalizowałaby to kompowi i zawory zostałyby zamknięte. A jeśli byłby to tylko atak

konwencjonalny to dlaczego nie wykorzystać tej wody? Ale to ja tak rozumię... Wcale nie musieli tak myśleć. Nie, musieli. Bo po cholere ta druga rura? Spokojnie, bo serce stanie... Jeszcze raz. Co to może być? Odpowietrznik? Wyciąg powietrza? Może to coś wyrównuje ciśnienie? Trzeba wyrównywać? Fizyka, podstawy... Trzeba było się uczyć... Stop! Jeśli w ogóle trzeba wyrównywać ciśnienie, to robi to szyb windy albo inne cienkie przewody. A jeśli basen jest pełny bo jest, to co? Nie!!! Tylko woda! Dalej... Jest basen, jest woda. Otwieram klapę, leje się woda. Hura! Czekam aż się **wszystko wypełni i wypływam rurą!** **Tak! Ile to może być metrów? Trzydzieści? Czterdzieści? Nieważne, przecież do góry popłynę wypychany... Stop! Och, nie...”**

Poczuł, że jedna z kropeł potu zjechała w dół wzbierając po drodze i spłynęła do kącika prawego oka. Wytarł rękawem czoło i oczy. Poderwał się i zrobił dwa szybkie kroki w kierunku sali odkażalni i mocno kopnął powietrze. Noga nie natrafiła na żaden opór.

„Chyba nie ma tu jeszcze nikogo. Co z tym ciśnieniem? Boże, kto mógł przypuszczać, że zdechnę tu z powodu własnego nieuctwa? **Uspokój się! Jeśli otworzę jakąś klapę i woda rzeczywiście popłynie, to znaczy to, po pierwsze, że w rurze nie ma żadnych przeszkód, przynajmniej dla wody. Może być i krata i wtedy już nie wrócę na dół. Nie ma problemu, nie mam po co wracać. Niech będzie, że woda spłynęła. Znowu jest kilka możliwości. Jedna, że woda wypełnia cały podziemny zbiornik i zostanę w rurze. Ciśnienie! Przecież to wiedziałem... Chyba jedna atmosfera na metr słupa wody. Czterdzieści metrów... Zostanie ze mnie placek. To na pewno. A gdyby nawet**

nie, to chyba choroba kesonowa. Przecież nie mogę robić sobie przystanków, zresztą nawet nie wiem jak i ile. Kłapa. A jeśli zbiornik jest większy niż ten na powierzchni? Wtedy rura będzie pusta i chyba nie będzie tego kurewskiego ciśnienia. Chyba... Jak to sprawdzić? Przecież jeśli istnieje jakaś logika, to na niższym poziomie też nie będę niczego widział? Nic nie sprawdzę, wskoczę do zbiornika nawet nie wiedząc czy będę mógł z niego wyjść. Koszmar... Popłacz sobie, Kip. Gdyby była Jana... Kretyn! Przecież... Nie, wyłączmy tę dziwkę. Jeszcze raz. Inaczej. Schodzę do zbiornika. Zostawiam otwartą kłapę. Leje się woda. Zalewa akwen, wylewa się na dolny poziom. No to co? Całego schronu nie zaleje, a gdyby nawet! Rura pusta. No, to już lepiej. Zostaje co? Jak znaleźć rurę, jak się wspiąć po niej czterdzieści metrów. I jak ominąć ewentualne filtry, kolanka, syfony. Ale przecież nie pamiętam, żeby na tym schemacie były jakieś zawijasy. Tyle że wcale nie muszę pamiętać... Nieważne. Nie mam innego wyjścia. Myśl, Kip... Po raz pierwszy w życiu twój mózg musi zapracować na swoje utrzymanie. Bez dowcipów. Myśl, durniu. Co ci jest potrzebne? Sprzęt do łażenia po rurze, od środka. Lina? Haki? Rozpory? Nic takiego tu nie ma... Kłapa. Szkoda, tyle się namyślałem”.

Zrobił dwa kroki w kierunku windy i sprawdziwszy kilkoma kopniakami, że nikt się tam nie czai po prostu usiadł na podłodze nie dbając już o to, że zanurza się w mgłę bez smaku, zapachu i temperatury. Oparł się wygodnie głową o ścianę, wyprostował i wyciągnął przed siebie nogi, obok ud, na podłodze ułożył ręce z zapalonymi latarkami.

„Gdybym nie wyłączył komputera zdobyłbym narzędzia – pomyślał spokojnie, leniwie. – A może i nie? Może jakiś przemysłny system blokuje napływ wody? Na pewno. Więc tylko przy wyłączonym komputerze. Nawet przewidując kazałem mu otworzyć wszystkie drzwi. Może i klapy otworzył? Ale... cha-cha... warsztatu nie otworzyłem. Z prekognicji pała. Otwarte drzwi... I co z tego? A... Tu jest jakiś magazynek... Tak? Powinien być, chemiczny czy coś takiego”.

Poderwał się na równe nogi i rozejrzał. Po prawej stronie w ścianie rysowały się cienkie płytkie szczeliny. Drzwi. Poszukał dłońmi i znalazł kasetę z klamką. Pchnął ciężką metalową taflę i oświetlił pomieszczenie. Ściany tworzyły metalowe szaty z tajemniczymi symbolami na górze i kolumnami prostszych nieco słów poniżej. Część tych kolumn ginęła odcięta poziomą kurtyną. Kip obszedł szafki zmuszając siebie do spokojnego uważnego odczytania wszystkiego co na drzwiach szaf wypisano. Niemal wszystko było dlań niezrozumiałe, dopiero przy czwartej szafie zatrzymał się i czując szalone bicie serca przeczytał „Maski p-gaz”. Poniżej następował długi wykaz poszczególnych typów pochłaniaczy, okularów, części twarzowych, neutralizatorów, reagentów, katalizatorów... Powstrzymał się od radosnego wrzasku widząc informację o jednorazowych maskach z wytwarzaniem porcji tlenu na trzy do czterech minut. Boleśnie naddarł sobie paznokcie zanim udało mu się otworzyć szafę. Ten typ masek znajdował się na dolnych półkach, poza zasięgiem wzroku Kipa. Zmuszając się do spokojnego działania podnosił do góry poszczególne maski i uważnie czytał etykiety. Szósta paczka zawierała jednorazowe maski z chemicznymi wytwornicami tlenu. „Wkręć do

oporu sztyft. Tłenu wystarczy na trzy do czterech minut”. Kip przygryzł wargi i wyszarpnął jedną z maseczek z opakowania i trzymając całą paczkę między kolanami, zgodnie z instrukcją wkręcił wystający z tuby sztyft. Przyłożył gumowy „kaganiec” do twarzy i z radością poczuł łaskotanie strumienia tlenu w nosie. Sumiennie sprawdził na zegarku czas wypływu gazu i powtórzył operację z jeszcze jedną losowo wybraną maską. Wynik był identyczny. Niecałe cztery minuty. Wepchnął za wierzchnią część kombinezonu trzy maski, resztę, całe pudło rzucił na podłogę. Nerwowo ruszył w dalszy obchód szaf. Nadzieja na realizację rozpaczliwego planu wprawiła jego palce w drżenie, a serce i płuca w pracę charakterystyczną dla ciężkiego wysiłku fizycznego; Przedostatnia dziesiąta szafa zawierała zestawy do dezaktywacji pomieszczeń – kilkilitrowe ampuły, pojemniki ciśnieniowe, zestawy samolikwidujących się płacht, kubły z samonatryskowymi błonami izolującymi. I wspiny. WSPINY!!! Kip nie mógł powstrzymać się od radosnego wrzasku. Wyszarpnął z wysokiej tuby parę ręcznych i z drugiej parę nożnych wspinów i natychmiast wypróbował je na metalowej szafie. Sensory ręcznych działały

bezbłędnie. Dotknięcie uaktywniało nadsprawne elektromagnesy i nie dało się żadną siłą oderwać wspina od drzwi szafy. To samo dotyczyło nożnych. Sensory w czubkach, uruchamiane przy poruszaniu stóp, włączały i wyłączały odpowiedni wspin. Trzęsącymi się rękami Kip wypróbował dwie pary manualów i pedałów i – nie zdając się już więcej na przychylność losu i nie przewidując powrotu – obładowany sprzętem, wypychającym mu kombinezon na brzuchu i plecach wyszedł z magazynku. Kilka chwil spędził na rozmyślaniu jak dotrzeć do dolnej części schronu i ustrzec się przed atakiem, i w końcu wrócił do magazynku. Wybrał z wypatroszonych szaf długą masywną rurę czujnika aktywosawy i niewielki pojemnik z samonatryskową błoną izolującą. W prawej dłoni udało mu się utrzymać latarkę i rurę, w lewej trzymał puszkę, tryskiem do przodu. Drugą latarkę zacisnął pod lewą pachą.” Krótką chwilę stał w otwartych drzwiach na korytarz? a potem ponaglony myślą o być może kończącym się działaniu dynamików ruszył przed siebie. Bez przeszkód dotarł do drzwi prowadzących z odkażalni na korytarz i wywrócił się potknąwszy o rzuconą ławkę. Gdy już pozbierał się z podłogi i przywrócił gotowość bojową, odnalazłszy po omacku rurę i puszkę, zatrzymał się jeszcze raz.

Zastanawiał się czy nie zawołać Jany, ale szybka myśl podsunęła obraz dziewczyny walczącej z nim, a byłby w tej walce słabszym z rywali. Błyskawicznie uprzytomnił sobie, że **w interesie intrygantki było powstrzymanie go od wyjścia na powierzchnię.**

R tuszył czujnie wzdłuż korytarza. Wiedział, że nadal nie słyszy żadnych dźwięków prócz własnego głosu, ale uznał, że Jana nie musi być tego taka pewna i że lepiej będzie udawać, że wzrok i słuch działają normalnie. Dlatego rozglądał się po korytarzu nie tylko w płaszczyźnie w jakiej rzeczywiście widział, ale patrzył pod nogi, oglądał się. Pogwizdywał cichutko, po części dodając sobie odwagi, po części zagłuszając wściekły łomot serca, po części usiłując przekonać przeciwników o własnej dobrej formie. Przy drzwiach do ostatniego po lewej pokoju zwolnił i przesunął się bliżej lewej ściany, tu, jak pamiętał, po prawej stronie stały zdemolowane przez niego cleanery. Ominął je szczęśliwie i znalazł się przed drzwiami na drugi poziom. Wbrew

logice łudził się, że odzyska normalny zasięg wzroku, ale jedno spojrzenie w ciemność łącznika zrujnowało jego nadzieję. Bez ociągania minął drzwi i spazmatycznie oddychając zanurzył się we mgle. Po kilku krokach uświadomił sobie, że latarki pomagają zlokalizować właśnie jego. Wyłączył obie i rzucił nimi w przestrzeń korytarza. Na zakończeniu schodów przystanął na kilka sekund i przypomniał sobie rozmieszczenie drzwi i klapy do basenu. Otworzył oczy i wpatrywał się w mętną mgłę, ale nie potrafił nawet powiedzieć czy tu na dole panują ciemności, czy też stoi tam dalej ktoś z cynicznym uśmieszkiem na ustach i nożem w dłoni. Najszybciej jak mógł skasował ten ponury obrazek i ruszył do przodu. Ocierał się lekko lewym ramieniem o ścianę i liczył drzwi. Przy trzecich otwartych, do szklarni, przyspieszył bezwiednie i zaczął stopami

szukać klapy w podłodze. Wystawała dość wyraźnie z podłogi. Szybko przykucnął i zaciskając mocno powieki starannie, zmuszając się do dokładności badał opuszkami palców pokrywę. Wykrył gładką płytkę pokrywającą” jak się okazało klawiaturę, zmartwił, ale wziął się w garść. Szarpnął pokrywę do góry i omal nie krzyknął z radości czując jak ciężki metal ulega jego rozpaczliwemu szarpnięciu. Mało brakowało by rzucił ciężką pokrywą o podłogę, w ostatniej chwili przypomniał sobie, że tylko on nie troszczy się o swoje bębunki. Starannie ułożył pokrywę na podłodze, przykucnął i w otwór po klapie wsunął dłoń z rurą aktywossawy. Niemal natychmiast trafił nią w zmontowaną z rur drabinę. Pokiwał głową i powiedział głośno:

–A teraz pocałujcie Kipa w dupę!

Rzucił z całej siły rurą i zaraz potem puszką w stronę schodów na górę i szybko -„przyzwyczaiłem się do ślepoty” – pomyślał, zszedł kilka stopni w dół. Na czwartym stopniu coś chwyciło go za stopę, odruchowo szarpnął nogą i natychmiast roześmiał się.

„To tylko woda, durniu, opanuj się. Wpadniesz w histerię i tyle będzie rozkoszy. Zamek zamknięty? Wspinaj się, maski też. Skaczemy”.

Puścił się drabiny i lekko odskoczył w bok. Postanowił najpierw wyczuć jak wysoko od powierzchni wody jest sufit zbiornika. Kilka razy wyskakiwał z wody i za każdym razem I udawało mu się dotknąć wysuniętą do góry dłońią sufitu. To był dobry znak.

„Wiedzie mi się znakomicie. Teraz tylko znaleźć pokrywę. Może będę musiał złazić cały sufit w spinach. To może być ponad... Cicho! Najpierw zacznijmy od ścian i spojenia ścian z sufitem. Potem, jak już poznam basen pójdę po przekątną”.

Położył się na plecach i niespiesznie pracując nogami wyszarpnął spod pachy ręczne wspinajki i, nie wysuwając się z wody tylko przebijając rękami i oszczędzając siły, rozpoczął metodyczne badanie ścian zbiornika. Przekonał się po dłuższym pływaniu i obmacywaniu ścian, że basen nie ma kątów, co utrudniało orientację. Dość wyraźne były jednak łagodne półokrągłe połączenia ścian. Zbadał, jak mu się wydało, wszystkie cztery

ściany i nie natrafił na żadne występy w gładkich śliskich od wilgoci ścianach. Przyczepił oba ręczne wspiny do ściany i zawisł na jednym odpoczywając kilkadziesiąt sekund. Potem, ciągle wisząc na jednej ręce i nie słysząc plusku wody, umocował pedały na stopach, następane dwa manualy przypiął do zaczepów na pasie i zrobił sobie jeszcze chwilę odpoczynku. Wytrzymał najwyżej dwie minuty. Łyknął niezbyt świeżej wody, a potem chichocząc w duchu wypróżnił pęcherz i zaczął się wspinać w górę po ścianie. Dwa razy omal nie odpadł nie dysponując niezbędną wprawą. Zaklął przez zęby i przeszedł na sufit. Poczuł się tak zmęczony, że od razu musiał chwilę odpocząć. Zablokował pedały, a potem wspiny przy pasie i w końcu manualy. Wisiał kilkadziesiąt sekund pod sufitem, splunął w dół, odpiął – jak je nazwał – przypasowe wspiny wypoczynkowe i ruszył

w pajęczy rekonesans. We mgle nie widział zegarka, nie miał świadomości upływu czasu, ale czuł, że jest w stanie pełzać po suficie najwyżej po dwie, trzy, a później najwyżej po jednej minucie. Chwile odpoczynku dawały pozorny właściwie relaks, palce piekły po kurczowym, rozpaczliwym trzymaniu w „rękawicach”, bolały rozpaczliwie plecy po każdym wiszeniu, drgały mięśnie pod kolanami. Rękawy na przedramionach, wilgotne po pływaniu nasiąkły potem wycieranym z czoła, charkot wydobywający się z płuc w całkowite zapomnienie usunął świadomość ograniczonego słuchu. Po pierwszym ruchu rozpoczynającym kolejny etap poszukiwań, chyba dwunasty, podeszwa wspina uderzyła o występ. Kip jęknął głośno i drżącymi dłońmi uaktywnił szybko wspiny umocowane do pasa i walcząc z bólem ramion obmacał dużą kolistą klapę. Znalazł dwa statyczne klipsy zaworowe. Zaufał wspinom przy pasie i opuścił ręce szukając dla nich wygodniejszej choć na chwilę pozycji. Wisiał teraz kilka minut, czasem szarpnięciem poprawiał pozycję i ukrwienie organizmu, wytarł do sucha twarz i kilkakrotnie splunął w dół, do wody.

„Co teraz? – pomyślał. – Maską na twarz, kłapa w dół, krótkie mam oczekiwanie wypełnione gorącą modlitwą. Czy ja się jeszcze umiem modlić? Czy w ogóle umiałem? Niech mi będzie wybaczone. Niech się tylko otworzy kłapa, a nie będę już miał pretensji do nikogo, nawet za niespodzianki w rurze”.

Mocno potarł twarz dłońmi, założył maskę i wysunął ręce poza głowę. Chwilę obmacywał klipsy, próbował je pokręcić, podważyć i nagle poczuł drżenie klapy i szybko cofnął dłonie. Zrobił to w ostatniej chwili. Kłapa runęła w dół muskając czubki palców Kipa, a za nią zwałił się potężny słup wody. I jedno, i drugie mogło wyłamać ręce i pozbawić go najmniejszych szans na wyjście na powierzchnię. Nie słyszał łoskotu wody uderzającej w basen, zachłysnął się wzbity pod sufit falą, wyczuł drżenie sufitu zbiornika. Słyszał własny kaszel i spluwanie, i radosny ryk wydobywający się z własnego gardła. Opuścił jedną rękę możliwie nisko w dół i czekał na wezbranie poziomu. Gdy po kilkadziesiąt sekundach pierwsze fale zaczęły muskać mu czubki palców zwilżył dłoń i przetarł nią gorącą twarz. Chwilę później mógł już ją ochlapać, a potem woda doszła do wysokości łokcia. Zabolały bębny w uszach i kilka defetystycznych myśli przebiegło przez głowę. Kip sprawdził maskę i jeszcze raz poziom wody, była tuż poniżej jego pleców. Wolno sięgnął ponad głowę – nie słysząc

łoskotu spadającego strumienia nie był w stanie stwierdzić, kiedy zalew zbiornika skończy się. Wciąż się lało. Gdy poczuł wodę na plecach przesunął bliżej szczeliny w kombinezonie drugą maskę i kilka razy starannie przełknął ślinę. Ucisk w uszach nieco zelżał, woda szybko podeszła wyżej i podtrzymała wiszące na wspinach ciało. Kip odczekał jeszcze kilkadziesiąt sekund i świadomy, **że warstwa powietrza w zbiorniku ma grubość najwyżej kilku centymetrów, odpiął wspiny przy pasie, poprawił maskę na twarzy i przekręcił sztyft w tubie. Po kilku sekundach szamotania udało mu się**

zdezaktywować pedały. Trzymał się teraz sufitu za pomocą wspinów ręcznych. Kręciło nim i szarpnął potężny wir wciąż walącej się z góry wody. Ból w uszach stał się nie do wytrzymania, Kip jęknął i spróbował ulżyć sobie przechylając głowę, tak by woda (schłodziła rozżarzony drut wwiercający się w uszy. Woda zamknęła się nad jego twarzą i w pierwszym odruchu paniki szarpnął się do góry. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, **że zbiornik wypełnił się. Podwodne turbulencje ustały. Kip przełknął kilkanaście kropel wody, które wcisnęły się pod maskę – miały ohydny słony smak – i zdezaktywował jeden wspin. Poszukał dłonią gardzieli rury i przełożył dłoń na jej krawędź, za pierwszą poszła druga dłoń, podciągnął się ciągle w wodzie i walcząc z pętającą mchy i tamującą oddech paniką zaczął wspinać się. Cały czas musiał walczyć z mocnym strumieniem wody spływającej wciąż z góry. „Wyływa ze zbiornika na dolny poziom – pomyślał. – Ile jej jeszcze jest w basenie, wydawał się nieduży?” Nie był pewien czy nie wpada w panikę, ale odczuwał brak powietrza, oddech spłycał się. Zwolnił nieco i spróbował odetchnąć głębiej, jednak dławiąca kula gdzieś u szczytu płuc nie zniknęła. Zatrzymał się i uwolnił jedną rękę. Wymacał drugą maskę i odetchnąwszy jeszcze kilka razy zdarł zużytą z twarzy. Płaczącymi się palcami w pośpiechu nałożył drugą maskę, ale nie udawało mu się jej zapiąć. Musiał uwolnić drugą rękę i, wspierając się tylko na nogach zapiął w końcu paski i niemal tracąc przytomność zmiażdżył sztyftem pojemniki z tlenotwórczymi związkami.**

Niemal natychmiast prąd wody ustał i Kip poczuł na całym ciele rozkosz przenikającego nawet pod mokry kombinezon powiewu powietrza. Zaszlochał pod maską i obawiając się ataku hysterii klepnął z całej siły otwartą dłonią w czoło. Do końca zużył darowany przez maskę zapas tlenu i zrzucił ją. Popatrzył do góry, ale mgła przed oczami nie ustępowała.

„Gównu tam, niech będzie! Niech sobie będzie! Będzie! Będzie! Tylko żeby...”

–Wy-y-yjdę-e-ę! – wrzasnął.

Ruszył w dalszą drogę. Kilkadziesiąt razy zmieniał ułożenie rąk i nóg. I nagle, jakby w prezencie za wysiłek, jego oczy przebiły błonę widzialne – niewidzialne. U góry, wysoko nad głową rozbłysł krąg światła. Kip ryknął radośnie i wspierając się zasobami triumfu i radości, szalonej ulgi, pognął do góry.

Stopy i dłonie nieomylnie odnajdywały odpowiedni dla pracy ze wspinami rytm: ręka prawa – sensor stop, lewa stopa – szarp podeszwą, lewa ręka – sensor stop...

–Lewa – sensor... – wydyszał -...prawa noga... Pra-wa ręka... sensor...

W uszy uderzył huk towarzyszący uderzaniu wspinami w metalową, pokrytą cienką warstwą antykorrodu, rurę. Odzyskał słuch. Do powierzchni zostało najwyżej kilka metrów. Kip ryknął jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze... Okraszał teraz każdy krok triumfalnym charkotem i mocnym uderzeniem w ścianki rury i brzmiało to w jego uszach jak najwspanialsza cudowna, kojąca radosna muzyka. Dopiero gdy cały znalazł się w jaskrawym świetle słońca wpadającym do rury,

gdy uderzył czubkiem głowy w gęstą kratę zatrzymał się i uaktywnił wspiny na brzuchu. Właściwie zawisł na nich, skamieniałe z wysiłku stopy tylko nieznacznie wspomagały szczęśliwie zostawione przy pasie wspiny. Zamknął oczy, zacisnął je z całej siły, ale łzy radości i ulgi wypłukiwały szczeliny między zaciśniętymi powiekami i spływały po rozpalonej twarzy, łaskocząc przemierzały szyję i rozplływały się w wilgoci na klatce piersiowej.

Podniósł rękę i trzymanym w dłoni wspinem uderzył kilka razy w kratę nad głową. Ręka bolała go do tego stopnia, **że gdy opuszczał ją niemal bezwładnie w dół omal nie uderzył się w głowę ciężką podeszwą manualu. Zachichotał cicho. Oblizął wargi.**

–He... kchy-kche... – usiłował krzyknąć i rozkaszał się. – Hej! – udało mu się wychrypieć nieco głośniej. – He-e-ej!

Jest tam kto?! – odchylił głowę do tyłu i popatrzył najpierw w jasne rozświetlone słońcem niebo, a potem zerknął na mokre ciemne od wilgoci pochyłe brzegi pustego basenu. – He-ej! – wrzasnął.

Nad brzegiem basenu pojawiła się najpierw jedna, potem druga głowa. Obie twarze miały wykrzywione ze zdziwienia usta i zmarszczone brwi. Na czubku pierwszej tkwiła mundurowa czapka. Obaj mężczyźni kilka sekund w ciszy przyglądali się Kipowi, a potem popatrzyli na siebie.

–Hej! Otwórzcie tę kratę... – jęknął Kip i nie mogąc powstrzymać się szeroko uśmiechnął.

–Co ty tam robisz człowieku? – krzyknął strażnik.

–Czekam... – powiedział Kip. – Wyłamcie tę kratę.

–Szybciej!

–No to poczekaj... – rzucił drugi mężczyzna i zniknął Kipowi z oczu.

Strażnik, jakby przeżuając swoje pytanie i odpowiedź Kipa, i nie mogąc ich strawić, w milczeniu przyglądał się Kipowi. Potem podniósł jedną ręką czapkę i podrapał się w głowę. Zaraz potem na krawędzi basenu pojawił się jego towarzysz i jeszcze dwaj mężczyźni. Trzymali w rękach jakieś narzędzia i niemal natychmiast zniknęli Kipowi z oczu biegnąc po

brzegu basenu. Pół minuty później usłyszał ich ciche przekleństwa, a potem cienie trzech głów wpadły do rury i nieregularnymi, ruchliwymi plamami osiadły na ramionach i barkach Kipa. Mężczyźni nie pytali o nic, manipulowali metalowymi łomami czy też nożycami, półgłosem rzucali do siebie instrukcje i zawzięcie klęli, gdy nie udawało się im. Krata pobrzękiwała, szczękały klucze i przekleństwa nabierały – mocy. Potem któryś z mężczyzn rzucił szczególnie wykwinną radosną wiązaną inwektyw i krata rozdygotała się, i odskoczyła w górę. Dwaj mężczyźni

szybko przyklęknęli na brzegu rury i wyciągnęli w dół dłonie.

–Łap się! – krzyknął jeden.

Kip skwapliwie kiwnął głową, wyciągnął do góry ręce i gdy poczuł na nich zaciskające się mocne suche dłonie czubkami palców stóp strząsnął pedały i zawisł na rękach nad gardzielią rury. Zdążył rzucić w dół tylko jedno pożegnalne spojrzenie, mężczyźni błyskawicznie wyciągnęli go z rury i postawili na dnie basenu. Jeden chwycił go za łokieć i potrząsnął.

–Panie? Kim pan jesteś?

Kip roześmiał się patrząc na otoczenie, prychnął patrząc na zdumione twarze. Dygoczącymi palcami zaczął masować swoje dłonie.

–Z dołu – powiedział. – Wylazłem z dołu. To długa opowieść i na pewno wszystko wam opowiem przy dużym kieliszku, ale teraz chciałbym dostać coś małego na wzmocnienie.

–No to chodźmy! – jeden z mężczyzn, ten który podtrzymywał go za łokieć chwycił go znowu za ramię i pociągnął do góry. Pomógł mu jeszcze jeden. Na górze czekał już strażnik.

–Lin? Daj facetowi coś na życie – polecił krótko najstarszy.

Strażnik, nie spuszczać zdumionego spojrzenia z twarzy Kipa pogrzebał w swojej płaskiej torbie i podał tubkę z jadowicie żółtymi pastylkami. Jedna od razu wypadła z palców Kipa, druga znalazła się w ustach, rozplynęła i niemal natychmiast fala energii i świeżości rozplynęła się po umyśle i ciele Kipa.

–Dziękuję – powiedział do strażnika. – Trzy dni temu zszedłem tam z wycieczką – pokazał na swoje stopy. – Potem była ta awaria synklaw, a nas zablokowało w schronie. Dopiero teraz udało mi się wyjść. Tyle w skrócie. Na resztę zapraszam do siebie. Jestem Kip Stuthman -szybko obdzielił wszystkich czterech uściskami dłoni. Zaczął się spieszyć, wraz z falą energii napływały wspomnienia z dołu i przypomniał sobie co – prócz chęci życia – pchało go do góry. Nieznacznie zerknął na broń strażnika.

–Niech mnie pan odprowadzi do budynku A – zaproponował. – Muszę zgłosić szefowi, że **wydostałem się i w ogóle... – wruszył ramionami.**

Strażnik kiwnął głową i poszedł przodem, śmiesznie przebierając stopami, tak by iść półbokiem i nie spuszczać oka z obszarpanego człowieka, któremu u pasa dyndały dwa wspiny, a z koniuszków palców sączyła się krew. Kip naszył za nim, dogonił i poszedł obok. W milczeniu przemaszerowali kilkaset metrów klucząc między różnej wielkości budynkami aż w wąskim przejściu, tuż przed wejściem na plac przed budynkiem centralnym, Kip wskazał palcem wylot zaułka i natychmiast kantem drugiej dłoni uderzył strażnika w szyję pod uchem. Podtrzymał walące się bezwładnie ciało i płynnym ruchem wyszarpnął broń. Schował rewolwer za pasek, odpiął niepotrzebne wspiny i rzucił je na ziemię. Energicznie ruszył do budynku, nie zwracając uwagi na kilka zdziwionych twarzy przemierzył hali i wszedł do windy.

–To kostium – uśmiechnął się do starszej pani, która z zaniepokojeniem przyglądała mu się podczas jazdy do góry.

Na korytarzu skręcił w prawo i pchnął drzwi do sekretariatu Wilcotsa.

–Jest? – zapytał pokazując palcem drzwi do gabinetu i zmiierzając w tamtym kierunku. Sekretarka pisnęła coś i zatrzepotała przecząco dłońmi. Kip zlekceważył jej starania.

Szarpnął drzwi i wszedł do gabinetu Allana Wilcotsa. Dyrektor siedział w fotelu bokiem do biurka, w niedbalej pozie przysłuchiwał się słowom Yera Myfflina. Pod ścianą, na kanapce rozparł się A. W chwili gdy Yer zauważył Kipa i znieruchomiał z otwartymi ustami na ekranie ściennym pojawiła się twarz sekretarki, najwidoczniej spieszącej powiadomić szefa o wtargnięciu do jego gabinetu. Wilcots popatrzył w prawo i również znieruchomiał z oszołomieniem w oczach.

–Jestem – powiedział Kip. Kilka sekund sycił oczy nieruchomością trzech mężczyzn, a potem zasunął za sobą drzwi i zbliżył się do biurka Wilcotsa. – Nie powitasz mnie radośnie? – zapytał Allana. Tamten otworzył usta, ale ogromna porcja jadu w głosie Kipa powstrzymała go. – Zaskoczony? Dlaczego? Przecież chyba życzyłeś mi dobrze. Co, Allan?

–Kip... – powiedział tamten z niedowierzaniem. Zrobił ruch, jakby chciał wstać i przywitać się z Kipem. Stuthman szybko wyjął rewolwer i ruchem lufy powstrzymał Wilcotsa od poruszania się.

–Co ty robisz? – Wilcots zmarszczył brwi.

–Nie ruszaj się gwałtownie, Allan. Ani wy – Kip zerknął na Yera i A. – To wam opowiem krótka, historyjkę. Przesunął się nieco w lewo i ruchem lufy posłał Yera na kanapkę obok A. – Trzy doby temu zjechałem z jego wycieczką do schronu.

–Zamknęliśmy się tam bardziej lub mniej przypadkowo. Mniej więcej godzinę temu, gdy definitywnie opuszczałem schron na dole było osiem trupów, może dziewięć, jeśli jego pomocnica nie zdołała sobie pomóc.

–Kipi – Wilcots poderwał się z fotela i widząc napięty na spuście palec Kipa opadł nań z powrotem.

–Zamknij się! – wycedził Kip. – Przez chwilę będę mówił ja. Nasz uroczy szef... -przesadnie akcentując słowa powiedział do A. i Yera, gdy Wilcots usiadł -...postanowił -pozbyć się swojego pracownika, który przez szczególny zbieg okoliczności jest synem właściciela całej sieci. Synem nieudanym, ale jednak synem. Stary postanowił mnie awansować, prawda? – zapytał Wilcotsa.

Dyrektor patrzył na niego zmrużonymi oczami i milczał. Potem poruszył wargami.

–Tak. Ponieważ postanowiłem się wycofać – powiedział.

–Gównu. Ty byś z pieca krematoryjnego wysunął łapę, żeby podpisać jeszcze jeden papierek – powiedział z przekonaniem. – Moja wersja jest prosta. Zmontowałeś intrygę, żeby mnie się pozbyć. Zamknąłeś w schronie, z którego miałem wyjść albo jako wielokrotny morderca, albo jako wariat. Albo wcale. Twoja prawa ręka, miss Jana Peacok prawie przyznała się do zmywy z tobą.

. – Bzdura! – wrzasnął Wilcots i zerwał się z fotela. Kip błyskawicznie podskoczył do niego i wycelował lufę rewolweru.

–Siadaj! I na razie nie ruszaj się, bo nie doczekasz nawet końca rozmowy! – wrzasnął. Wilcots wolno opadł z powrotem na fotel i standardowym gestem opuszkami palców obmacał szyję, a potem szarpnięciem rozpiął kołnierz koszuli.

–Tam... – Kip odsunął się od biurka i wskazał lufą podłogę.

Opowiem wam coś... Zjechaliśmy do schronu, gdzie jeden z uczestników zablokował windę na trzy doby. Najpierw wszyscy się wściekali, a potem bardziej lub mniej godzili z losem.

A los zaczął nam płatać różne figle... Najpierw odbył się pseudoseans spirytystyczny na minikompie, a podczas tego seansu coś się pojawiło na ekranie. Potem... Nie! Najpierw była przerwana transmisja, potem seans. A rano znalazłem jednego z uczestników w łóżku. Martwego. Ktoś obciął mu głowę. Następnie komp zameldował, **że coś zagnieździło się w jego wnętrzu i wypadki potoczyły się szybciej. Ze swojego pokoju zniknęli państwo La Salle i ukazali się na ekranach monitorów, skąd tępo i niemo patrzyli na nas. Potem w ten sam sposób przenieśli się na ekrany jeszcze inni, w sumie... – zawahał się. – Detektyw ochroniarz został zamordowany na korytarzu, jedna z dziewczyn... chyba żyje. W każdym razie cała reszta pojawiła się na ekranach. Policzmy – było nas dziesięcioro, dwaj zabiści, dwoje chyba żyją... Sześć osób zmonitorowanych, tak. W trakcie całej tej zabawy komputer zameldował, że w jego bebechach siedzi niejaki Chaysale, kosmiczny upiór, który został ściągnięty na Ziemię wiązką przyspieszonych przez synklawy fal. Ten nasz upiór, nazwany przez miss Peacok upiorem z playbacku, bo czasem przemawiał do nas niezdarnie z ekranu, poruszać**

się miał po dowolnego rodzaju łączach energetycznych i czekał tylko na otwarcie bunkra, żeby wyskoczyć na powierzchnię i zażądać od Ziemi satysfakcji za zmarnowany bilet w jakąś tam stronę wszechświata. Fajne, co? – popatrzył – po kolei na wszystkich obecnych w pokoju.

–Tak w każdym razie wyglądało to na dole. Moim kosztem.

–No i jeszcze kilku ludzi. Tak-tak! Spreparował komp schronowy, przygotował kilka interesujących gadżetów i spokojnie czekał aż **zablokowany... „Zablokowany”... – powtórzył z goryczą -...schron stanie się dostępny. A potem zostałyby mu tylko wywieźć ciała i przekazać skutego Kipa do dyspozycji policji albo psychiatrów. Może być? – odwrócił się do nieruchomo**

siedzącego Wilcotsa.

W pokoju zapanowała głęboka cisza. Kip rzucił okiem na siedzących na kanapie oszołomionych mężczyzn i przy okazji zauważył, **że sekretarka na ekranie pokazuje coś wytrzeszczonymi oczami.**

–Allan... Twoja sekretarka ściągnęła posiłki – powiedział Kip mierząc z rewolweru w twarz Wilcotsa. – Pierwsze drgnięcie drzwi zbiegnie się z ruchem mojego palca...

Wilcots przełknął coś i z wysiłkiem oderwał oczy od lufy. Popatrzył na ekran i pokręcił głową. Sekretarka zatrzepotała rękami.

–Pytam się: jak widzisz mój scenariusz?! – wolno powiedział Kip.

–Bzdura... Kompletna szaleńcza chała – wykrztusił Allan.

— Nie wiem co tam zaszło, przecież odcięliśmy łączność... To wy meldowaliście o potworze z przestrzeni kosmicznej, przyjęliśmy tę hipotezę za możliwą. Przecież wiesz... A o reszcie nie mam pojęcia. Jak miałbym zorganizować przenoszenie ludzi na ekran? Może spaliłem też obie synklawy, żeby tylko utrzymać się na stołku? – Wilcots zaczął mówić szybko i z przekonaniem. Wyrzucał z siebie słowa i z pewnym zdziwieniem przekonywał się o sile własnych argumentów.

Kip potrząsnął głową i znowu wycelował lufę w głowę Wilcotsa.

–Synklawy to przypadek, złośliwy dla mnie, sprzyjający tobie przypadek. A reszta? Nafaszerowałaś mnie przy pomocy swojej współpracownicy jakimś narkotykami, może zaserwowała mi seans hipnozy? To szczegóły. Ważne, na przykład, **że mówiła o tobie per Allan, używała mojej kretyńskiej ksywki, o której wszyscy z wyjątkiem ciebie zapomnieli. Ale najważniejsza jest inna rzecz... – ściszył głos. – Sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej gdybym nie żył, to chyba jasne? Nie miałby kto zadawać takich głupich pytań, obowiązywałaby wersja, jaką przedstawiłaby panna Peacock czy**

ktokolwiek inny. Albo zostałyby schron wypełniony trupami i w ogóle nie byłoby pytań. Tak więc mów mi: Odpocznij, Kip... Prześpij się, napij się, podlecz się... Zrozum, Kip... – przedrzeźniał Wilcotsa, czując jak wzbiera w nim szaleństwo. – Nic z tego! Któryś z nas nie wyjdzie z tego gabinetu... – powiedział cicho. – Chciałeś mnie zabić. Omal ci się to udało, przeżyłem przez ciebie kilka razy własną śmierć... Ja przeżyłem, tobie się nie uda. W dupie mam tych kilku twoich pomagierów, to twoja sprawa. Ich krew, twoje sumienie. Ale ja? Nie-e...

Uśmiechnął się nie rozchylając warg. Patrzył w rozszerzone ze strachu oczy Wilcotsa, sycił się nim, smakował ten strach, neutralizował nim swoje przeżycia sprzed kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu godzin.

–A ty? – Allan przełknął ślinę z wysiłkiem. – Jak ty wyszedłeś?

–To cię martwi, co? – Kip pochylił się i oparł jedną ręką o blat biurka. – Nie wyszło-o... Coś się popieprzyło, komp nie chciał przypomnieć sobie o przewodzie prowadzącym do basenu, a może to niedopatrzanie konstruktorów, nie wiem...

–Ważny jest efekt. Który cię nie cieszy.

–Kip! To wszystko bzdura! Zapytaj ich... – Wilcots wskazał ręką Yera i A. – ...mamy naprawdę rozpieprzone synklawy, twoja hipoteza o potworze z kosmosu jest bardzo prawdopodobna, więc zrobiliśmy to, co sami może niechętnie zasugerowaliście – odcięliśmy łączność. Przygotowaliśmy się na otwarcie schronu, zobacz co się dzieje obok kopuły windy!

Wilcots wskazał palcem ekran z sekretarką. Kip kątem oka zobaczył, że dziewczyna pochyla głowę i jej twarz znika z ekranu. Na jej miejsce pojawia się panorama z budynkiem windy w centrum. Kip zerknął na znajomy widok i pokręcił głową.

–Rzeczywiście jest tam trochę sprzętu – powiedział uśmiechając się. – Ale to niczego nie dowodzi. Przecież ty musisz udawać, że wierzysz w potwora... Musisz...

Coś w widoczku zastanowiło go. Odwrócił się od Wilcotsa i uważnie przyjrzał się monitorowi. Zapulsowało mu w skroniach. Nie odrywając spojrzenia od ekranu podszedł do niego i zatrzymał się nieruchomo. Dłoń z rewolwerem opadła. Wilcots wolno sięgnął do klawiatury i bezgłośnie wdusił jeden z przycisków. Za plecami znieruchomiłego Kipa bezszelestnie otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadła czwórka strażników. Dwaj na palcach podbiegli do Kipa i chwycili go za przeguby. Sekundę później jego rewolwer znalazł się w ręce trzeciego ze strażników, a jego ręce skuto za plecami. Kipling Rawot Stuthman nie sprzeciwiał się nawet ruchem brwi. Nie czuł dłoni strażników, nie czuł kajdanek. Nie odrywał spojrzenia od ekranu. Było to tak niezwykle po wcześniejszym zachowaniu, że Wilcots powstrzymał gestem strażników i zbliżył się do Kipa. Zza jego pleców przyjrzał się ekranowi, a potem przesunął nieco i zajrzał mu w oczy.

–Kip? – powiedział. – Dobrze się czujesz?

–Stuthman patrzył w ekran nie mrugając oczami.

–Kip!!! – wrzasnął Allan.

Kip wolno odwrócił głowę. Poruszył wargami, ale nie wydał z siebie dźwięku. Patrzył tępo i bezradnie na Wilcotsa, a potem przejechał suchym językiem po wargach.

–Przepraszam cię, Allan – wykrztusił. – Rzeczywiście nie jesteś niczemu winien. Zsucił mnie... Doprowadził do tego, **że straciłem rozsądek... Wybrałem najprostszy wariant, ludzki. Bo tak mi było wygodniej. I pomyliłem się. Chaysale naprawdę istnieje. A tam... – zacisnął zęby -...tam została Jana...**

–Ona żyje? Jesteś pewien?

Yer i A. odważyli się w końcu wstać z kanapy. Przysunęli się do Wilcotsa.

–Nie wiem... Miałem kłopoty ze słuchem i wzrokiem, a ona uciekła i gdzieś się schowała. Nie miałem szans na jej znalezienie. Schowała się... Teraz to już nawet nie wiem dlaczego...

–Chryste! – Wilcots potrząsnął mu dłoń na ramieniu i potrząsnął mocno. – Możesz...

–Nie, nie mogę – Kip potrząsnął głową. – Nic nie mogę, nie mam sił, nie mam ochoty. Sami się przekonacie... – ruchem głowy wskazał ekran monitora.

–O czym ty mówisz?! Dlaczego się przekonamy?

–Popatrzcie na lewy górny róg ekranu – Kip strząsnął z łokcia zwiotczące dłonie strażników i podszedł do kanapy.

–Usiadł na niej i popatrzył na nieruchomo stojącą grupkę mężczyzn. – Zobaczycie tam małego czarnego ptaka. Będzie się powiększał, powiększał... – niespodziewanie parsknął wesołym śmiechem. – Cha-cha... Uruchomcie fabryki cyjanku! – krzyknął. – Uciekajcie do gwiazdozbioru Paradox! Wyłączcie playback... Chi-chi...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/